

ELLY GRIFFITHS

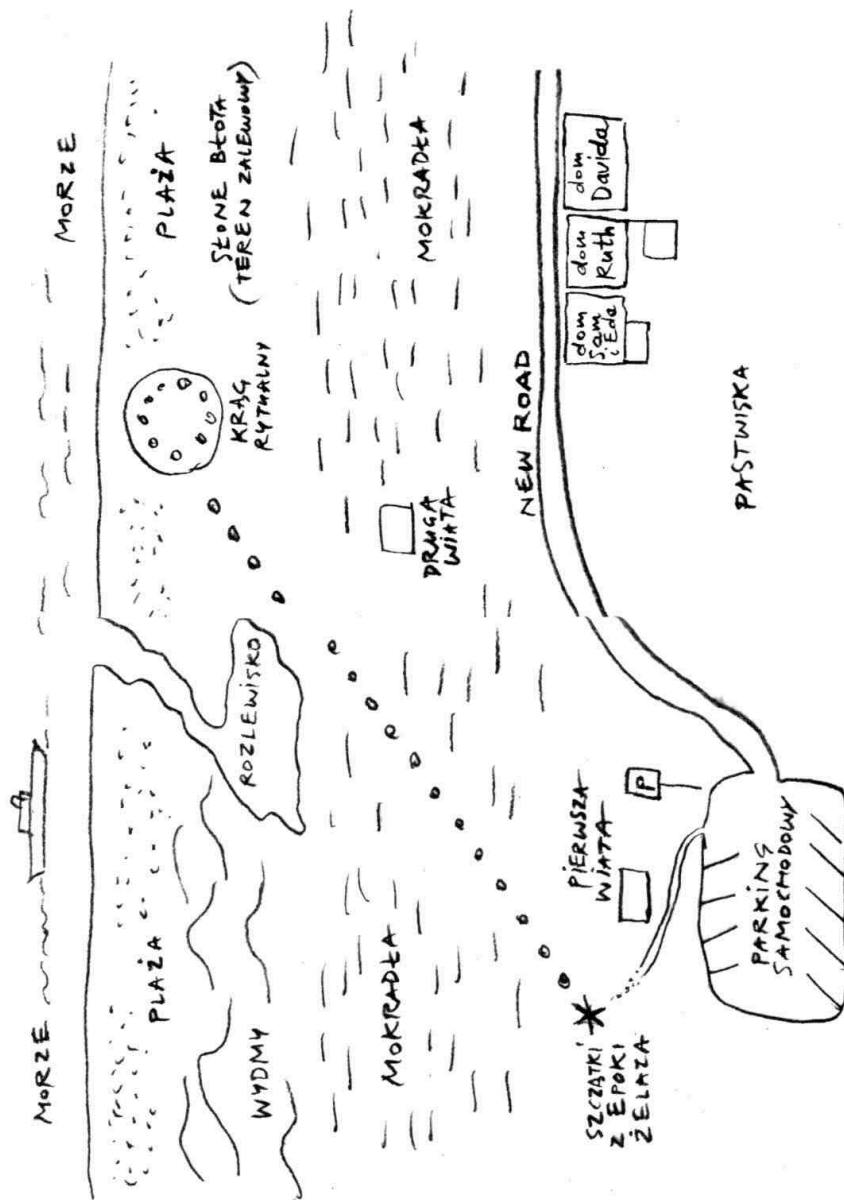
# SZLAK KOSCI

Przełożyła  
AGNIESZKA KUC

**Wydawnictwo Literackie**

Tytuł oryginału: *The Crossing Places*

*Dla Margo*



„Piaski nigdy nic nie oddają”.  
Wilkie Collins, *Kamień Księżycowy*

## PROLOG

Czekają na odpływ i wyruszają z nastaniem świtu.

Lało przez całą noc i rano ziemia jest napęczniała od wody, mgła idzie w górę, by połączyć się z wiszącymi nisko chmurami. Nelson podjeżdża po Ruth nieoznakowanym wozem policyjnym. Siedzi obok kierowcy, natomiast Ruth zajmuje miejsce z tyłu, zupełnie jakby wsiadała do taksówki. W milczeniu kierują się na parking, w pobliżu którego znaleziono kości. Gdy jadą drogą w stronę Słonych Błot, słychać jedynie trzaski policyjnego radia i ciężki oddech zaziębionego kierowcy. Nelson nic nie mówi. Niczego nie musi tłumaczyć.

Wysiadają z samochodu i idą przez mokrą trawę w kierunku bagien. Wiatr szumi w trzcinach, tu i ówdzie widać nieruchomą, posepną tafelę Wody, w której odbija się szare niebo. Na skraju trzęsawiska Ruth zatrzymuje się, szukając pierwszego podtopionego pala i krętej kamienistej ścieżki, prowadzącej przez zdradzieckie mokradła na równinę. Kiedy ją wreszcie znajduje, na wpół zalaną przez słonawą wodę, nie oglądając się, rusza przed siebie.

W milczeniu przemierzają teren zalewowy. Gdy zbliżają się do morza, mgła się rozprasza, a przez chmury zaczyna prześwitywać słońce. Kiedy docierają do kręgu, jest już po odpływie i piasek lśni w świetle poranka. Ruth klęka na ziemi. Wiele lat temu przyglądała się, jak robił to Erik. Ostrożnie rozgarnia łopatką połyskliwe błoto.

Nagle zapada kompletna cisza; nawet ptaki morskie przestają szaleńczo kołować i krzyczeć nad głowami. A może są tam nadal, tylko ona po prostu tego nie zauważa. Z tyłu słyszy ciężki oddech Nelsona, ale sama czuje się dziwnie spokojna. Nawet kiedy dostrzega małą chudą rączkę, na której wciąż jeszcze wisi bransoletka otrzymana na chrzcie – nawet wówczas nie targają nią żadne emocje.

Wiedziała, co może tu znaleźć.

## ROZDZIAŁ 1

Budzenie się przypomina wstawanie z martwych. Wolno otrząsamy się ze snu, z ciemności zaczynają wyłaniać się kształty, a budzik grzmi niczym trąby na Sądzie Ostatecznym. Ruth gwałtownie wyciąga rękę i zrzuca budzik na podłogę, a ten uparcie i z wyrzutem dzwoni. Kobieta wydaje z siebie jęk, podnosi się z trudem i odsłania w oknach rolety. Nadal jest ciemno. Wzdryga się, gdy jej stopy dotykają zimnych desek podłogi. Coś tu jest nie tak, myśli. Człowiek neolityczny kładł się spać o zmroku i wstawał, gdy wschodziło słońce. Dlaczego nadal uważamy, że taka kolej rzeczy jest naturalna? Usnęła na sofie w czasie wieczornych wiadomości, a po przebudzeniu z trudem wspięła się na górę, żeby spędzić bezsenne godziny nad książką o przygodach inspektora Rebusa, słuchała w radiu wiadomości ze świata, liczyła w myślach groby z epoki żelaza, by móc wreszcie zasnąć, no i proszę – obudziła się w ciemnościach, zlaną zimnym potem. Coś tutaj nie było w porządku.

Pod prysznicem woda splukuje z jej oczu resztki snu i wygładza włosy spływające na kark. Właściwie mógłby to być chrzest. Rodzice Ruth są Nowo Narodzonymi Chrześcijanami i zwolennikami Chrztu przez Zanurzenie dla Dorosłych (duże litery obowiązkowe). Ruth dostrzega wprawdzie dobre strony przynależności do wspólnoty mimo pewnego problemu – braku wiary w Boga. Rodzice jednak i tak Otaczają córkę Modlitwą (znów niezbędne duże litery), co powinno napawać ją otuchą, ale jakoś nie napawa.

Energicznie wyciera ciało ręcznikiem i niewidzącym wzrokiem wpatruje się w zaparowane lustro. Wie, co mogłaby w nim zobaczyć, i ta wiedza pomaga jej tyle samo, ile modlitwy rodziców. Ma brązowe włosy

do ramion, błękitne oczy i bladą cerę – i kiedykolwiek by nie stanęła na wadze, będącej obecnie na wygnaniu w schowku na miotły – zawsze waży tyle samo, prawie osiemdziesiąt kilogramów. Wzdycha (moja waga mnie nie definiuje, otyłość to stan umysłu) i wyciska pastę na szczoteczkę. Ma uroczy uśmiech, ale się nie uśmiecha, zresztą uśmiech nie jest teraz dla niej pocieszeniem.

Po kąpeli wraca bosą do sypialni. Jej stopy są nadal wilgotne. Prowadzi dzisiaj wykłady, więc będzie musiała ubrać się nieco bardziej oficjalnie niż zazwyczaj. Czarne spodnie i do tego czarna bezkształtna góra. Gdy kupuje ubrania, mało im się przygląda. Zwraca uwagę przede wszystkim na kolor i materiał. Prawdę mówiąc, ma słabość do cekinów, dżetów i innych tego rodzaju błyskotek. Jednak po jej garderobie trudno się tego domyślić. Składa się na nią dość przygnębiająca kolekcja czarnych spodni i ciemnych marynarek. Szuflady sosnowej toaletki są pełne czarnych swetrów, długich kardiganów i kryjących rajstop. Wcześniej nosiła dżinsy, ale gdy wskoczyła w rozmiar czterdzieści cztery, zdecydowała się na sztruksy, oczywiście czarne. Zresztą dżinsy z racji wieku nie bardzo już do niej pasują. W przyszłym roku skończy czterdzieści lat.

Ubrana, wspina się jeszcze po stopniach na górę. Niewielki dom ma bardzo strome schody, które przypominają raczej drabinę. „Nigdy nie uda mi się chodzić po czymś takim”, oświadczyła jej matka w czasie swojej pierwszej i ostatniej wizyty. „A kto cię o to prosi?”, mruknęła w odpowiedzi Ruth. Jej rodzice ostatecznie zatrzymali się w pensjonacie, ponieważ domek ma tylko jedną sypialnię. Wchodzenie po schodach wcale nie było konieczne, bo na dole obok kuchni znajduje się ubikacja, ale matka uznała to sąsiedztwo za mało higieniczne. Schody prowadzą bezpośrednio do salonu z drewnianą podłogą koloru piaskowego, wygodną spłowiała sofą, dużym płaskim telewizorem i książkami wypełniającymi każdy wolny kąt. Przeważają tytuły związane z archeologią, ale są również kryminały, poradniki kucharskie, przewodniki turystyczne i rozmaite romansidła. Ruth ma wybitnie eklektyczne gusta. A już szczególnie przepada za książkami dla dzieci, najlepiej o balecie lub jeździe konnej – umiejętnościach, których sama nigdy nie miała okazji nabyć.

W kuchni ledwo starczy miejsca na lodówkę i kuchenkę, ale Ruth, mimo kolekcji książek kucharskich, rzadko gotuje. Teraz włącza czajnik, wkłada grzanki do tosterka i jednocześnie wprawnym ruchem nastawia Radio 4. Potem zbiera notatki potrzebne do wykładów i siada przy stole obok okna. To jej ulubione miejsce. Za szybą rozciąga się ogród z falującą na wietrze trawą, okolony połamanym niebieskim płotem. Dalej jest już tylko pustkowie. Nie kończące się kilometry trzęsawisk, porośnięte tu i ówdzie janowcem i poprzecinane małymi zdradzieckimi strumieniami. Czasami widać o tej porze roku wielkie stada dzikich gęsi kołujących po niebie. W promieniach wschodzącego słońca ich skrzydła stają się różowe. Ale dzisiaj, w ten szary zimowy poranek, jak okiem sięgnąć wszędzie tylko pustka, ani śladu żywej duszy. Wszystko zdaje się blade i wyprane z koloru. Na linii horyzontu, gdzie bagna stykają się z niebem, szara zieleń ustępuje miejsca szarej bieli. W oddali majaczy morze, ciemniejszy pasek szarości; na grzbietach fal kołyszą się mowy. Ruth żyje na odludziu i nie ma zielonego pojęcia, dlaczego tak bardzo kocha ten krajobraz.

Je grzankę i popija herbatą (lubi kawę, ale woli poczekać i kupić porządne espresso na uniwersytecie). W trakcie śniadania przegląda notatki. Wydruki przypominają trochę palimpsest – są upstrzone kolorowymi dopiskami naniesionymi na tekst. „Płeć kulturowa a prehistoryczne technologie”, „Wydobywanie artefaktów”, „Życie i śmierć w okresie mezolitycznym”, „Rola kości zwierzęcych w pracach wykopaliskowych”. Choć jest dopiero początek listopada, semestr zimowy wkrótce się skończy. To jej ostatni tydzień wykładów. Na chwilę przywołuje w pamięci twarze swoich studentów – poważne, skupione i pozbawione polotu. Uczy teraz wyłącznie magistrantów i tęskni za wyluzowanymi,

pełnymi różowego humoru słuchaczami studiów licencjackich. Jej studenci są tacy pilni, po wykładach zwykle ją zatrzymują i zarzucają pytaniami o Człowieka z Lindów i Człowieka z Boxgrove. Chcą koniecznie wiedzieć, czy kobiety rzeczywiście odgrywały istotną rolę w prehistorycznych społeczeństwach. Ma wtedy ochotę krzyknąć: „Rozejrzyjcie się wokół siebie – nawet dzisiaj nie zawsze mamy szansę odegrać istotną rolę. Dlaczego więc uważacie, że banda nieokrzesanych ludzi z kultury zbieracko-łowieckiej mogła być bardziej światła niż my?”.

Do jej podświadomości docierają urywki programu radiowego *Myśli na dobry dzień* i nagle przypomina sobie, że pora wychodzić. „Pod pewnymi względami Bóg podobny jest do iPoda...” Ruth wkłada talerz i filiżankę do zlewozmywaka. Na podłodze stawia miseczkę z jedzeniem dla kotów: Skierki i Krzemyka. Jednocześnie prowadzi dialog z wyimaginowanym antagonistą: „OK, jestem zdaną tylko na siebie singielką, mam nadwagę i koty. No i co z tego? Fakt, czasem z nimi rozmawiam, ale nie liczę na to, że mi odpowiedzą. Nie mam też złudzeń, że jestem dla nich kimś więcej niż dostawcą jedzonka”. Dokładnie w tym momencie Krzemyk, wielki rudy kocur, przeciska się przez klapkę w drzwiach i wbija w nią bursztynowe ślepia.

„Czy Bóg zawsze zajmuje pierwsze miejsce na naszej liście przebojów, czy też niekiedy przełączamy się na funkcję shuffle?”

Głaszcze kota i wraca do salonu, żeby spakować do plecaka papiery. Okręca szyję czerwonym szalikiem (jedyne ustępstwo w kwestii kolorów – wszak nawet grubasom wolno kupować szale) i wkłada ciepłą kurtkę. Potem gasi światło i wychodzi z mieszkania.

Domek Ruth stoi obok trzech innych na skraju Słonych Błot. W jednym z nich mieszka strażnik z rezerwatu ptaków, drugi zajmują ludzie, którzy przyjeżdżają tu na weekendy, a czasami na całe lato. Grillują wtedy od rana do nocy, zatruwając powietrze, i parkują swoją terenówkę dokładnie na wprost okna Ruth, skutecznie zasłaniając krajobraz. Wiosną i jesienią droga często jest podtopiona, a w środku zimy w ogóle nieprzejezdna.

„Może byś poszukała jakiegoś dogodniej położonego lokum? – mówią koledzy. – Jeżeli chcesz być bliżej natury, z pewnością znajdziesz piękne domy w King's Lynn, albo nawet w Blakeney”. Nie potrafi wytłumaczyć, nie tylko im, ale i samej sobie, dlaczego dziewczyna urodzona w południowym Londynie ma taką słabość do tych niegościnnych przecież bagnisk, bezludnych mokradeł i surowego krajobrazu, wyrażającego smutek i opuszczenie. Trafiała w te okolice po raz pierwszy, gdy prowadziła badania, ale nie umiałaby wyjaśnić, co właściwie ją tu trzyma mimo tylu niedogodności.

„Zdażyłam przywyknąć – mówi zwykle. – A poza tym koty miałyby mi za złe przeprowadzkę”.

Salwa śmiechu. No tak, stara pocziwa Ruth, przywiązana do swoich kotów. Zwierzaki zastępują jej dzieci, to jasne. Szkoda, że nigdy nie wyszła za mąż, jest całkiem ładna, kiedy się uśmiecha.

Dzisiaj droga jest przejezdna, dokuczliwy wiatr osadza jednak na przedniej szybie warstewkę soli. Ruth rozbryguje kałuże wody i nawet tego nie zauważa. Auto podskakuje na przejściu dla bydła i pnie się po krętej drodze, która prowadzi do wsi. Latem korony drzew łączą się ze sobą, tworząc tajemniczy zielony tunel. Ale dzisiaj bardziej przypominają szkielety

– ich nagie konary sterczą do góry, prosto w niebo. Ruth jedzie nieco szybciej, niż nakazywałby zdrowy rozsądek, mija wioskę – cztery domy i zabity deskami pub – po czym skręca w stronę King's Lynn. Jej pierwszy wykład zaczyna się o dziesiątej. Ma jeszcze sporo czasu.

Uczy na Uniwersytecie Północnego Norfolk – co brzmi może mało imponująco – nowo powstałej uczelni położonej na obrzeżach King's Lynn. Wykłada tam archeologię – niedawno otwarty kierunek, i specjalizuje się w archeologii sądowej, którą uruchomiono jeszcze później. Phil, szef wydziału, lubi

zartować, że archeologia to taka dyscyplina naukowa, w której trudno odkryć coś nowego. Słyszając to, Ruth posłusznie się uśmiecha. Nie zdziwiłaby się, gdyby któregoś dnia zobaczyła na jego wozie naklejkę z napisem: „Śmierć to dla archeologa wydarzenie pozytywne” lub: „Archeolog to wymarzony mąż – im kobieta starsza, tym bardziej się nią interesuje”. Ruth zajmuje się kośćmi. „Archeolog ma w sobie coś z psa – lubi kości”. Zna te wszystkie powiedzonka od lat, ale wciąż się śmieje, gdy je słyszy. W zeszłym roku studenci przynieśli jej naturalnej wielkości tekturową sylwetkę bohatera serialu *Star Trek* o pseudonimie Bones\*. Bones stoi teraz na szczycie schodów i straszy koty.

\* Bones (ang.) – kości (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

W radiu toczy się dyskusja na temat życia po śmierci. Skąd w człowieku tęsknota za niebem? Czy wynika z tego, że niebo rzeczywiście istnieje, czy to tylko zbiorowe urojenie? Rodzice Ruth rozprawiają o niebie jak o miejscu dobrze znanym, czymś

w rodzaju kosmicznego centrum handlowego, po którym świetnie potrafią się poruszać, i korzystają z darmowych przepustek na parking, podczas gdy ona utknie w podziemnym labiryncie. Oczywiście do czasu, aż przystąpi do wspólnoty nowo narodzonych chrześcijan, a zaraz uzyska te same przywileje. Ruth zdecydowanie woli niebo katolików, które zapamiętała z podróży do Włoch i Hiszpanii. Ogromny przestwór przesłonięty chmurami, dym i woń kadzidła, ciemność i tajemnica. Lubi ten ogrom – malowidła Johna Martina, Watykan, niebo nad Norfolkem. Na równi wszystkie, myśli z przekąsem, gdy pokonuje ostatni zakręt, prowadzący na teren uniwersytetu.

Uniwersytet składa się z długich niskich budynków połączonych przeszklonymi łącznikami. W szare poranki, takie jak ten, kampus wygląda sympatycznie. Liczne parkingi spowija łagodne światło, rząd niskich lamp oświetla drogę do Instytutu Archeologii i Nauk Przyrodniczych. Z bliska budynek prezentuje się mniej ciekawie. Chociaż ma tylko dziesięć lat, w jego betonowej fasadzie pojawiły się liczne spękania, ściany pokrywa graffiti, a ponad jedna trzecia lamp nie świeci. Jednak ona prawie tego nie zauważa, gdy parkuje samochód tam gdzie zawsze i wydobywa z niego ciężki plecak – ciężki, bo niemal w połowie wypełniony kośćmi.

Kiedy idzie zatechłą klatką schodową w kierunku swojego gabinetu, myśli o pierwszym wykładzie: „Metodyka badań wykopaliskowych”. Chociaż wykłady adresowane są do magistrantów, wielu studentów ma bardzo skromne albo wręcz

zerowe doświadczenie w prowadzeniu wykopalisk. Jest wśród nich liczne grono cudzoziemców (uniwersytetowi potrzebne są pieniądze), dla których zamrznięta ziemia wschodniej Anglii może stanowić szok kulturowy. Dlatego pierwsze wyjazdy w teren zaplanowała dopiero na kwiecień.

Gdy na korytarzu po omacku próbuje wydobyć z plecaka kartę magnetyczną do otwierania drzwi, zauważa dwóch mężczyzn zmierzających w jej stronę. Jeden z nich to Phil, szef wydziału, a drugiego nie rozpoznaje – wysoki, smagły, z króciutko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Cechuje go pewna surowość, powściągliwość i jest w nim coś niebezpiecznego, przez co Ruth od razu nabiera przekonania, że nie ma do czynienia ze studentem ani tym bardziej z wykładowcą. Odsuwa się, by zrobić im miejsce, ale ku jej zdumieniu Phil staje obok i zwraca się do niej poważnym tonem, który zdradza podekscytowanie.

– Ruth, ktoś chciałby cię poznać.

A więc jednak student. Ruth próbuje wyczarować sympatyczny uśmiech, ale jej twarz tężeje, gdy padają kolejne słowa Phila.

– Przedstawiam ci starszego inspektora policji, Harry'ego Nelsona. Chciałby z tobą porozmawiać o pewnym morderstwie.



## ROZDZIAŁ 2

– Domniemanym morderstwie – prostuje szybko oficer śledczy Harry Nelson.

– No tak, oczywiście – natychmiast zgadza się z nim Phil i jednocześnie patrzy w kierunku Ruth, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz tylko, z kim ja rozmawiam, z prawdziwym śledczym”.

Twarz Ruth pozostaje niewzruszona.

– Przedstawiam panu doktor Ruth Galloway – mówi Phil. – Jest naszym ekspertem w dziedzinie archeologii sądowej.

– Miło panią poznać – bez cienia uśmiechu rzuca w odpowiedzi Nelson. Wskazuje ręką drzwi prowadzące do jej gabinetu. – Możemy?

Ruth wsuwa do czytnika kartę magnetyczną i już po chwili wchodzi do środka. Gabinet jest niewielki, szeroki najwyżej na dwa metry. Jedną ze ścian i wolną przestrzeń koło drzwi w całości wypełniają półki z książkami. Kolejną, tę z brudnym i zapuszczonym oknem, wychodzącym na jeszcze bardziej zapuszczone „dekoracyjne oczko wodne” – również w jednej trzeciej zajmują książki. Biurko Ruth stoi wciśnięte w kąt. Nad nim wisi oprawiony plakat z Indianą Jonesem. „To dla żartu”,

wyjaśnia zazwyczaj pospiesznie, żeby nie było wątpliwości. Kiedy udziela konsultacji, studenci często nie mieszczą się w gabinecie i stoją na korytarzu, dlatego zwykle zostawia drzwi otwarte i podpira ogranicznikiem w kształcie kota, który dostała od Petera. Tym razem jednak zatrząskuje je za sobą. Phil i Nelson wyglądają na zakłopotanych ciasnotą gabinetu, jakby byli za duzi, żeby się w nim zmieścić. Zwłaszcza inspektor, stojący z niezadowoloną miną przy oknie, wydaje się przesłaniać całe światło. Jest zanadto barczysty, za wysoki i zbyt d o r o s ł y , by pasować do tego wnętrza.

– Zapraszam – wskazuje krzesła ułożone w stos przy drzwiach. Phil usłużnie rzuca się, żeby podać jedno z nich Nelsonowi, i robi z tego prawdziwy show – najchętniej wytarłby kurz własnym rękawem.

Ruth wciska się za biurko, przez co zyskuje iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa i wrażenie, że w pełni kontroluje sytuację. Wrażenie to znika natychmiast, gdy tylko Nelson rozsiada się wygodnie, krzyżuje nogi i przemawia do niej pewnym, monotonnym głosem. Mówi z lekkim północnym akcentem, bez zbędnego wydłużania samogłosek, typowego dla mieszkańców Norfolk. Zapewne chce w ten sposób sprawiać wrażenie osoby bardziej dynamicznej.

– Znaleźliśmy kości – mówi. – Chyba jakiegoś dziecka, ale wyglądają na stare. Chciałbym ustalić, ile dokładnie mają lat.

Ruth milczy, za to Phil gorliwie wtrąca się do rozmowy.

– Gdzie pan je znalazł, inspektorze?

– Niedaleko rezerwatu ptactwa. W Słonych Błotach.

Phil patrzy wymownie na Ruth.

– To przecież tam, gdzie ty...

– Tak, wiem – przerywa mu Ruth. – Dlaczego uważa pan, że kości mogą być stare?

– Są brązowożółte, ale w dobrym stanie. Sądziłem jednak, że to pani działka – rzuca nagle poirytowany.

– Owszem, moja – odpowiada spokojnie. – Chyba w tym celu pan do mnie przyszedł?

– No więc umiałyby pani ustalić wiek tych kości? – pyta znów dość obcesowo Nelson.

– Jeżeli zostały zagrzebane niedawno, sprawa jest z reguły prosta – wyjaśnia. – Wystarczy się im przyjrzeć i zbadać ich powierzchnię. Starsze kości następują więcej problemów. Czasami nie sposób jest

odróżnić tych sprzed pięćdziesięciu lat od takich, które mają dwa tysiące. Trzeba je poddać badaniu metodą węgla radioaktywnego.

– Doktor Galloway jest naszym ekspertem w dziedzinie konserwacji kości. – Phil znów nie pozwala o sobie zapomnieć. – Pracowała w Bośni, przy ekshumacji grobów z okresu wojny...

– Przyjedzie pani rzucić na to okiem? – przerywa mu Nelson.

Ruth udaje, że się zastanawia, ale tak naprawdę jest zachwycona propozycją. Kości! W okolicy Słonych Błot! W tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy kopała razem z Erikiem. Niezapomniane chwile. Kto wie, co się tam kryje. Znaleźisko albo...

– Podejrzewa pan morderstwo? – pyta.

Nelson po raz pierwszy wydaje się zakłopotany.

– Wolałbym się na ten temat nie wypowiadać, jeszcze nie teraz. Przyjedzie pani to zobaczyć?

Ruth wstaje.

– O dziesiątej mam wykład. Mogę się tam wybrać w czasie przerwy na lunch.

– Przyślę po panią samochód o dwunastej – oznajmia inspektor.

Ruth jest rozczarowana, że Nelson nie wysłał po nią oznakowanego radiowozu z niebieskim kogutem na dachu. Zamiast tego podjeżdża zabłoconym mercedesem. Ruth czeka na niego, tak jak było umówione, przy głównej bramie. Mężczyzna nawet nie wysiada z samochodu, tylko nachyla się i otwiera drzwi od strony pasażera. Ruth wsiada do środka i natychmiast dopada ją myśl, że jest gruba. Zawsze się tak czuje w samochodach. Śmiertelnie boi się zapinać pasy, bo przecież mogą okazać się za krótkie. A co będzie, jeśli w samochodzie zamontowany jest czujnik i gdy tylko Ruth siądzie w fotelu, rozlegnie się alarm: „Ostrzeżenie! Osiemdziesiąt kilogramów! Osiemdziesiąt kilogramów! Katapultować!”?

Nelson przygląda się jej plecakowi.

– Wzięła pani wszystko?

– Tak.

Zabrała ze sobą cały niezbędnik archeologa: kielnię, szpachelkę, plastikowe torebki do pobierania próbek, taśmy, notes, ołówki, pędzelki, kompas i aparat cyfrowy. Założyła też sportowe buty i kamizelkę odblaskową. Jest zła na siebie, że nie może przestać myśleć o tym, jak okropnie musi wyglądać.

– A więc mieszka pani przy wylocie ze Słonych Błot? – pyta Nelson, ruszając z piskiem opon, mimo że na drodze jest mnóstwo aut. Pędzi jak wariat.

– Tak – odpowiada. Przez cały czas ma się na baczności, chociaż nie bardzo rozumie dlaczego. – Przy New Road.

– New Road! – Nelson wybuchł śmiechem. – Myślałem, że tam mieszkają wyłącznie miłośnicy ornitologii.

– Cóż, jednym z moich sąsiadów jest rzeczywiście strażnik z rezerwatu ptaków – odpowiada, starając się zachować spokój, chociaż wykonuje stopą taki ruch, jakby wciskała hamulec.

– Nie chciałbym tam mieszkać – mówi Nelson. – Za duże pustkowia.

– Mnie się podoba – stwierdza krótko. – Kiedyś przyjechałam tam kopać i zostałam.

– Kopać? Ma pani na myśli wykopaliska?

– Tak.

Ruth doskonale pamięta tamte wakacje sprzed dziesięciu lat. Długie wieczory przy ognisku, przypalone kiełbaski i sentymentalne piosenki. Świergot ptaków o poranku, mokradła fioletowe od kwitnących zatrwanów. Którejś nocy na teren ich obozowiska dostały się owce i stratowały namioty.



Kiedy indziej Peter utknął na bagnach w czasie przyływu i Erik musiał się czołgać, żeby go stamtąd wydostać. Ruth przypomina też sobie, jak bardzo byli podekscytowani, gdy znaleźli pierwszy drewniany pał, dowód na to, że w tym miejscu rzeczywiście znajdował się kiedyś krąg. Pamięta nawet tembr głosu Erika, kiedy odwrócił się i krzyknął do nich ponad falą zbliżającego się przyływu: „Znaleźliśmy go!”.

– Szukaliśmy tutaj kręgu – wyjaśnia Nelsonowi Ruth.

– Kręgu? Takiego jak w Stonehenge?

– Tak. Krąg w pojęciu archeologicznym to kolisty wał ziemny otoczony rowem. W środku zwykle ustawiano pale, w formie kręgu.

– Czytałem gdzieś, że Stonehenge to po prostu wielki zegar słoneczny. W ten sposób mierzono czas.

– No cóż, nie wiadomo dokładnie, jakie było przeznaczenie tej budowli – mówi Ruth. – Ale można twierdzić, że służyła jakiemuś rytuałowi.

Nelson patrzy na nią zdumiony.

– Rytuałowi?

– No tak. Mam na myśli oddawanie czci, składanie ofiar, tego rodzaju rzeczy.

– Składanie ofiar? – powtarza po niej Nelson. Wydaje się wreszcie naprawdę zainteresowany. Z jego głosu zniknął lekko protekcyjny ton.

– Czasami udaje nam się znaleźć dowody na to, że w danym miejscu składano ofiary. Są to różnego rodzaju dzbany, włócznie albo kości zwierząt.

– A kości ludzkie też? Natraficie również na ludzkie szczątki?

– Tak, czasami tak.

Zapada cisza, którą przerywa uwaga Nelsona.

– Dość dziwne miejsce na zbudowanie kręgu, nie sądzi pani? Tak zaraz przy morzu.

– Kiedyś nie było tutaj morza. Ukształtowanie terenu wciąż się zmienia. Jeszcze dziesięć tysięcy lat temu ziemie, na których się znajdujemy, były połączone z kontynentem. Można było stąd dojść do Skandynawii.

– Żartuje pani!

– Nie. King's Lynn było kiedyś ogromnym jeziorem, na którym występowały pływy. Stąd wzięła się nazwa Lynn. Po celtycku to słowo oznacza jezioro.

Nelson odwraca się i spogląda na nią sceptycznie. Gwałtowny ruch sprawia, że samochód niebezpiecznie skręca. Ruth zastanawia się, czy Nelson podejrzewa ją o nadmiernie wybujałą wyobraźnię.

– Jeżeli na tym terenie nie było dawniej morza, to co tutaj było?

– Przeważały równinne tereny bagienne. Sądzymy, że krąg znajdował się na skraju trzęsawiska.

– Nadal uważam, że to dziwne miejsce na tego rodzaju budowle.

– Mokrańca odgrywały bardzo ważną rolę w prehistorii – wyjaśnia Ruth. – Ten krajobraz ma charakter symboliczny. Sądzymy, że był ważny, bo stanowi rodzaj pomostu, łącznika między ziemią a morzem albo życiem i śmiercią.

Nelson parska poirytowany.

– Co proszę?

– Trzęsawiska to takie specjalne miejsca, ani suchy ląd, ani morze. To forma pośrednia. Wiemy, że dla prehistorycznego człowieka było to bardzo istotne.

– Skąd o tym wiemy?

– Znaleźliśmy różne przedmioty pozostawione na skraju mokradeł. Dary wotywnne.

– Dary wotywnne?

– Ofiary składane bogom. Pozostawiane w specjalnych albo świętych miejscach. Niekiedy były to ofiary z ludzi. Słyszał pan o ciałach znalezionych w bagnach? Na przykład o Człowieku z Lindow?

– Możliwe – ostrożnie odpowiada Nelson.

– Ciała złożone w torfowiskach zachowały się w niemal idealnym stanie, ale niektórzy uważają, że zostały tam pochowane w specjalnym celu. Miały obłaskawić bogów.

Nelson posyła Ruth kolejne zdumione spojrzenie, ale tym razem nic nie mówi. Zbliżają się do Słonych Błot. Jadą w głąb podmokłego terenu, w kierunku parkingu. Dookoła stoją smętne, trącane wiatrem tablice informujące o różnych gatunkach ptaków żyjących na bagnach. Na zabitym deskami kiosku wisi reklama lodów. Jej krzykliwe kolory już dawno zdążyły wypłowieć. Trudno sobie wyobrazić, że w sezonie przyjeżdżają tu na piknik turyści, którzy w promieniach słońca pałaszują lody. Miejsce to wydaje się krainą wiatru i deszczu.

Parking jest zupełnie wymarły, jeśli nie liczyć samotnego policyjnego wozu. Gdy zbliżają się do samochodu, wysiada z niego mężczyzna. Czekając, aż dojdą, jest zmarznięty i znudzony.

– Doktor Ruth Galloway – przedstawia ich sobie Nelson. – Sierżant Clough, oficer śledczy.

Sierżant Clough kłania się z ponurą miną. Na pierwszy rzut oka widać, że przebywanie na mokradłach podczas wietrznej pogody nie należy do jego ulubionych rozrywek. Nelson natomiast wydaje się zainteresowany. Zachowuje się trochę jak koń przebierający niespokojnie nogami przed gonitwą. Idzie przodem, żwirową ścieżką oznakowaną jako szlak turystyczny.

Po drodze mijają drewnianą wiatę zbudowaną na palach ponad mokradłem. W środku jest pusto, tylko na platformie otaczającej wiatę walają się torebki po chipsach i puszka po coli.

Nelson, nie zatrzymując się nawet na chwilę, wskazuje leżące śmieci i tylko rzuca przez zęby:

– Pozbierać mi to.

Ruth podziwia jego zapobiegliwość, bo raczej nie maniery. Przychodzi jej na myśl, że praca policji pod wieloma względami przypomina działania archeologów. Ona również spakowałaby i posegregowała starannie wszystkie rzeczy znalezione na stanowisku, by później umieścić je w odpowiednim kontekście. Ona także gotowa jest spędzić wiele dni i tygodni na poszukiwaniach, w nadziei, że znajdzie coś wartościowego. Ona również, z czego nagle z drżeniem serca zdaje sobie sprawę, wciąż ma do czynienia ze śmiercią.

Ruth prawie nie może złapać tchu, gdy docierają wreszcie na miejsce oznakowane białą-niebieską taśmą policyjną, która od razu nasuwa skojarzenia z wypadkami drogowymi. Nelson wyprzedza ich o jakieś dziesięć metrów. Idzie wyprostowany, z rękami w kieszeniach. Głowę wysuwa do przodu niczym rasowy tropiciel. Clough z trudem za nim nadąża. Niesie plastikową torbę, do której pozbierał śmieci leżące koło wiaty.

Za taśmą znajduje się płytki dół, do połowy wypełniony mulistą wodą. Ruth schyla się i przechodzi pod taśmą, a potem kłeka, by dokładnie obejrzeć znalezisko. Z gęstego błota wyłaniają się ludzkie szczątki.

– Jak je znaleźliście? – pyta.

Tym razem to Clough udziela jej odpowiedzi.

– Natrafiła na nie pewna kobieta podczas spaceru z psem. Szczerze mówiąc, psisko przybiegło do niej z kością w pysku.

– Zatrzymaliście ją? Chodzi mi o kość, rzecz jasna.

– Jest na komisariacie.

Ruth fotografuje szybko miejsce znaleziska i kreśli w notesie mapkę. Są w zachodniej części mokradeł. Nigdy wcześniej tutaj nie kopała. Plaża, na której znaleźli krąg, znajduje się jakieś trzy kilometry dalej w kierunku wschodnim. Siedząc w kucki na błotnistej ziemi, Ruth zaczyna pracowicie wybierać wodę z dołu. Posługuje się plastikowym kubkiem z archeologicznego niezbędnika. Nelson nieomal podskakuje z niecierpliwości.

- Nie moglibyśmy pani w tym pomóc? – pyta.
- Nie – odpowiada krótko.

Kiedy jama jest już prawie zupełnie opróżniona, Ruth czuje przyspieszone bicie serca. Ostrożnie wybiera kubkiem resztkę wody i dopiero wtedy zaczyna rozgarniać błoto, odsłaniając to, co leży wciśnięte płasko w ciemną ziemię.

- No i? – Nelson niespokojnie zagląda jej przez ramię.
- Ciało – z namysłem odpowiada Ruth. – Ale...

Wolno sięga po kielnię. Nie może działać pochopnie. Nieraz już widziała, jak prace wykopaliskowe ostatecznie zakończyły się fiaskiem z powodu jednego nieprzemyślanego ruchu. Dlatego, nie zwracając uwagi na zgrzytającego zębami Nelsona, delikatnie usuwa warstwy rozmokłej ziemi. Ich oczom ukazuje się ręka. Jest lekko zaciśnięta, a na przegubie widać coś, co przypomina bransoletę wykonaną ze splecionej trawy.

- Jasna cholera! – mieli przekleństwa Nelson, zaglądając jej znowu przez ramię.

Ruth pracuje teraz jak w transie. Nanosi na mapkę miejsce znaleziska, zaznaczając, w którą stronę ciało jest zwrócone twarzą. Następnie robi zdjęcia i znów zaczyna kopać.

Tym razem jej kielnia natrafia na coś innego. Rozlega się metaliczny brzęk. Ruth nadal pracuje wolno i z wielką uwagą. Wreszcie wydobywa z błota jakiś przedmiot. Znalezisko błyszczy delikatnie w zimowym świetle, niczym sześciopensówka w placku bożonarodzeniowym – kawałek wygiętego metalu w kształcie półkola.

- Co to takiego? – głos Nelsona brzmi tak, jakby dochodził z innej planety.
- Myślę, że znalazłam torques – rozmarzonym głosem odpowiada Ruth.
- A cóż to u diabła jest?
- To naszyjnik celtycki, pochodzący prawdopodobnie z epoki żelaza.
- Z epoki żelaza? Kiedyż to było?
- Jakieś dwa tysiące lat temu – wyjaśnia Ruth.

Clough wybucha nagle śmiechem. Nelson odwraca się bez słowa.

Inspektor odwozi Ruth z powrotem na uniwersytet. Wygląda na przygnębionego, za to Ruth jest bardzo podekscytowana. Znalezione szczątki muszą być z epoki żelaza, bo zachowane ciała bez wątplenia pochodzą z tego właśnie okresu. To czasy rytualnych zabójstw i legendarnych skarbów. Co to właściwie oznacza? Ciało znajduje się wprawdzie bardzo daleko od kręgu, ale może oba odkrycia są w jakiś sposób powiązane? Krąg pochodzi z wczesnej epoki brązu, która rozpoczęła się ponad tysiąc lat wcześniej niż epoka żelaza. Choć nie można oczywiście wykluczyć hipotezy, że kolejne znalezisko na tym samym stanowisku archeologicznym to po prostu zwykły zbieg okoliczności. Ruth koniecznie chciałaby porozmawiać o tym z Philem. Może powinni poinformować prasę. Tego rodzaju rozgłos mógłby się bardzo przydać ich wydziałowi.

- Jest pani pewna co do wieku tego znaleziska? – nieoczekiwanie pyta Nelson.
- Sam naszyjnik nie budzi wątpliwości. Zdecydowanie pochodzi on z epoki żelaza i wydaje się

całkiem logiczne, że ciało pochowano razem z naszyjnikiem. Ale aby się upewnić, możemy zastosować jeszcze metodę węgla radioaktywnego.

– Co to jest?

– Węgiel  $^{14}\text{C}$  występuje w ziemskiej atmosferze. Rośliny asymilują go, zwierzęta zjadają rośliny, a my z kolei zjadamy zwierzęta. Tak więc wszystkie organizmy żywe zawierają węgiel  $^{14}\text{C}$ . Gdy umieramy, przestajemy go przyswajać i węgiel  $^{14}\text{C}$  skumulowany w naszych kościach zaczyna się rozpadać. Dlatego wystarczy zbadać zawartość węgla  $^{14}\text{C}$  w kościach, by określić ich wiek.

– Na ile precyzyjna jest ta metoda?

– No cóż, promieniowanie kosmiczne może wypaczyć wyniki badań: plamy na słońcu, rozbłyski słoneczne, próby nuklearne, tego rodzaju rzeczy. Ale ta metoda sprawdza się z dokładnością do kilkuset lat. Tak więc będziemy mogli mniej więcej stwierdzić, czy te kości rzeczywiście pochodzą z epoki żelaza.

– Z epoki żelaza, czyli...?

– Trudno to precyzyjnie określić, ale w przybliżeniu chodzi o okres pomiędzy siedemsetnym rokiem przed naszą erą a czterdziestym trzecim naszej ery.

Nelson milczy przez chwilę, porządkując fakty, i dopiero po jakimś czasie zadaje pytanie:

– Po co ludzie z epoki żelaza mieliby chować ciało akurat tutaj?

– Złożyli je w ofierze bogom. Możliwe, że było przywiązane do słupa. Widział pan te resztki włókien owinięte wokół dłoni? To był przypuszczalnie jakiś powróż.

– O Boże! Przywiązywali człowieka do słupa i pozostawiali na pewną śmierć?

– Prawdopodobnie, ale ciało mogło być już martwe, zanim zostało tutaj złożone. Przywiązywano je, by zapobiec przemieszczeniu.

– Mój Boże – rzuca znowu Nelson.

Nagle Ruth przypomina sobie, w jakim celu znalazła się tutaj, w policyjnym wozie, z tym oto człowiekiem.

– Dlaczego sądził pan, że te kości mogą pochodzić z naszych czasów?

Nelson wzdycha.

– Jakies dziesięć lat temu zaginęło w pobliżu dziecko. W tej okolicy. Nigdy nie znaleźliśmy ciała. Myślałem, że to może być ona.

– Ona?

– Nazywała się Lucy Downey.

Ruth milczy. Przywołane imię sprawia, że wszystko od razu wydaje się bardziej realne. W końcu archeolodzy, którzy odkryli pierwszą ludzką istotę, również nadali jej imię. Żeby było zabawniej, ona też nazywała się Lucy.

Nelson znów wzdycha.

– Dostałem kilka listów w związku z Lucy Downey. Wydają mi się dziwne w kontekście tego, co mówiła pani wcześniej.

– Co pan ma na myśli? – pyta go zbita z tropu.

– Chodzi mi o te dawne rytuały i tak dalej. W listach roiło się od bzdur, ale była tam również mowa o tym, że Lucy została złożona w ofierze i że znajdziemy ją tam, gdzie ziemia styka się z niebem.

– Gdzie ziemia styka się z niebem – powtarza Ruth. – Ale przecież to może być gdziekolwiek.

– Owszem, ale to miejsce wydaje się położone na krańcu świata. Dlatego jak usłyszałem, że znaleziono kości...

– Pomyślał pan, że może chodzić o nią.

– Tak. Rodzicom ciężko jest żyć bez wiedzy, co stało się z ich dzieckiem. Czasami odnalezienie ciała przynosi ulgę, bo wreszcie można dać upust żalowi.

– Zatem jest pan przekonany, że dziewczynka nie żyje?

Nelson przez chwilę milczy, bo właśnie koncentruje się na wyprzedzaniu ciężarówka.

– Tak – odpowiada w końcu. – Pięcioletnia dziewczynka ginie w listopadzie i przez dziesięć lat nie udaje się trafić na żaden jej ślad. Nie żyje, to pewne.

– Zaginęła w listopadzie?

– Tak. Było to dokładnie dziesięć lat temu, co do dnia.

Ruth myśli o listopadzie, coraz czarniejszych nocach, wietrze wyjącym na trzęsawiskach. Myśli o rodzicach czekających w napięciu, modlących się o powrót córki do domu, podrywających się na dźwięk każdego telefonu z wiarą, że usłyszą pomyślnie wieści. Powoli gaśnie w nich nadzieja i narasta otepiająca pewność utraty.

– A rodzice? – pyta. – Nadal mieszkają w tej okolicy?

– Tak, przy wylocie z Fakenham. – Nelson gwałtownie odbija, żeby uniknąć otarcia się o ciężarówkę. Ruth zamyka oczy. – W tego rodzaju sprawach – mówi dalej – zwykle winni okazują się rodzice.

Ruth jest zszokowana.

– Rodzice mogliby zabić własne dziecko?

Nelson opowiada o wszystkim beznamiętnym głosem. Mówi jednym tonem.

– W dziewięciu przypadkach na dziesięć. Rodzice wydają się wstrząśnięci, uczestniczą w konferencjach prasowych, wylewają potoki łez, a potem nagle znajdujemy ciało dziecka zagrzebane w przydomowym ogródku.

– To straszne.

– Tak, ale tym razem sam nie wiem, co myśleć. Chcę wierzyć, że nie mają z tym nic wspólnego. To mili ludzie, niezbyt młodzi. Starali się o dziecko przez wiele lat, aż w końcu urodziła się Lucy. Uwielbiali ją.

– To okropne – mówi trochę bez związku Ruth.

– Rzeczywiście. Okropne. – W głosie Nelsona nie słychać emocji. – Jednak nigdy nie mieli do nas pretensji. Nigdy nie obwiniali ani mnie, ani reszty ekipy. Nadal dostają od nich kartki na Boże Narodzenie. Dlatego... – Przez chwilę się zastanawia. – Właśnie dlatego tak mi zależało, aby rozwiązać tę sprawę.

Są już na terenie uniwersytetu. Nelson hamuje z piskiem opon przed budynkiem Instytutu Nauk Przyrodniczych. Studenci, którzy pędzą na wykłady, odwracają głowy i przyglądają się im. Chociaż jest dopiero druga trzydzieści, powoli zapada zmrok.

– Dziękuję za podwiezienie – mówi lekko zakłopotana Ruth. – Postaram się ustalić dla pana dokładny wiek tych kości.

– Dziękuję – odpowiada Nelson. Patrzy na nią, jakby ją zobaczył po raz pierwszy. Ruth doskonale zdaje sobie sprawę ze swego wyglądu – ma potargane włosy i ubłocone ubranie.

– To odkrycie mogłoby się okazać dla pani ważne, prawda?

– Tak – odpowiada. – Mogłoby.

– Dobrze, że przynajmniej jedna osoba mogłaby mówić o szczęściu.

Gdy tylko Ruth wysiada z samochodu, Nelson odjeżdża bez pożegnania. Ruth nie sądzi, by kiedykolwiek miała go jeszcze zobaczyć.

## ROZDZIAŁ 3

Nelson przecina od razu dwa pasy ruchu, kierując się w stronę King's Lynn. Jedzie nieoznakowanym wozem, ale najwidoczniej wziął sobie za punkt honoru prowadzić zawsze tak, jakby właśnie ścigał przestępcę. Lubi obserwować wyraz twarzy zatrzymujących go, niczego nieświadomych mundurowych, którym ostentacyjnie demonstruje swoją legitymację służbową. Tak czy inaczej zna tę trasę na tyle dobrze, że mógłby ją pokonywać z zamkniętymi oczami. Po drodze mija zabudowania przemysłowe, fabrykę zup Campbella, następnie jedzie London Road aż do starych murów miejskich, gdzie przejeżdża pod zwieńczoną łukiem bramą. Doktor Ruth Galloway z pewnością poinformowałaby go, z którego dokładnie okresu pochodzą zabytkowe mury: „Nie potrafię tego aż tak precyzyjnie określić, ale oceniam, że zostały zbudowane przed przerwą na lunch, w piątek, 1 lutego 1556 roku”. Nelsonowi jednak te mury kojarzą się wyłącznie ze staniem w korku – ostatnią przeszkodą w drodze na komisariat.

Nie bardzo odpowiada mu hrabstwo, do którego się przeprowadził. Pochodzi z północy, urodził się w Blackpool, w sąsiedztwie Golden Mile, dzielnicy rozrywki. Chodził do katolickiej szkoły średniej pod wezwaniem świętego Józefa (świętego Józia, jak potocznie się o niej mówiło), a w wieku szesnastu lat wstąpił do policji i został kadetem. Od samego początku bardzo lubił swoje zajęcie. Dobrze rozumiał się z kolegami, odpowiadały mu długie godziny pracy, zmęczenie fizyczne, poczucie, że zajmuje się czymś wartościowym. I chociaż nigdy by się do tego otwarcie nie przyznał, chętnie wykonywał nawet papierkową robotę. Nelson lubił pracować metodycznie, z listą w rękę i zgodnie z ustalonym harmonogramem. Umiał bezbłędnie wyłuskać rzeczy ważne. Szybko awansował i wkrótce zaczęło mu się w życiu układać. Miał satysfakcjonującą pracę, dobrych kolegów, w piątki chodził do pubu, w soboty na mecze, w niedzielę grał w golfa.

Potem jednak pojawiła się oferta pracy w Norfolk i jego żona Michelle naciskała, by ją przyjął. Czekał go awans, więcej pieniędzy i możliwość zamieszkania w wiejskiej okolicy. Kto przy zdrowych zmysłach, zastanawia się Nelson, myśląc o Słonych Błotach, chciałby mieszkać w takim paskudnym miejscu? Wszędzie tylko krowy, bagna i miejscowi ludzie, po których widać, że mieszkają tu od pokoleń. W końcu jednak uległ namowom żony i przeprowadzili się do King's Lynn. Michelle zaczęła pracować w ekskluzywnym salonie fryzjerskim. Córki posłali do prywatnej szkoły, a skutek był taki, że zaczęły naśmiewać się z jego akcentu („Mówi się: K t ó r a jest godzina”). Nelson świetnie sobie radził i w błyskawicznym tempie awansował na oficera śledczego. Chodziły słuchy, że mógłby dojść nawet wyżej. Wszystko się dobrze układało, dopóki nie zaginęła Lucy Downey.

Nelson skręca, oczywiście bez włączania kierunkowskazu, na parking przy posterunku policji. Myśli o Lucy i szczątkach znalezionych na mokradłach. Zawsze był pewien, że dziewczynka została pochowana gdzieś w okolicy Słonych Błot, kiedy więc odkryto tam ludzkie kości, miał nadzieję, że w końcu uda mu się zamknąć sprawę. Niezbyt szczęśliwe zakończenie, ale przynajmniej zakończenie. A teraz ta doktor Ruth Galloway mówi mu, że kości najprawdopodobniej pochodzą z jakiejś cholernej epoki kamiennej. Jezu, ale się od niej nasłuchał na temat kręgów, pochówków i chodzenia na piechotę do Skandynawii. Na początku myślał, że Ruth się z niego naśmiewa, ale kiedy dotarli na miejsce, przekonał się, że jest profesjonalistką. Podziwiał jej styl pracy, to, że wszystko robi wolno i z namysłem, sporządza staranną dokumentację, fotografuje i segreguje dowody. W ten sam sposób pracuje policja. Nie chodzi o to, że widziałby ją w roli policjantki. Po pierwsze, nie zalicza się do osób szczupłych. Co powiedziałyby Michelle o kobiecie, która ma tak słabą kondycję, że po pięciu minutach marszu brakuje jej tchu? Byłaby



autentycznie przerażona. Ale, szczerze mówiąc, Nelson nie bardzo może sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji obie panie mogłyby się spotkać. Raczej mało prawdopodobne, by Ruth zaczęła zaglądać do salonu – sądząc po tym, co miała na głowie.

Mimo to kobieta budziła jego ciekawość. Jak wszystkie silne osobowości (silne, ale nie despotyczne) woli towarzystwo tych, którzy potrafią dotrzymać mu kroku, tyle że w swoim zawodzie nie spotyka ich zbyt wielu. Ludzie albo nim gardzą, albo są zbyt unieźleni. Ruth nie należy do żadnej z tych grup. Patrzyła na niego chłodno i z dystansem, jak na równego sobie. Nelsonowi przychodzi na myśl, że chyba nigdy jeszcze nie spotkał nikogo, żadnej k o b i e t y tak pewnej siebie jak Ruth Galloway. Nawet jej strój – workowate ubrania i sportowe buty – jest rodzajem manifestu, który ma świadczyć o niezależności i lekceważeniu opinii innych. Ona nigdy nie będzie paradować w spódniczkach i na wysokich obcasach tylko po to, by zadowolić mężczyzn. Co nie znaczy, że schlebianie męskiemu gustom jest czymś nagannym, myśli sobie Nelson, otwierając nogą drzwi do swojego gabinetu. Ale kobieta, która nie dba o to, czy wygląda atrakcyjnie, czy nie, siłą rzeczy budzi zainteresowanie, stanowi miłą odmianę.

To, co mówiła o rytuałach, też było ciekawe. Nelson, siedząc za biurkiem, zamyśla się i marszczy czoło. Opowieści o składaniu ofiar i innych tego rodzaju rzeczach obudziły wspomnienia. Przypomniał sobie dni i noce spędzone na poszukiwaniu odcisków palców, bolesne spotkania z rodzicami, stopniowe, trudne do zniesienia wahnięcia nastroju od nadziei do rozpacz, komisariat wypełniony do granic możliwości ludźmi, ekipy poszukiwawcze sprowadzone aż z sześciu różnych jednostek – a wszystko po to, by znaleźć jedną małą dziewczynkę. Na próżno.

Nelson wzdycha. Chociaż wzbrania się przed tym, jak może, wie, że zanim wróci wieczorem do domu, kolejny raz przejrzy wszystkie akta sprawy Lucy Downey.

Ruth jest jeszcze w trasie, gdy zapadają kompletne ciemności. Ostrożnie pokonuje kolejne odcinki drogi. Po obu stronach

New Road ciągną się rowy i każde przypadkowe odbicie w bok może skończyć się wypadkiem. Już kiedyś coś takiego przeżyła i nie ma ochoty doświadczać tego po raz wtóry. Reflektory samochodu oświetlają wypukłą część asfaltowej nawierzchni, która w okolicach pobocza wyraźnie się obniża i wywołuje wrażenie, że droga prowadzi donikąd. Przed oczami nic tylko droga, a nad głową niebo. „Tam gdzie ziemia styka się z niebem”. Przechodzi ją dreszcz, włącza więc radio i już po chwili wnętrze samochodu wypełniają dźwięki. Ruth słucha Radio 4 – to spokojna, kulturalna stacja, aczkolwiek niewolna od snobizmu: „A teraz zapraszamy na *News Quiz*...”.

Zatrzymuje samochód przed połamanym niebieskim płotem i wyciąga z bagażnika plecak. Dom weekendowiczów pogrążony jest w ciemnościach, ale u strażnika pali się na górze światło. Ruth domyśla się, że sąsiad wcześniej kładzie się do łóżka, by już o świcie słuchać ptasich treli. Na progu wita ją Krzemek. Miauczy żałośnie, prosząc, by go wpuściła, mimo że w każdej chwili mógłby wejść do środka przez kłapkę w drzwiach. Cały dzień i tak na pewno przespał w domu. Ponieważ nigdzie nie widać drugiego kota, Ruth czuje lekki niepokój, otwierając drzwi. Ale Skierka, mała czarna kotka z białym noskiem, śpi sobie smacznie na sofie. Woła ją do siebie, lecz zwierzątko nie reaguje – pręży tylko łapki i na powrót zamyka oczy. Skierka do wszystkiego podchodzi z rezerwą, inaczej niż Krzemek, który z wyraźną rozkoszą ociera się o nogi swej pani.

– Przestań, głuptasie!

Ruth kładzie plecak na stole i karmi koty. Ktoś nagrał się na sekretarce, bo na telefonie miga światełko. Przeczuwa, że nie jest to miła wiadomość. Już po chwili okazuje się, że ma rację. Pokój wypełnia głos

matki, poirytowany i z lekka zasapany.

„...czy przyjedziesz na Boże Narodzenie? Naprawdę, Ruth, mogłabyś czasem pomyśleć o innych. Simon potwierdził swój przyjazd już kilka tygodni temu. Myślę, że ty też nas zaszczycisz, bo chyba nie masz zamiaru spędzać świąt w tej okropnej...”

Ruth włącza przycisk: „Usuń”. Ma przyspieszony oddech. W kilku krótkich gładkich zdaniach matka zdołała zawrzeć cały ładunek negatywnych emocji i boleśnie ją zranić. Oskarżyła ją o samolubstwo, porównała z Simonem – chodzącym ideałem, dała do zrozumienia, że bez niej Ruth będzie skazana na święta przed telewizorem i rozkoszowanie się gotowym posiłkiem dla singli prosto z Marksa & Spencera. Ze złością napelnia kieliszek winem (wciąż słyszy głos matki: „Mam nadzieję, że się pilnujesz i nie pijesz za dużo? Martwimy się z tatą, że możesz się łatwo uzależnić...”) i układa w myślach odpowiednią ripostę. Nigdy jej oczywiście nie wygłosi, ale przynajmniej poprawi sobie samopoczucie. Krążąc po kuchni, formułuje pod adresem rodzicielki cięte uwagi, które mają jej dokuczyć.

„Nie zdecydowałam jeszcze, czy przyjadę, z tego prostego względu, że nie mam ochoty wysłuchiwać waszych tyrad na temat Dzieciątka Jezus i prawdziwego znaczenia świąt Bożego Narodzenia. Simon potwierdził swój przyjazd wcześniej, bo jest wstrętnym lizusem. Jeżeli nie przyjadę, to dlatego że będę spędzać święta w gronie przyjaciół albo na jakiejś tropikalnej wyspie, a nie samotnie, rozparta przed telewizorem, zapatrzona w pasjonujące przygody *Pani pastor z Dibley*. A poza tym chciałam zaznaczyć, że moje mieszkanie wcale nie jest okropną norą – jest dziesięć razy lepsze niż wasz prostacki bliźniak w Eltham, z tą jego sosnową boazerią i paskudnymi chińskimi bibelotami. I jeszcze jedno – to nie Peter ze mną zerwał, tylko ja z nim”.

Dorzuca to ostatnie zdanie, bo wie z doświadczenia, że matka na pewno nie omieszką nawiązać również do historii z Peterem. Zwłaszcza przy okazji świąt. „Peter przysłał nam kartkę na Boże Narodzenie... Wielka szkoda, że tak się stało... ale czy ty mnie kiedykolwiek słuchasz?... Wiesz, że Peter się ożenił?” To, że jej córka mogła z własnej nieprzymuszonej woli skończyć związek z przystojnym facetem, w dodatku kawalerem, nie mieści się jej w głowie. Ale podobnie reagowali także przyjaciele i koledzy z pracy, gdy oznajmiła im pięć lat temu, że rozstała się z Peterem. „Tak mi przykro... Znalazł sobie inną?... Nie martw się, on jeszcze do ciebie wróci...” Ruth wyjaśniała cierpliwie, że skończyła tę znajomość z bardzo prostego powodu, który nieoczekiwanie okazał się skomplikowany, a mianowicie zwyczajnie przestała go kochać. „No tak – odpowiadali znajomi, zupełnie ją ignorując – wkrótce się znudzi tą nową. A ty nie trać czasu, tylko zadbaj o siebie i swoje potrzeby, zafunduj sobie masaż, a może nawet postaraj się zgubić parę...”

Aby poprawić sobie humor, Ruth nastawia wodę na pyszny, chociaż tuczący makaron, i dzwoni do Erika. Był jej

pierwszym opiekunem naukowym, to on wprowadził ją w arkana archeologii sądowej. Nazywa się Erik Anderssen, ale jak było do przewidzenia, szybko zyskał sobie przydomek: Wiking. Erik wywarł na nią ogromny wpływ, a teraz jest jej bliskim przyjacielem. Ta myśl rozjaśnia twarz Ruth uśmiechem. Przypomina sobie jego jasne, przetykane srebrem włosy spięte w kitkę, wytarte dzinsy, prujący się sweter. Jest pewna, że dzisiejsze odkrycie bardzo go zaintryguje.

Erik – jak na wikinga przystało – wrócił do rodzinnej Norwegii. Ruth odwiedziła go tam w ubiegłym roku, w jego domu nad jeziorem, zbudowanym z drewnianych bali. Pamięta, jak chodzili rano popływać w lodowatej wodzie, a potem szli się rozgrzać do sauny parowej. Pamięta też pyszne jedzenie przygotowane przez Magdę i rozmowy na temat cywilizacji Majów, które toczyli pod rozgwieżdzonym niebem. Magda, żona Erika, jest zmysłową blondynką o bujnych kształtach, której boska uroda nie

przytłacza, lecz budzi sympatię. Ona również jest bliską przyjaciółką Ruth. Magda nigdy nie wspomniała nawet słowem o Peterze, chociaż była z nimi tamtego lata, gdy Ruth i Peter zakochali się w sobie; tak naprawdę to ona, z wrodzonym sobie taktem i delikatnością, doprowadziła do tego, że zostali parą.

Erik nie odpowiada. Ruth zostawia mu wiadomość i lekko zaniepokojona, sięga do plecaka. Wyjmuje uszczerbiony kawałek metalu i badawczo mu się przygląda. Naszyjnik nadal spoczywa w plastikowym woreczku, jest starannie opisany i opatrzony datą. Ruth odnosi wrażenie, że torques odwzajemnia jej spojrzenie. Phil chciał, żeby zostawiła go w sejfie na wydziale, ale odmówiła. Chciała przynieść naszyjnik do domu, do Słonych Błot, przynajmniej na jedną noc. Teraz ogląda go uważnie w świetle lampy stojącej na biurku.

Ponieważ naszyjnik długi czas leżał zanurzony w bagnie, na jego powierzchni pojawił się ciemnozielony nalot. Mimo to błyszczący i wygląda na złoty. Złoty torques! Ciekawe, ile może być wart? Przypomina sobie inny, tak zwany ślubny naszyjnik, znaleziony w okolicy Snettisham. Przepiękna rzecz, bardzo misternie wykonana. Zakończenia naszyjnika zdobi stylizowana ludzka twarz. Ten tutaj jest w gorszym stanie, może został uszkodzony przez pług albo łopatę. Jednak gdy dokładnie mu się przygląda, dostrzega charakterystyczny wzór, przypominający plecionkę. Odłamany fragment, który trzyma w ręku, ma zaledwie piętnaście centymetrów długości, ale bez trudu potrafi sobie wyobrazić, jak wyglądał wcześniej – niemal pełne koło otaczające szyję jakiejś dzikiej piękności. A może szyję dziecka – ofiary rytualnej?

Pamięta, jak bardzo Nelson był rozczarowany, gdy dowiedział się, że kości nie należą do Lucy Downey. Jak to jest, gdy ciągle trzeba obcować ze śmiercią, z duchami zmarłych? Ruth zdaje sobie sprawę, że dla inspektora policji kości z epoki żelaza to rzecz bez znaczenia, co najwyżej powód do irytacji – lecz dla niej są tak samo realne jak szczątki pięcioletniej dziewczynki zaginionej przed kilku laty. Dlaczego pozostawiono je na skraju trzęsawiska? Czy skazano ją (wielkość kości wskazuje na dziecko płci żeńskiej, choć nie jest to do końca pewne) na zdradzieckich bagnach na pewną śmierć? A może została zabita gdzie indziej i tylko pochowano ją na skraju bagien, by w ten sposób oznaczyć początek terenu uznawanego za święty?

Gdy makaron jest już gotowy, Ruth zasiada do stołu, obok okna. Przed sobą ma rozłożoną książkę Erika *Ruchome piaski*. Tytuł został zapożyczony z *Kamienia Księżycowego* Wilkie'ego Collinsa. Ruth po raz kolejny studiuje pierwszą stronę, na której Erik przytacza fragment utworu Collinsa zawierający opis ruchomych piasków: „Światło dzienne już dogasało i na dzikiej, opuszczonej plaży panowała jakaś groźna cisza. Ocean omywający wielką piaszczystą ławicę oddychał, nie wydając żadnego szmeru. Woda w zatoce spoczywała w bezruchu, nie marszczona najlżejszym powiewem wiatru. Na martwej powierzchni wody unosiły się strzępy białozółtej piany. Tu i ówdzie połyskiwało błoto i szlam, gdy ostatnie promienie światła padały na dwa wielkie cyple skalne wrzynające się w morze na północ i na południe. Zbliżał się czas przyływu i właśnie kiedy tam stałem, szeroka brunatna powierzchnia piasków zaczęła falować i drzeć, stanowiąc jedyną poruszającą się płaszczyznę w całej tej niesamowitej okolicy”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> W. Collins, *Kamień Księżycowy*, przeł. Wacława Komarnicka.

Collins z pewnością rozumiał, na czym polega rytualny charakter tego przedziwnego miejsca, gdzie morze łączy się z ziemią. Ruth przypomina sobie, że przynajmniej jedna postać z książki Collinsa poniosła śmierć w ruchomych piaskach. Zapamiętała także zdanie: „Piaski nigdy nic nie oddają”. Ale Słone Błota ujawniły część swoich sekretów – najpierw krąg, a teraz kości. Tak jakby przeznaczeniem Ruth było je odkryć. Bez wątplenia pomiędzy obydwoma

znaleziskami musi istnieć jakiś związek.

Ruth po raz kolejny czyta o tym, jak doszło do odnalezienia kręgu (Erik napisał co najmniej trzy książki na temat doniosłości tego odkrycia). W porannym świetle kromlech robił niesamowite wrażenie. Wyglądał trochę jak wrak statku, który bezgłośnie wynurzył się z głębin. Czarne drewniane pale tworzące krąg odcinały się złowieszczo na tle nieba. Pamięta, jak Erik opowiadał przy ognisku o różnych skandynawskich bóstwach wodnych. W przytaczanych przez niego historiach pojawiały się Niksy – wodnice potrafiące zmieniać kształt i wciągać niczego nieświadomych podróżników w topiel, a także Nokke – duchy rzeczne, których śpiew można było usłyszeć o świcie i o zmierzchu. Woda odgrywa w tych wierzeniach ważną rolę – jest źródłem życia, ale niesie również śmierć. Żywiol ten kojarzono często z kobietami, a te z kolei przedstawiano jako istoty mściwe, wabiące mężczyzn w odmęty, na pewną śmierć. Topielice o zielonych, kołysanych wodą włosach i palcach spiętych błoną, wyciągające ręce ponad wracającą falą...

Ruth tak bardzo pochłonięta jest czytaniem, że zapomina o makaronie. Następnego dnia nie ma wykładów. Pojedzie jeszcze raz obejrzyć miejsce, gdzie znaleziono kości.

Rano siecze jednak zimny, nieprzyjemny deszcz, bębni w szyby i spowija bagienną okolicę nieprzeniknioną szarą mgłą.

Ruth jest niepokieszona, chce się czymś zająć. Sporządza notatki do wykładów, zamawia książki z księgarni internetowej, a w końcu bierze się nawet do mycia lodówki. Myśłami ciągle jednak wraca do torquesu, leżącego w woreczku na stole obok okna. Krzymek, jakby zgadywał jej myśli, wskakuje na blat i bezceremonialnie siada na naszyjniku. Ruth spycha zwierzaka na ziemię. Nie chce, aby Phil zauważył kocią sierść. Jej szef traktuje koty z przymrużeniem oka i mówi o nich „menażeria Ruth”, na co ona się zżyma. Ale w wypadku ostatniego znaleziska Phil na pewno nie pozwoli sobie na ironiczny ton. Jeśli chodzi o Erika Wikinga, Phil zawsze podchodził z dystansem do niego i jego poglądów na temat krajobrazu rytualnego. Dla ludzi z epoki żelaza krąg musiał wydawać się czymś z zamierzchłej przeszłości – równie tajemniczym jak i dla nas. Czy ciało zostało złożone w bagnie, by oznaczyć początek krajobrazu mistycznego? A może było to zabójstwo rytualne, które miało pomóc zdobyć przychyłność bóstw wodnych? Jeżeli Ruth zdoła udowodnić, że oba znaleziska, ciało i krąg, są ze sobą powiązane – wówczas cały ten teren zyska zupełnie inną rangę. Słone Błota staną się jednym z najważniejszych stanowisk archeologicznych.

W porze lunchu Ruth nabiera przekonania, że pogoda nieznacznie się poprawiła. Podchodzi do furtki i stwierdza, że siekący deszcz zamienił się w łagodny kapuśniaczek. Zdaje sobie wprawdzie sprawę, że dół musiał wypełnić się wodą i w pojedynkę nie zdoła prowadzić żadnych badań, ale mimo to chce wrócić na miejsce znaleziska. Od niej to niedaleko, najwyżej półtora kilometra, i krótki marsz z pewnością dobrze jej zrobi. Zachęcona tą myślą, wkłada sztormiak i wodery – strój, który kupiła sobie, gdy wyjeżdżała na Hebrydy Zewnętrzne, by prowadzić tam wykopaliska. Wsuwa do kieszeni latarkę i zarzuca na ramiona plecak. Tylko chwilę popatrzy i zaraz wróci. Szybka przechadzka przed zmierzchem. Lepsze to niż siedzenie w domu, rozmyślanie i opychanie się ciastkami.

Na początku jest nawet całkiem przyjemnie. Wiatr wieje w plecy, a nieprzemakalne ubranie dobrze chroni przed wilgocią. W kieszeni ma tę samą mapę topograficzną, którą posługiwała się w trakcie wykopalisk prowadzonych w okolicy kręgu. Gdy studiowała ją wcześniej, zauważyła, że krąg oznakowano na żółto, a w miejscach, gdzie znaleziono inne kawałki drewna, również pochodzące z czasów prehistorycznych – umieszczono zielone nalepki. Prowadziły one od kręgu i układały się w jedną

linię. Erik był zdania, że dawniej mogła biec tamtędy ścieżka albo grobla. Czy to możliwe, że prowadziła do miejsca, w którym znaleziono kości?

Zamiast pójść drogą w stronę parkingu, Ruth kieruje się na zachód, ścieżką używaną przez obserwatorów ptaków. Wie, że póki będzie się trzymać wyznaczonego szlaku, na pewno bezpiecznie dotrze do celu. Teren po obu stronach ścieżki zajmują bagna, tu i ówdzie widać ogromne kępy trzciny, a na przestrzeni wielu kilometrów rosną smagane wiatrem trawy. Grunt wygląda na stabilny, ale Ruth wie z doświadczenia, że pełno w nim niewidocznych dla oka podtopień, zdradzieckich i głębokich. Gdy następuje przypływ, morze wdziera się na mokradła,

by szybko i bezszelestnie zająć niemal połowę ich powierzchni. To właśnie tutaj wiele lat temu utknął Peter, pomiędzy falą przypływu a bagnami. Leżał z twarzą w błocie, uczepony kłody drewna, podczas gdy Erik pełznął ku niemu, wykrzykując po norwesku słowa otuchy.

Ruth z trudem brnie naprzód. W tym miejscu jest już bardzo wąsko, a mgła ogranicza widoczność do kilku kroków. Za nic nie chciałaby zboczyć z drogi na mokradła. Deszcz nie ustępuje, niebo jest szare i ciężkie. W pewnym momencie Ruth płoszy stado bekasów, które zygzakiem unoszą się w górę, ale poza nimi nie ma żywej duszy. W czasie marszu nuci sobie piosenkę, wspomina Erika, Petera i pamiętne lato w Słonych Błotach. Rozmyśla o druidach, odwiedzających krąg i obozujących w jego pobliżu. Pamięta, że Erik starał się postępować tak jak oni. Przecież właśnie po to, mawiał, ów krąg zbudowano. Był przeciwny zamienianiu go w obiekt muzealny poddawany badaniom naukowym. Jednak uniwersytet, który finansował wykopaliska, chciał, by prehistoryczne drewno zostało stamtąd zabrane. Naukowcy tłumaczyli, że pale zalewane falami przypływu ulegają erozji, dlatego należy je odpowiednio zabezpieczyć. „Ale przecież one miały ulegać erozji – spierał się z nimi Erik. – To naturalny bieg rzeczy, życie i śmierć, przypływ i odpływ, właśnie na tym to wszystko polega”.

Jednak Erik przegrał – pale usunięto. Wolno i z niemałym trudem zostały przewiezione do uniwersyteckiego laboratorium. Teraz Ruth czuje żal na wspomnienie drewnianego kręgu, który leżał zagrzebany w ziemi przez dwa tysiące lat. Jego miejsce jest tutaj, pomyślała, brnąc przez muliste kałuże z rękami w kieszeniach. „Piaski nigdy nic nie oddają”.

W końcu zauważyła wiatę, przy której Nelson kazał sierżantowi Cloughowi pozbierać śmieci. Dostrzega także parking, rzecz jasna zupełnie teraz opustoszały. Grunt jest tu bardziej stabilny i dlatego idzie dość szybko, mimo że brakuje jej tchu (od stycznia po prostu musi zacząć chodzić na siłownię). Taśma policyjna, którą otoczono miejsce znaleziska, nadal łożoce na wietrze. Ruth schyla się i przechodzi pod spodem. Myśli o Nelsonie, jego zaangażowaniu i o tym, jak bardzo był rozczarowany, gdy okazało się, że odnalezione kości to nie szczątki Lucy Downey. Dziwny z niego człowiek, pomyślała, jest szorstki i niezbyt miły w obejściu, ale chyba naprawdę przejął się losem tego dziecka.

Tak jak się spodziewała, dół niemal po brzegi wypełnia woda. To zawsze jest poważny problem, gdy wykopaliska prowadzi się na bagnistym terenie zalewowym. W archeologii ważny jest kontekst – zespół danych określających położenie zabytku archeologicznego na stanowisku. W wypadku takich stanowisk trudno cokolwiek ustalić, bo grunt jest bardzo niestabilny i ciągle się zmienia. Ruth wyciąga z plecaka kubek i zaczyna wybierać nim wodę. Nie liczy na to, że zdoła opróżnić cały wykop, ale może uda jej się coś odsłonić. Phil obiecał przysłać z uniwersytetu profesjonalną ekipę, by wszystko zostało przebadane jak należy, ale na razie Ruth woli przyjrzeć się znalezisku sama. To ona dokonała odkrycia.

Po upływie pół godziny, może nieco później, wydaje jej się, że coś dostrzega. Jakiś matowy, brązowozielony błysk w ciemnej żyznej ziemi. Delikatnie oczyszcza pędzelkiem krawędzie przedmiotu, który wygląda jak kolejny torques. Drżącymi z przejęcia rękami wyjmuje mapę i zaznacza kolejne



znalezisko. Drugi torques w tym samym miejscu może wskazywać, że trafiła na skarb złożony w celach rytualnych.

To bez wątplenia drugi torques. Wygląda na zniszczony i powgniatany, jakby ścisnęła go czyjaś potężna dłoń. Ale gdy przygląda mu się uważniej, widzi, że jest nietknięty. Oba końce są nieuszkodzone, zaokrąglone i gładkie, natomiast główna część ma formę plecionki. Jest pewna, że torques pochodzi z tego samego okresu, co poprzedni – wczesnej lub środkowej epoki żelaza. Może to skarb wotywny? Gdy tego rodzaju znalezisko występuje pojedynczo, można mówić o przypadku, ale dwa wskazują na jakiś rytuał.

Siada na piętach, bolą ją ramiona. Dopiero teraz zauważa, że zapadł zmierzch. Spogląda na zegarek. Jest czwarta! Spacer mógł trwać najwyżej trzydzieści minut, a więc pochylała się tutaj nad błotnistą jamą przez niemal dwie godziny. Koniecznie musi wracać. Prostuje plecy, wkłada do kieszeni torebkę z torquesem i naciąga na głowę kaptur. Deszcz, który zamienił się w mżawkę, teraz nagle znowu przybiera na sile i siecze ją po twarzy. Ruth idzie pod górę, kierując się w stronę ścieżki. Spuszcza głowę i wolno posuwa się do przodu. Nigdy jeszcze nie utknęła na bagnach w ciemności i nie ma zamiaru narażać się na to dzisiaj.

Przez jakieś dwadzieścia minut z trudem maszeruje w strugach zacinającego deszczu. W końcu staje. Do tego czasu powinna już trafić na żwirową ścieżkę. Jest prawie zupełnie ciemno, jedynie gdzieś na bagnach pojawiają się fosforyzujące błyski. Wyjmuje latarkę, ale w jej chybottliwym świetle wszędzie widać tylko mokradła. Z oddali dobiega ryk morza, z hukiem wdzierającego się na ląd. Próbuje rozłożyć mapę, jednak wiatr trzepoce nią tak, że nie sposób czegokolwiek odczytać. A ponieważ mapa jest zbyt cenna, żeby ją stracić, na powrót wsuwa ją do plecaka. Wyciąga kompas. Zanadto oddaliła się na wschód. Wolno, próbując nie wpadać w panikę, odwraca się w kierunku południowym i dopiero wtedy podejmuje wędrówkę.

Musi się jednak zatrzymać, bo trafia stopą w pustkę. Chwilę później zapada się w błotnistej mazi aż po kolana. Niewiele brakowało, by upadła na twarz, ale zdołała zachować równowagę. Odchyła się do tyłu i siada na twardym gruncie. Z trudem wydobywa nogę z grząskiego błota. Towarzyszy temu nieprzyjemny plusk, lecz wysoki but, dzięki Bogu, trzyma się na nodze. Sapiąc z wysiłku, robi krok w tył. Udaje jej się stanąć. Krok w przód – błotnista maź. Na prawo – jeszcze gorzej. Na lewo – bardziej pewny grunt. Stara się przesunąć w lewo. W wyciągniętej ręce trzyma latarkę.

Po kilku krokach ląduje w rowie. Próbuje się ratować, rozkłada ramiona i czuje pod palcami lodowatą wodę. Przykłada dłoń do ust. Sól. O Boże! – musiała dotrzeć na teren objęty przypiływem. Zrywa się na równe nogi, ściera z twarzy błoto i znów spogląda na kompas. Wschód. Czyżby zupełnie ominęła ścieżkę? Zmierza prosto w stronę morza? Dźwięk, który ją otacza, jest teraz tak głośny, że nie potrafi rozróżnić, czy słyszy morze, czy tylko szum wiatru. Chwilę potem u jej stóp rozbryzguje się fala. Nie ma wątpliwości – woda jest bardzo zimna i przynosi zapach soli. Ruth musiała dotrzeć na teren zalewowy, możliwe, że w to samo miejsce, gdzie kiedyś utknął Peter. Tyle że teraz nie ma w pobliżu Erika, który mógłby pospieszyć na ratunek. Utonie tutaj, na tych bezludnych mokradłach, razem z bezcennym, pochodzącym z epoki żelaza torquesem w kieszeni.

Zaczyna płakać. Łzy mieszają się z deszczem i kroplami morskiej wody. Wtem słyszy jakiś głos, który zdaje jej się cudem – jest tak nierzeczywisty, że bierze go za złudzenie. Ktoś do niej woła. Ruth zauważa światełko przesuwające się w jej kierunku.

– Pomocy! – krzyczy przeraźliwie. – Pomocy!

Światło jest coraz bliżej i męski donośny głos podpowiada jej z oddali:

– Tędy, proszę iść w moją stronę!



Prawie na czworakach pełźnie w kierunku światełka i głosu. Z mgły wyłania się jakaś postać – krepa, w kurtce odblaskowej. Ktoś chwyta ją za rękę.

– Tędy – instruuje głos.

Ruth przywiera do żółtego przeciwdeszczowego rękawa niczym do koła ratunkowego i potykając się, idzie za swoim wybawcą. Mężczyzna wydaje się znajomy, ale ona nie ma siły teraz o tym myśleć. Jest tylko w stanie iść za nim krętą ścieżką – w lewo, w prawo, pod wiatr, a potem z wiatrem, przez mokradła. Ale bez względu na to, którą drogę obiera mężczyzna, z pewnością nie błądzi i widać, że dobrze zna teren. Niemal przez cały czas idą po twardym gruncie, a wkrótce Ruth zauważa niebiesko-białą taśmę policyjną i parking, na którym stoi poobijany land rover.

– Mój Boże! – Ruth puszcza rękę nieznajomego i pochyla się, by złapać oddech.

Mężczyzna robi krok w tył i oświetla latarką jej twarz.

– Bawi się pani w podchody? – pyta dość obcesowo.

– Wracałam do domu i zabłądziłam. Bardzo panu dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła bez pana pomocy.

– Skończyłaby pani na dnie bagna, proste. – Potem ton jego głosu nieco się ociepla. – Pani jest tą dziewczyną z uniwersytetu?

Ruth patrzy na niego, zauważa krótko obcięte szpakowate włosy, błękitne oczy i służbową z wyglądu kurtkę. Teraz poznaje – to jej sąsiad, strażnik z rezerwatu ptaków. Uśmiecha się do niego. Mimo feministycznych zapatrywań Ruth z przyjemnością akceptuje to, że została nazwana dziewczyną.

– Tak. A pan jest moim sąsiadem, jeśli się nie mylę?

Mężczyzna wyciąga do niej rękę.

– David.

Ruth ściska dłoń wybawcy, a jej twarz znów rozjaśnia uśmiech, bo cała ta sytuacja wygląda trochę nierealnie. Jeszcze chwilę wcześniej szła obok niego, trzymała kurczowo jego dłoń i zanosila się histerycznym płaczem. A teraz można by odnieść wrażenie, że właśnie się spotkali na koktajl party.

– Ruth. Jeszcze raz dziękuję. Uratowałeś mi życie.

David wzrusza ramionami.

– Nie ma sprawy. Pora, żebym cię odwiózł. Tam stoi mój samochód.

Land rover wydaje się oazą ciszy i spokoju. Ruth czuje, że rozpiera ją radość. Nie dość, że ocalała, to wygodnie wraca do domu, na dodatek z torquesem w kieszeni.

– Skąd wiedziałeś, którędy iść? – zwraca się do Davida, który próbuje uruchomić silnik. – To zdumiewające, z jaką łatwością odnajdywałeś drogę wśród bagien.

– Znam tę okolicę jak własną kieszeń – odpowiada David, wrzucając bieg. – To dziwne. Z ziemi wystają drewniane pale. Gdy idzie się wzdłuż nich, można bezpiecznie przejść mokradła. Nie wiem, kto je tutaj umieścił, ale ktokolwiek to był, musiał znać ten teren jeszcze lepiej niż ja.

Ruth wbija w niego wzrok.

– Drewniane pale... – mówi szeptem.

– Tak, są wpuszczone dość głęboko w ziemię, a niekiedy do połowy zanurzone, ale można dzięki nim przedostać się przez ten zdradziecki łąd aż do morza.

Aż do morza. Prosto do kręgu. Ruth dotyka plastikowej torebki w kieszeni, ale nic nie mówi. W jej głowie kłębią się różne myśli.

– Ale co właściwie robiłaś w taką pogodę na bagnach? – pyta David, gdy jadą drogą prowadzącą do

Słonych Błot. Wycieraczki prawie się wyginają pod ciężarem spływającej wody.

– Coś znaleźliśmy. Niedaleko parkingu. Chciałam jeszcze raz się temu przyjrzeć. Wiem, że postąpiłam głupio.

– Znaleźliście coś? Coś starego? Jesteś archeologiem, prawda?

– Tak. Są tam kości pochodzące z epoki żelaza. Myślę, że może to mieć jakiś związek z kręgiem. Pamiętasz, jak dziesięć lat temu odkryliśmy tutaj krąg?

Jak przez mgłę Ruth przypomina sobie, że David przychodził do nich tamtego lata popatrzeć, jak przebiegają prace wykopaliskowe. Jaka szkoda, że od tego czasu aż do dzisiaj nie zamienili ze sobą ani słowa.

– Owszem – mówi z namysłem David. – Przypominam sobie takiego faceta z kitką, chyba waszego szefa. Fajny był z niego gość. Mogłem z nim przesiadywać godzinami.

– Tak. On jest w porządku.

Zabawne, Ruth nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że David przypomina trochę Erika. Może to kwestia jego spojrzenia, nawykłego do dalekich horyzontów.

– A więc znowu pojawi się tu chmara ludzi? Druidzi, studenci i różni idioci z aparatami fotograficznymi.

Ruth zastanawia się przez chwilę. Widzi, że David wolałby, żeby nikt tu nie przyjeżdżał, a Słone Błota pozostały wyłącznie ptasim rezerwatem. A ona właśnie liczy na to, że rozpoczną się tu wykopaliska na wielką skalę. I że prawie na pewno przyjadą tutaj studenci, różni idioci z aparatami, a może nawet druidzi.

– Niekoniecznie – mówi w końcu. – Obecnie raczej się takich rzeczy nie nagłaśnia.

Dawid mruczy coś pod nosem.

– Niedawno była tu policja. Czego szukali?

Ruth nie jest pewna, ile może mu powiedzieć.

– To z powodu kości – oznajmia w końcu. – Ale gdy się okazało, że pochodzą z czasów prehistorycznych, przestali się nimi interesować.

Tymczasem docierają pod niebieską furtkę. David patrzy na Ruth i po raz pierwszy się uśmiecha, pokazując lśniąco białe zęby. Ciekawe, ile ma lat. Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Podobnie jak u Erika nie sposób określić jego wieku.

– Ale ty – pyta David – jesteś nimi tym bardziej zainteresowana, prawda?

Ruth rozciąga usta w uśmiechu.

– Owszem.

Gdy otwiera drzwi wejściowe, dzwoni akurat telefon. Wie, że to na pewno Erik.

– Ruthie! – słyszy jego melodyjny głos, pokonujący wiele kilometrów na trasie z mroźnej Norwegii. – O co chodzi z tym odkryciem?

– Och, Eriku! – mówi podekscytowana, stojąc na dywanie i ociekając wodą. – Myślę, że znalazłam to przejście, którego szukałeś.

*Jest ciemno, ale zdążyła do tego przywyknąć. Wyciąga rękę, żeby sprawdzić, czy dosięgnie ściany, i trafia*

*na zimny kamień. Tu nie ma drzwi. Jedyne w suficie jest właz, lecz nigdy nie wiadomo, kiedy się otworzy. A czasami, gdy się uchyla, jest jeszcze gorzej. Nie ma sensu krzyczeć ani płakać. Robiła to już wiele razy i zawsze bez skutku. Czasami jednak mimo wszystko krzyczy, byle tylko usłyszeć swój głos. Brzmi jakoś dziwnie, jakby należał do kogoś obcego. Czasami ma wrażenie, że ten drugi głos dotrzymuje jej towarzystwa. Niekiedy prowadzą długie rozmowy, szepcząc w ciemnościach.*

*„Nie martw się”.*

*„Wszystko będzie dobrze, zobaczysz”.*

*„Najciemniej jest zawsze przed świtem”.*

*Nie jest pewna, czy kiedykolwiek słyszała te słowa, chociaż teraz ma wrażenie, że zna je od zawsze. Kto jej powiedział, że najciemniej jest zawsze przed świtem? Nie pamięta. Wie tylko tyle, że te słowa napęniają ją otuchą i dają ciepło, zupełnie jakby otuliła się kocem. Dostaje dodatkowy pled, kiedy jest zimno, ale nawet wtedy drży tak bardzo, że rankiem boli ją całe ciało. Niekiedy robi się cieplej i przez szpary wokół włazu przenika trochę światła. Kiedyś otworzył okno pod sufitem.*

*Zwykle otwiera je tylko nocą, gdy niebo jest czarne, ale wtedy było niebieskie i blask poraził jej oczy. Kraty w oknie wyglądały jak żółta drabinka. Czasami marzy o tym, by wspiąć się po niej i uciec... Dokąd? Nie wie. Myśli o słońcu na twarzy, ogrodzie, gdzie słychać wiele różnych głosów, czuć aromatyczny zapach potraw i splywa kaskada chłodnej wody. Czasami przechodzi przez tę wodę, która przypomina zasłonę. Zasłona. Gdzie? Taka zasłona z koralików, przez którą przebiega się ze śmiechem, a po drugiej stronie znów jest jasno, słychać głosy i ktoś mocno ją przytula. Tak mocno, że nigdy nie pozwoli jej odejść.*

*A kiedy indziej myśli sobie, że za tymi ścianami nie ma już nic. Tylko kolejne ściany, żelazne kraty i zimne betonowe posadzki.*

## ROZDZIAŁ 4

Ruth opuszcza dom rodziców po świętach Bożego Narodzenia najszybciej jak się da, ale tak, by nikt nie poczuł się obrażony. Phil urządza przyjęcie sylwestrowe i chociaż wolałaby dać sobie uciąć rękę, niż w nim uczestniczyć, mówi rodzicom, że nie może mu odmówić. „Układy zawodowe. W końcu Phil jest szefem wydziału”. Rodzice to rozumieją. Rozumieją, że można brać udział w przyjęciu tylko po to, by pomóc sobie w karierze. Śmiesz ją, że tylko taką argumentację są w stanie przyjąć.

Tak więc dwudziestego dziewiątego grudnia Ruth jedzie autostradą M11 do Norfolk. Powoli zbliża się południe i mróz zdążył już zelżeć. Dlatego jedzie stosunkowo szybko i wypełnia ją radość. Śpiewa razem z Bruce'em Springsteenem, którego nową płytę kupiła sobie w prezencie z okazji świąt. Jej brat Simon uważa, że ma gust muzyczny szesnastolatki. „Mało wyrobionej szesnastolatki”. Ona zupełnie się tym nie przejmuje. Uwielbia Bruce'a, Roda i Bryana. Wszystkich tych starzejących się rockmanów, ich ochryple głosy, spłowiałe dzinsy i młodzieńczo wyglądające fryzury. Podoba jej się sposób, w jaki śpiewają o miłości, o tym, co utracili, i o mrocznym, bezdusznym sercu Ameryki, przy czym wszystkie ich kawałki

brzmiały tak samo – banalne gitarowe akordy i morze dźwięków. I tekst, który gubi się w finałowym wściekłym crescendo.

Głośno śpiewając, zjeżdża na trasę A11 w kierunku Newmarket. Właściwie te święta nie były wcale takie złe. Rodzice nie suszyli jej zbyt głowę o to, że nie zagląda do kościoła, ani o to, że nie wychodzi za męża. Simon też nie dał się jej tak bardzo we znaki, a bratankowie, sześć- i ośmioletni, byli w

odpowiednim wieku, by można było pójść z nimi do parku i fantastycznie bawić się w myśliwych z epoki neolitu. Chłopcy ją uwielbiali, bo opowiadała im różne ciekawe historie na temat jaskiniowców albo dinozaurów i nigdy nie ganiła za to, że mają brudne buzie.

„Umiesz postępować z dziećmi – z utajoną pretensją rzuciła jej bratowa Cathy. – Powinnaś...”

„Co powinnam?”, spytała, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

„Powinnaś mieć własne dzieci. Chociaż teraz, jak sądzę...”

Teraz pogodziłam się już z tym, że gram rolę starej panny, matki chrzestnej i powoli dziwaczej, dziergając dla kotów ubranka z własnych włosów, myśli Ruth, zreżnie wyprzedzając przepelnionego busa. Ma już prawie czterdzieści lat i chociaż nadal mogłaby urodzić dziecko, zauważyła, że ludzie wspominają o tym coraz rzadziej. To jej akurat odpowiada. Kiedy była z Peterem, bardziej niż aluzje do weselnych dzwonów denerwowały ją uwagi o zakupie wyprawki dla niemowląt. Gdy w jej domu pojawiły się koty, matka zapytała wprost, czy nie jest to czasem rodzaj kompensacji braku dzieci. „Nie – odpowiedziała poważnym tonem. – To dziecko byłoby rodzajem kompensacji, gdyby się okazało, że nie mogę trzymać kociąt”.

Późnym popołudniem, kiedy zimowe słońce zawieszono jest nisko ponad kępami trzciny, dociera do Słonych Błot. Zbliży się pora przyływu, mewy krążą wysoko, przeraźliwie krzycząc. Gdy wysiada z samochodu, wciąga w płuca cudownie rześkie morskie powietrze, odurzające i tchnące tajemnicą. Cieszy się, że wróciła do domu. Chwilę później zauważa okropny samochód weekendowiczów zaparkowany przed ich chatką i czuje narastającą irytację. Chyba nie przyjechali świętować tu Nowego Roku? Dlaczego nie mogą zostać w Londynie i jak wszyscy normalni ludzie przyjść na zatłoczony Trafalgar Square albo zorganizować eleganckiego kameralnego przyjęcia u siebie w domu? Dlaczego muszą przyjeżdżać akurat tutaj, żeby „od tego wszystkiego uciec”? Pewnie będą puszczać race, płosząc wszystkie ptaki w promieniu wielu kilometrów. Na myśl o minie Davida na twarzy Ruth pojawia się smutny uśmiech.

W domu, by ceremoniom powitalnym stało się zadość, Krzemyk skacze na nią i miauczy wniebogłosy. Za to Skierka spokojnie siedzi na sofie i w ogóle jej nie zauważa. W czasie nieobecności Ruth kotami opiekowała się Shona, jej przyjaciółka, która przygotowała też miłą niespodziankę. Na stole pojawiły się kwiaty, a w lodówce mleko i białe wino. Niech Bóg ma ją w opiece, myśli Ruth, nastawiając czajnik.

Shona, która uczy angielskiego na tym samym uniwersytecie, jest najlepszą przyjaciółką Ruth w Norfolku. Podobnie jak

Peter przed dziesięciu laty zgłosiła się na ochotnika do prac wykopaliskowych w okolicy kręgu. Trochę afektowana Irlandka z burzą prerafaelskich loków, sympatyzująca z druidami. Kiedyś uczestniczyła nawet wspólnie z nimi w całonocnym czuwaniu, któremu towarzyszyły monotonne śpiewy. Siedzieli razem na piasku, dopóki przyływ nie zmusił ich do przeniesienia się w głąb łądy. Tyle że Shona skreśliła do pubu, skuszona zaproszeniem na guinnessa. Taka właśnie była. Niby starała się żyć w duchu New Age, ale gdy ktoś zaproponował jej drinka, zasady, którym hołdowała, szły w odstawkę. Shona jest związana z żonatą wykładownicą. Czasami przychodzi do domu Ruth zalana łzami i potrząsając czupryną, oświadcza, że nienawidzi mężczyzn, chce zostać zakonnicą, lesbijką, a najlepiej jedną i drugą jednocześnie. Gdy jednak wypije lampkę wina, zaraz ma lepszy humor. Śpiewa razem z Bruce'em Springsteenem i mówi przyjaciółce, że jest „kochana”. Shona to niewątpliwie największy skarb, jaki Ruth znalazła na uniwersytecie.

Na sekretarce nagrane są cztery wiadomości. Jedna pomyłkowa, druga od Phila, który przypomina jej o przyjęciu, trzecia od matki, która niepokoi się, czy Ruth dotarła do domu, a czwarta... to zupełnie zaskoczenie.

– Halo... Mówi Harry Nelson z policji w Norfolku. Może pani oddzwonić? Dziękuję.

Harry Nelson. Nie rozmawiała z nim od dnia, kiedy razem pojechali oglądać znalezisko z epoki żelaza. Wysłała mu potem wyniki badań metodą węgla radioaktywnego <sup>14</sup>C, które potwierdziły, że kości należały najprawdopodobniej do osoby płci żeńskiej przed okresem dojrzewania i pochodziły z około 650 roku przed naszą erą. Od tamtej pory nie miała od niego żadnych wieści i wcale się ich nie spodziewała. Raz, w okolicy Bożego Narodzenia, gdy bez entuzjazmu robiła zakupy w Norwich, zauważyła go, jak szedł zamaszystym krokiem, obwieszony torbami i wyraźnie niezadowolony. Towarzyszyły mu szczupła blondynka w markowym dresie i dwie nadąsane nastoletnie pannice. Ruth zaszła się w księgarni Borders i obserwowała Nelsona zza wystawy prezentującej kalendarze. W kobiecym świecie, pośród toreb z zakupami i migających choinkowych lampek, czuł się nieswojo, bardziej niż kiedykolwiek przypominał typowego macho skrępowanego całą sytuacją. Kobieta (żona?) odrzuciła do tyłu włosy i posłała mu wystudiowany uśmiech, którego moc musiała sprawdzać na nim wiele razy. Nelson odburknął coś w odpowiedzi, co obie dziewczyny skwitowały śmiechem. Ruth doszła do wniosku, że w domu kobiety trzymają ze sobą sztamę i nie dopuszczają go do babskich rozmów na temat facetów i tuszów do rzęs. Lecz potem Nelson dogonił żonę i szepnął jej coś, co wywołało salwę szczerego śmiechu, zmierzwił ręką misterną fryzurę jednej z córek i zwinnie uskoczył, uśmiechając się szeroko i nie zwracając uwagi na burzliwe protesty swojej latorośli. Przez moment wyglądali na zżytą i doskonale rozumiejącą się rodzinę – szczęśliwą, skorą do żartów, lekko tylko przejętą koniecznością zrobienia świątecznych zakupów. Ruth skierowała wzrok na kalendarze, z których patrzyły na nią szyderczo

uśmiechnięte oblicza Simpsonów. Tak czy inaczej nie zносиła świąt i już.

Dlaczego Nelson do niej dzwonił? Co takiego się stało, że pilnie chciał z nią rozmawiać? W dodatku nie raczył nawet zostawić numeru telefonu. Poirytowana, ale i mocno podekscytowana przejrzała książkę telefoniczną, próbując ustalić numer policji w Norfolku. Ten, który znalazła, jest oczywiście błędny. „Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, wciśnij klawisz”, słyszy w słuchawce czyjś zaaferowany głos. W końcu dodzwania się do jakiegoś funkcjonariusza, który, aczkolwiek niechętnie, łączy ją ze starszym inspektorem policji.

– Tu Nelson – rozpoznaje znajomy głos, w którym pobrzmiwają wrogość i zniecierpliwienie, jeszcze bardziej wyczuwalne niż ostatnio, a do tego silny północny akcent.

– Mówi Ruth Galloway z uniwersytetu. Dzwonił pan do mnie.

– Ach tak, rzeczywiście. Dzwoniłem kilka dni temu.

– Nie było mnie w domu – wyjaśnia. Niedoczekanie, by miała go jeszcze przeproszać, do cholery.

– Pojawily się nowe okoliczności. Może pani stawić się w komisariacie?

Jest kompletnie zaskoczona. Oczywiście chętnie poznałaby szczegóły, ale mierzi ją ton Nelsona, który bardziej przypomina rozkaz niż prośbę. Już samo sformułowanie „stawić się w komisariacie” wywołuje dreszcz, jakby nagle wezwano ją, by „zeznawała w sprawie”.

– Jestem bardzo zajęta – stwierdza.

– Wyślę po panią samochód – oznajmia Nelson. – Rano, dobrze?

Ma już na końcu języka odmowę: „Jutro to niestety niemożliwe. Lecę na bardzo ważną konferencję naukową na Hawaje, w której będą uczestniczyć same sławy, i nie mogę rzucić wszystkiego, by spełnić pana żądanie”. Zamiast tego mówi jednak: „Myślę, że będę mogła poświęcić panu godzinę lub dwie”.

– Świetnie – odpowiada Nelson. – Dziękuję – dorzuca na koniec, chociaż w jego ustach brzmi to mało naturalnie, jakby rzadko miał okazję wypowiadać takie słowa.

## ROZDZIAŁ 5

Policyjny wóz zajezdza przed dom Ruth punktualnie o dziewiątej. Ponieważ tego się właśnie spodziewała (Nelson wygląda jej na rannego ptaszka), jest ubrana i gotowa do wyjścia. W drodze do samochodu zauważa kogoś z rodziny weekendowiczów (Sarę? Sylvie? Susanne?), kto zerka ukradkiem przez okno. Dlatego macha w ich kierunku ręką i posyła im promienny uśmiech. Pewnie myślą, że została aresztowana. Za to, że mieszka sama i waży blisko osiemdziesiąt kilogramów.

Auto wiezie ją do centrum King's Lynn. Komisariat policji mieści się w wolno stojącym wiktoriańskim budynku, który nadal bardziej przypomina dom mieszkalny niż siedzibę instytucji publicznej. Na potrzeby recepcji zaadaptowano oczywiście salon. Brakuje w nim tylko oprawnych w ramy portretów przodków. Zamiast nich wiszą plakaty, które przekonują, żeby zamykać samochód i nie przekraczać dozwolonej prędkości. Eskortujący Ruth małomówny mundurowy prowadzi ją do drzwi obok recepcji. Ruth wyobraża sobie, co myślą zrezygnowani ludzie, czekający pokornie w kolejce i zastanawiający się, kim ona jest i czym zasłużyła sobie na specjalne traktowanie. Wchodzą na górę po całkiem ładnych, krętych schodach, teraz zeszepeczonych biurową wykładziną, i stają przed drzwiami gabinetu, na których widnieje tabliczka z napisem „Wydział Dochodzeniowo-Śledczy”.

Harry Nelson siedzi za podniszczonym laminowanym biurkiem, otoczony stertami papierzysek. Gabinet bez wątpienia został wydzielony z większego pomieszczenia, o czym świadczy styk gipsowej ścianki działowej z elegancko zaokrąglonym sufitem. Pokój ma zaburzone proporcje, jest bardzo wysoki i wąski, a na wpół przesłonięte zepsutą żaluzją okno wydaje się zbyt duże. Jednak Nelsonowi najwyraźniej to nie przeszkadza.

Wstaje na powitanie.

– Dzień dobry, Ruth. Dobrze, że pani przyszła.

Nie przypomina sobie, by pozwoliła mu zwracać się do siebie po imieniu, ale teraz jest już za późno na protesty. Przecież nie poprosi go, żeby na powrót tytułował ją „doktor Galloway”.

– Kawa? – pyta Nelson.

– Tak, poproszę. Czarną.

Ruth wie, że kawa będzie smakować okropnie, ale nie chce być nieuprzejma i odmawiać. A poza tym przynajmniej będzie miała co zrobić z rękami.

– Dwie czarne kawy, Richards – rzuca Nelson w kierunku wyczekującego na dalsze dyspozycje policjanta. Najprawdopodobniej słowo „proszę” przychodzi mu tak samo trudno jak „dziękuję”.

Ruth zajmuje miejsce na zdezelowanym plastikowym krześle obok biurka. Nelson również siada i przez dłuższą chwilę tylko bacznie się jej przygląda, marszcząc brwi. Ruth zaczyna czuć się nieswojo. Chyba nie zaprosił jej tutaj na kawę? Czy to milczenie ma onieśmielać podejrzanych?

Policjant wraca, niesie dwie kawy. Ruth dziękuje mu wylewnie i zrezygnowana zauważa, że kawa jest bardzo słaba, a na wierzchu pływa jakiś kożuch. Nelson czeka, aż zamkną się drzwi, i dopiero wtedy zaczyna rozmowę.

– Pewnie się pani zastanawia, dlaczego panią zaprosiłem.

– Owszem – odpowiada, biorąc łyk kawy. Smakuje jeszcze gorzej, niż wygląda.

Nelson podtyka jej pod nos jakieś akta.

– Zaginęło jeszcze jedno dziecko, mówi. Na pewno widziała pani wzmianki w prasie.

Ruth nic nie odpowiada. Nie czytuje gazet.



Nelson patrzy na nią przenikliwie, zanim znów zaczyna mówić. Przychodzi jej na myśl, że musi być bardzo zmęczony. Ma sińce pod oczami i na pewno rano się nie golił. Szczerze mówiąc, wygląda bardziej jak przestępca niż policjant.

– Przyszedł list – oznajmia Nelson. – Pamięta pani sprawę Lucy Downey? Mówiłem pani, że wtedy również dostawałem listy. Wszystko wskazuje na to, że ten ostatni przysłała ta sama osoba. A w każdym razie ktoś, kto chce mnie utwierdzić w takim przekonaniu, co wydaje się jeszcze dziwniejsze.

– Sądzi pan, że autor listów może być mordercą?

Nelson długo się zastanawia nad odpowiedzią. Marszczy brwi, wpatrując się ponuro w filiżankę kawy.

– Niebezpiecznie jest przesądzać o czymś z góry – oświadcza w końcu. – Tak właśnie postąpiono w słynnej

sprawie Kuby Rozpruwacza, jeśli pani pamięta. Policja była tak przeświadczona, że listy pochodzą od mordercy, że w rezultacie całe śledztwo poszło w niewłaściwym kierunku, a potem okazało się, że listy pisał jakiś czubek. Teraz może być podobnie. To nawet całkiem prawdopodobne. – Na chwilę znów zapada cisza. – Jednak zawsze istnieje podejrzenie, że listy faktycznie pochodzą od mordercy, a wtedy trzeba traktować je poważnie, bo mogą zawierać istotne dla śledztwa wskazówki. Przypomniałem sobie, co pani mówiła na temat rytuałów i innych tego rodzaju rzeczy, gdy przyjechała pani zbadać kości. W tych listach jest wiele tego typu odwołań. Przyszło mi na myśl, że byłoby dobrze, gdyby je pani przejrzała. Chciałbym wiedzieć, co pani o tym myśli.

Ruth spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego, że będzie musiała czytać jakieś anonimy. Ostrożnie ujmując teczkę z dokumentami i otwiera ją. W środku jest list. Bierze go do ręki. Wygląda na to, że został napisany na standardowym edytorze tekstu, a do wydruku posłużył zwykły papier, ale dochodzi do wniosku, że takie rzeczy policja na pewno potrafi ustalić sama. Ona powinna skupić się na treści.

Szanowny Panie Inspektorze,

jest pora na każdą rzecz i jest czas na każdą sprawę pod niebem. Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co posadzone. Czas zabijania i czas leczenia. Czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni. Ona leży tam, gdzie niebo spotyka się z ziemią. Tam gdzie korzenie wielkiego drzewa Yggdrasil dosięgają nowego życia. Wszelkie ciało to jakby trawa. Jednak umierając, zyskujemy życie. Ona stała się idealną ofiarą. Krew na kamieniu. Szkarłat na bieli. Pokój z Tobą.

Pod listem brakuje podpisu.

– I jak? – Nelson bacznie się jej przygląda.

– No cóż, początek pochodzi z Biblii. Księga Eklezjasty.

Ruth wierci się niespokojnie na krześle. Czuje się trochę nieswojo, jak zawsze, gdy mowa jest o Biblii.

– O co chodzi z tym drzewem?

– W mitologii skandynawskiej występuje drzewo zwane Yggdrasil. Jego korzenie sięgają piekła, ale także nieba. Istnieje wiele podań na ten temat.

Gdy o tym mówi, przypomina jej się Erik, który świetnie znał stare nordyckie legendy i umiał je przejmująco opowiadać przy ognisku. Pamięta jego wyłaniającą się z półcienia, rozpromienioną twarz, gdy snuł opowieści o Odynie, Thorze, Asgardzie, krainie bogów i Muspelheim, krainie ognia.

– W liście jest mowa o tym, że korzenie tego drzewa dosięgają nowego życia.

– No tak.

Była to pierwsza rzecz, na którą zwróciła uwagę. Zdziwiło ją, że Nelson potrafi być taki przenikliwy.

– Niektórzy sądzą, że człowiek prehistoryczny miał inną koncepcję nieba i lokalizował je p o d ziemią, a nie nad nią. Słyszał pan może o Seahenge?

– Nie.

– To drewniany krąg, który znaleziono w Holme-Next-the-Sea. Podobny do tego w Słonych Błotach, ale tam pośrodku zakopano drzewo obrócone koroną w dół. Jego korzenie sterczały w górę.

– Myśli pani, że ten gość – Nelson bierze do ręki list – mógł słyszeć o Seahenge?

– Całkiem możliwe. To była głośna sprawa. Czy brał pan pod uwagę, że to może być również kobieta?

– Słucham?

Mówię o autorze listu. Mogła go przecież napisać kobieta.

– Nie mogę tego wykluczyć. Początkowo listy pisane były ręcznie. Ekspert wprawdzie ustalił, że pisał je mężczyzna, ale nigdy nie wiadomo. Eksperci czasami się mylą. To jedna z podstawowych zasad, o których trzeba pamiętać, pracując w policji.

Ruth nie wie, jak zareagować.

– Czy mógłby mi pan coś powiedzieć o tym dziecku? – prosi. – Tym, które ostatnio zaginęło.

Nelson przygląda jej się dłuższą chwilę.

– Pisali o tym w gazetach, i lokalnych, i ogólnokrajowych. Do diabła, trąbili o tym również w telewizji. W jakim świecie pani żyje?

Ruth jest speszona. Rzadko wertuje prasę i tylko sporadycznie ogląda telewizję. Woli czytać powieści i słuchać radia. Zwykle o wszystkim dowiaduje się właśnie z informacji radiowych, ale dłuższy czas nie było jej w domu. Uświadamia sobie nagle, że wie znacznie więcej na temat świata prehistorycznego niż tego, w którym żyje.

Nelson wzdycha i pociera dłonią nieogoloną twarz. Kiedy zaczyna mówić, jego głos brzmi jeszcze bardziej szorstko niż zazwyczaj.

– Scarlet Henderson. Czteroletnia dziewczynka. Zniknęła w Spenwell, gdy bawiła się w ogródku przed domem.

Spenwell to mała wioska, położona w odległości około kilometra od domu Ruth. To, że dramat wydarzył się tak blisko, budzi lęk.

– Scarlet?

– No właśnie. Scarlet i szkarłat. Skojarzenia nasuwają się same. Szkarłat na bieli. Krew na kamieniu. Czysta poezja, co?

Ruth milczy. Myśli o teorii Erika na temat ofiar rytualnych. Drewno oznacza życie, a kamień śmierć.

– Kiedy to się zdarzyło? – pyta.

– W listopadzie. – Ich oczy się spotykają. – Mniej więcej tydzień po tym, jak znaleźliśmy te prehistoryczne kości. I niemal równo dziesięć lat po zniknięciu Lucy Downey.

– Sądzi pan, że oba te przypadki należy ze sobą łączyć?

Nelson wzrusza ramionami.

– Muszę być otwarty na różne hipotezy, ale bez wątplenia jest między tymi sprawami wiele punktów stycznych, no i przyszedł ten list.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie po zniknięciu Scarlet. Zrobiliśmy wszystko, co można. Przeszukaliśmy cały teren, rozpytywaliśmy w okolicy. Nic, zero informacji. A później przyszedł ten list. Znowu zacząłem myśleć o

Lucy Downey.

– Przecież i tak pan o niej myślał.

Niewinna uwaga sprawia, że Nelson zatrzymuje wzrok na Ruth dłużej.

– No tak, rzeczywiście – przyznaje z oporem.

– Trudno nie zauważyć podobieństw. Zbliżony wiek dziecka, ta sama pora roku. Ale były też i różnice. Lucy Downey została porwana ze swojego domu. Straszna rzecz. Właściwie wyciągnięto ją z łóżka. A to dziecko było samo, bawiło się w ogrodzie...

W głosie Nelsona słychać cień potępienia, co skłania Ruth do zapytania:

– A rodzice? Mówił pan... że czasami...

– To hipisi – pogardliwie stwierdza Nelson. – Zwolennicy New Age. Dorobili się piątki dzieci, ale o żadne należycie nie dbają. Potrzebowali dwóch godzin, by zauważyć, że dziewczynka zniknęła z ogrodu. Ale nie podejrzewamy ich o zbrodnię. Nie znaleźliśmy żadnych śladów przemocy. Tatusia nie było w tym czasie w domu, a mamuska akurat była w transie, komunikowała się z wrózkami.

– Czy mogę obejrzeć pozostałe listy? – pyta Ruth.

– Chodzi mi o listy dotyczące Lucy Downey. Może w nich jest coś na temat drzewa Yggdrasil albo północnej mitologii.

Nelson najwyraźniej na to czekał, bo wręcza jej drugą teczkę akt, leżącą na stole. Ruth otwiera ją. W środku jest dziesięć albo i więcej listów.

– Dwanaście – mówi Nelson, zupełnie jakby czytał w jej myślach. – Ostatni przyszedł jeszcze w zeszłym roku.

– A więc nie zrezygnował?

– Nie – Nelson wolno kręci głową. – Nie zrezygnował.

– Czy mogę zabrać te listy do domu i przeczytać je na spokojnie?

– Tak, ale musi pani wypełnić i podpisać odpowiedni formularz. – Gdy Nelson szuka na biurku formularza, zadaje Ruth pytanie, które zbija ją z tropu. – A co się stało z kośćmi, które znaleźliśmy?

– Przecież wysłałam panu raport...

Nelson chrząka.

– Niewiele z tego zrozumiałem.

– No cóż, pisałam w nim, że kości najprawdopodobniej należały do osoby płci żeńskiej przed okresem dojrzwania, pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia. Pochodzą sprzed dwóch tysięcy sześciuset lat. Znaleźliśmy w tym miejscu trzy złote torquesy i trochę monet.

– To w epoce żelaza już posługiwano się monetami?

– Tak. W zasadzie to był dopiero sam ich początek. Cóż, na wiosnę, gdy pogoda się poprawi, planujemy znowu przystąpić do wykopalisk.

Ruth ma nadzieję, że będzie w nich mógł uczestniczyć Erik.

– Sądzi pani, że została zamordowana?

Ruth spogląda na inspektora, który wychyla się w jej stronę ponad zasypianym papierami biurkiem. W jego ustach słowo „zamordowana” nabiera specjalnego znaczenia, jakby kości z epoki żelaza nagle stały się przedmiotem śledztwa, a on próbował wykryć sprawcę i oddać go pod sąd.

– Tego nie wiemy – przyznaje Ruth. – Dziwna sprawa, ale połowa jej włosów została zgolona. Nie jesteśmy pewni, co to znaczy, ale może wskazywać na rytualne zabójstwo. Przeguby rąk i nóg były owinięte wtkami wierzby i leszczyny, można więc sądzić, że była związana.

Na twarzy Nelsona pojawia się ponury uśmiech.

- Dla mnie w tym wypadku sprawa jest zupełnie jasna – mówi.

Gdy Nelson odprowadza ją do wyjścia, przechodzą przez pokój pełen ludzi. Wszyscy zdają się bez reszty pochłonięci pracą, pochyleni nad telefonami lub wpatrzeni w ekrany komputerów. Na ścianie wisi coś, co przypomina szkic terenu, pełen strzałek i różnych zapisków. W środku jest zamieszczona fotografia dziewczynki o ciemnych kręconych włosach i śmiejących się oczach.

- Czy to ona? – pyta szeptem Ruth.
- Tak, to Scarlet Henderson.

Nikt nie podnosi głowy, gdy przechodzą przez pokój. Może udają, że tak ciężko pracują, tylko z powodu obecności szefa, ale Ruth mimo wszystko odnosi wrażenie, że jest inaczej. Przy drzwiach odwraca się i jeszcze raz patrzy na zdjęcie, z którego spogląda na nią uśmiechnięta Scarlet Henderson.

W domu nalewa do szklanki wina, które zostawiła dla niej Shona, i kładzie przed sobą teczkę z listami. Ale zanim je przejrzy, włącza jeszcze komputer i wrzuca w Google hasło:

Scarlet Henderson. Na ekranie pokazuje się mnóstwo odnośników. Nelson ma rację. Jak mogła nie słyszeć o tak głośnej sprawie? „Rodzice Scarlet pogrążeni w bólu”, donosi „Telegraph”. Znacznie bardziej stonowany „The Times” stwierdza: „Policja nie radzi sobie ze sprawą Henderson”. Ruth przegląda artykuł: „Starszy inspektor Harry Nelson z Policji w Norfolk przyznał wczoraj, że nie ma żadnych nowych ustaleń w sprawie zaginionej czteroletniej Scarlet Henderson. Zgłoszenie z Great Yarmouth o dziecku, które przypomina poszukiwaną dziewczynkę, okazało się nie mieć związku ze sprawą...”.

Czarno-białe zdjęcie buzi Scarlet umieszczone na obrzeżu strony robi niesamowite wrażenie. Czyżby to uśmiechnięte dziecko o jasnym wejrzeniu nie żyło? Ruth woli o tym nie myśleć, ale wie, że prędzej czy później będzie musiała rozważyć i taką możliwość. W pewien sposób już zaangażowała się w tę sprawę.

Aby opóźnić moment, kiedy zajmie się listami, Ruth wprowadza do wyszukiwarki hasło: Lucy Downey. Tym razem odniesień jest znacznie mniej, ponieważ dziewczynka zaginęła, zanim Internet zdążył się upowszechnić. Pojawia się jednak na kilku stronach internetowych publikujących listę dzieci zaginionych i w artykule z „Guardiana” zatytułowanym: *Dziesięć lat później – nie kończący się koszmar*. „Alicja i Tom Downey – czyta – przyjmują mnie w swoim zadbanym domu w Norfolk. Wszędzie widzę zdjęcia tej samej uśmiechniętej buzi pięcioletniej dziewczynki. Przed dziesięcioma laty Lucy spała sobie wygodnie w łóżeczku, gdy ktoś wspiał się po

ścianie garażu, wtargnął przez okno i porwał dziecko, podczas gdy rodzice byli tuż obok, pogrążeni we śnie...” Jezu! Ruth przerywa czytanie. Aż trudno to sobie wyobrazić. Rano przychodzimy zbudzić nasze maleństwo, a dziecka nie ma. Zaglądamy pod łóżko, schodzimy na dół, coraz bardziej zdenerwowani, szukamy w ogrodzie, wracamy do sypialni. Zauważamy otwarte okno, wydęte wiatrem zasłonki (zapewne różowe, z wizerunkami disneyowskich księżniczek). Ruth potrafi to sobie wszystko wyobrazić, na samą myśl o grozie tamtej sytuacji włosy stają jej dęba. Nie bardzo jednak wie, co czuje matka porwanej dziewczynki teraz, po dziesięciu latach. Wizja utraty dziecka, które znika nagle niczym duch, to bez wątpienia koszmar prześladowający wiele matek.

Ale Ruth nie ma dzieci. Jest archeologiem i czas, żeby wreszcie zabrała się do pracy. Nelson czeka na profesjonalną pomoc i tego właśnie powinna się trzymać – bycia profesjonalistką. Włącza komputer i zagląda do teczek z listami. Najpierw układa je w porządku chronologicznym, według dat – aż dziw, że nie zrobił tego Nelson. Ocenia papier i rodzaj tuszu. Dziesięć spośród dwunastu listów napisano na tym samym standardowym papierze do drukarek, co list dotyczący Scarlet Henderson. To niekoniecznie musi

coś oznaczać, tłumaczy sobie. Dziewięć na dziesięć osób używa takiego właśnie papieru. Czcionka to zapewne Times New Roman – wygląda zupełnie zwyczajnie. Ale dwa listy zostały napisane ręcznie, na liniowanym papierze z czerwonym marginesem i dziurkami

do segregatora. Autor użył pióra kulkowego, które kiedyś, w jej czasach szkolnych, nazywano po prostu długopisem. Pismo jest czytelne, ale dosyć niechlujne, wyraźnie pochylone w lewą stronę. Ekspert uznał, że autorem listu jest mężczyzna. Ruth nagle uświadamia sobie, że ostatnimi czasy bardzo rzadko widuje ręcznie pisane teksty. Wszyscy jej studenci mają laptopy, znajomi przysyłają e-maile lub teksty drukowane, a ona sama nawet artykuły redaguje komputerowo. Dlatego potrafi rozpoznać tylko charakter pisma swojej matki. Wciąż otrzymuje od niej sentymentalne kartki: „Najdroższej córeczce w dniu urodzin...”.

Napisane odręcznie listy są ułożone mniej więcej w środku, pomiędzy innymi. Ruth odkłada je na miejsce według dat i zaczyna czytać:

Listopad 1997

Nelson,

szukasz Lucy, lecz nie tam gdzie powinienes. Popatrz na niebo, gwiazdy i miejsca graniczne. Zobacz, co się rysuje na tle nieba. Znajdziesz ją tam, gdzie ziemia spotyka się z niebem.

Pokój z Tobą.

Grudzień 1997

Nelson,

Lucy stanowi idealną ofiarę. Tak jak Izaak i Jezus sama dźwiga drzewo, na którym zostanie złożona w ofierze. Podobnie jak Izaak i Jezus jest posłuszna woli ojca.

Może spodziewałaś się życzeń świątecznych albo wieńca z jemioli, ale przecież Boże Narodzenie to tylko późniejszy dodatek do starej tradycji obchodów zimowego przesilenia. Pogańskie święto było pierwsze, gdy dni stawały się krótkie, a noce długie. Może powinienes dostać życzenia na św. Łucję. Ale żeby widzieć, trzeba mieć oczy.

Pokój z Tobą.

Styczeń 1998

Drogi Inspektorze Nelson,

jak widzisz, zwracam się teraz do Ciebie z honorami, bo mam Cię za starego przyjaciela. Nelson miał tylko jedno oko, nie znaczy to jednak, że nie widział. „Nie mając oczu, człowiek może widzieć, jak świat się toczy”\*.

Pokój z Tobą.

\* W. Szekspir, *Król Lear*, Akt IV, scena VI, przeł. Maciej Słomczyński.

Styczeń 1998

Drogi Harry,

„Oto macie obraz, choć niedołączną ręką nakreślony, Henryka w nocy”\*\*. Henryk, Harry – jakaż mądrość wypływa z Szekspira, tego szamana wszechczasów. Może przyszła pora, byś zasięgnął porady mądrych ludzi – mądrych kobiet.

\*\* W. Szekspir, *Zycie Henryka V*, Akt IV, Prolog, przeł. Leon Ulrich.

Bo nadal szukasz nie tam, gdzie powinienes. Sprawdź święte miejsca, te pozostałe. Szukasz tylko

tam, skąd piją ukwiecone drzewa i rwące strumienie. Jeszcze raz popatrz uważnie, Harry. Lucy leży głęboko pod ziemią, ale powstanie z martwych. Obiecuję Ci. Pokój z Tobą.

Marzec 1998

Drogi Harry,

wiosna powraca, ale nie mój przyjaciel. Drzewa są w pąkach i przylatują jaskółki. Jest pora na każdą rzecz i jest czas na każdą sprawę pod niebem.

Szukaj tam, gdzie jest ziemia. Patrz, któredy obiegną kursusy i groble.

Ruth przerywa czytanie i wraca do ostatniej linijki. Słowo „kursus” tak bardzo przykuwa jej uwagę, że upływa dobrych kilka minut, zanim uświadamia sobie, iż ktoś puka do drzwi.

Poza listonoszem, który z kwaśną miną dostarcza jej paczki z Amazona, niezapowiedziani goście niemal się nie zdarzają. Ruth jest zła na siebie, bo nie może opanować lęku, gdy otwiera drzwi.

Stoi w nich kobieta, mieszkanka sąsiedniego domu; weekendowiczka, która obserwowała ją przez okno, gdy rano odjeżdżała policyjnym autem.

– O... witam – mówi zaskoczona Ruth.

– Dzień dobry! – Kobieta posyła jej olśniewający uśmiech. Jest starsza niż Ruth, może lekko po pięćdziesiątce, ale fantastycznie wygląda: włosy ma rozjaśnione pasemkami, opaloną cerę i doskonałą figurę. Ubrana jest w obcisłe dzinsy biodrówki.

– Nazywam się Sammy. Mieszkam tuż obok. Czy to nie absurdalne, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy?

Ruth wcale nie uważa, że jest w tym coś absurdalnego. Rozmawiała z weekendowiczami, gdy kupili tutaj dom, jakieś trzy lata temu, a później dokładała wszelkich starań, by się z nimi nie spotykać. Pamięta, że dawniej przyjeżdżały z nimi dzieci, głośne nastolatki, które do rana słuchały hałaśliwej muzyki i włączyły się po Słonych Błotach z deskami do surfowania i dmuchanymi łódkami. Tym razem jednak nigdzie ich nie było widać.

– Ed i ja... organizujemy małe przyjęcie sylwestrowe. Tylko kilkoro przyjaciół z Londynu. Bardzo zwyczajne, skromna kolacja. Pomyśleliśmy, że może zechciałabyś do nas wpaść.

Ruth nie wierzy własnym uszom. Od lat nikt jej nie zapraszał na sylwestra, a teraz ma aż dwa zaproszenia, które i tak musi odrzucić. To chyba jakiś spisek.

– Bardzo dziękuję – mówi – ale szef mojego wydziału również organizuje przyjęcie i chyba będę musiała...

– Ach, rozumiem – Sammy, podobnie jak rodzice Ruth, od razu przyjmuje jako rzecz oczywistą, że Ruth musi iść na to przyjęcie ze względów zawodowych.

– Pracujesz na uniwersytecie?

– Tak. Wykładam archeologię.

– Archeologię! Ed byłby zachwycony. Uwielbia oglądać program *Słynne wykopaliska*. Nie opuścił jeszcze żadnego odcinka. Chociaż zastanawiałam się przez moment, czy nie zmieniłaś zawodu.

Ruth udaje zaskoczenie, chociaż domyśla się, co za chwilę usłyszy.

Sammy śmieje się wesoło.

– Chodzi mi o ten wóz policyjny dzisiaj rano!

– Ach, to! – odpowiada Ruth. – Tylko im pomagam.

Nie powiem jej nic więcej, postanawia twardo Ruth. Będzie musiała się tym zadowolić.



Tej nocy, leżąc już w łóżku, Ruth kończy czytać listy dotyczące Lucy Downey.

Kiedy przyszła Sammy, była akurat w połowie listu z marca 1998, w którym ku jej zaskoczeniu ktoś pisał o kursusach i o groblach. Kursus to trudny do wytłumaczenia termin archeologiczny, w uproszczeniu oznacza płytki rów. Taki kursus występuje w Stonehenge i jest starszy nawet od samych kamieni.

...patrz, któredyś będą kursusy i groble. Pełzamy po powierzchni ziemi, ale nie znamy jej tajemnic ani nie potrafimy odgadnąć zamiarów.

Pokój z Tobą.

Kwiecień 1998

Drogi Harry,

radosnych Świąt Wielkanocnych. Jakoś mi nie wyglądasz na chrześcijanina. Bardziej pasujesz do dawniejszych czasów. W czasie Wielkanocy chrześcijanie rozpamiętują, jak Chrystus umarł na krzyżu za ich grzechy. Ale czy tego samego nie uczynił przed nim Odyn, składając ofiarę z samego siebie na Drzewie Poznania? Podobnie jak Nelson.

Odyn miał tylko jedno oko. A ty ile masz oczu, Inspektorze? Może tysiąc, jak Argus? Lucy jest teraz pochowana głęboko. Ale rozkwitnie na nowo.

Pokój z Tobą.

Potem idą kolejno dwa listy napisane ręcznie. Wprawdzie nie były datowane, ale ktoś (Nelson?) dopisał, kiedy je dostarczono.

Otrzymane 21 czerwca 1998

Drogi Harry,

najserdeczniejsze życzenia z okazji przesilenia letniego. Radosnych obchodów święta Litha. Niech będzie pozdrowiony Bóg Słońce. Strzeż się duchów wodnych i jasnych ognisk na plaży. Strzeż się wiklinowego człowieka.

Teraz słońce wędruje na południe i odchodzą złe duchy. Idź za błędnymi ognikami, duchami zmarłych dzieci. Kto wie, dokąd Cię zaprowadzą?

Pokój z Tobą.

Otrzymane 23 czerwca 1998

Drogi Harry,

serdeczne życzenia z okazji Nocy Świętojańskiej – Sankt Hans Aften. Zioła zebrane w wigilię dnia św. Jana mają szczególną moc uzdrawiającą. Wiedziałeś o tym? Tyle Cię muszę nauczyć. Nie jesteś ani trochę bliżej Lucy i to napawa mnie smutkiem. Ale nie oplakuj jej. Została uratowana i wskrzeszona z martwych. Ocalona od doczesności, w której czci się fałszywych bogów. Stała się doskonałą ofiarą.

Płacz raczej nad sobą i nad swoimi dziećmi, i nad dziećmi swoich dzieci.

Pokój z Tobą.

Kolejne listy znowu pisane są na komputerze, ale ich styl się zmienia. Brak afektowanego kpiarskiego tonu, poufalości w rodzaju „mam Cię za starego przyjaciela” i sugerowania zażyłości. Autor listu wydaje się urażony i zły.

Pomiędzy tym listem a następnym mijają kolejne cztery miesiące, a data jest łatwa do przewidzenia:

31 października 1998

Drogi Inspektorze Nelson,

nadszedł czas wędrówki zmarłych. Otwarte groby wyrzuciły zmarłych. Strzeż się żywych i umarłych. Strzeż się tych, którzy umarli za życia. My co byliśmy żywi, umieramy teraz.

Rozczarowałeś mnie, Inspektorze. Mogłeś czerpać ze źródła mądrości, a mimo to nie umiałeś zbliżyć się ani do mnie, ani do Lucy. Okazałeś się człowiekiem przyziemnym, przywiązanym do Doczesności. Można by się po Tobie spodziewać czegoś więcej.

Jutro dzień Wszystkich Świętych. Odnajdziesz św. Łucję w panteonie świętych? A może ona też należy do Doczesności?

Ze smutkiem.

25 listopada 1998

Drogi Inspektorze Nelson,

minął już rok, odkąd zginęła Lucy Downey. Świat zatoczył koło, a Ty czym mógłbyś się wykazać? Zaprawdę, Twoje nogi są z gliny.

Przekląty mąż, który pokłada nadzieję w człowieku i który w ciele upatruje swą siłę, a od Pana odwraca swe serce. Jest on podobny do dzikiego krzaka na stepie, nie dostrzega, gdy przychodzi szczęście.

Ze smutkiem.

Grudzień 1998

Drogi Inspektorze Nelson,

mało brakowało, a nie dostałbyś ode mnie życzeń świątecznych, ale potem naszła mnie myśl, że pewnie na nie czekasz. Szczerze mówiąc, ogromnie mnie rozczarowałeś.

Dziewczynka, dziecko, niewinna dusza – znika, a Ty nie czytasz znaków. Jasnowidz, szaman ofiarowuje Ci swoją pomoc w imię starej przyjaźni, a Ty ją odrzucasz.. Zajrzyj w głąb swojego serca, Inspektorze. Z pewnością panują w nim ciemność, gorycz i żal.

Ale Lucy otoczona jest światłością. Mogę Cię o tym zapewnić.

Ze smutkiem.

Ostatni list datowany jest na styczeń 2007:

Drogi Inspektorze Nelson,

czyżbyś zupełnie o mnie zapomniał? Za to ja na początku każdego kolejnego roku myślę o Tobie. Czy przybliżyłeś się

choć trochę do właściwej ścieżki? A może zbłądziłeś tam, gdzie tylko płacz i lament?

W ubiegłym tygodniu zamieszczono w gazecie Twoje zdjęcie. Jakiż smutek i samotność malują się na Twojej twarzy! Chociaż mnie zdradziłeś, nadal czuję ból i żal z Twego powodu.

Masz córki. Czy dobrze ich strzeżesz? Cały czas jesteś blisko? Mam nadzieję, że tak, bo noc jest pełna głosów, a ja pogrążam się w ciemności. Może znowu odezwę się do Ciebie któregoś dnia?

Pokój z Tobą.

Co mógł myśleć Nelson, zastanawia się Ruth, gdy czytał tę jawną groźbę skierowaną pod adresem jego

dzieci? Sama zaczyna się bać i nerwowo sprawdza, czy ktoś się nie czai za kotarą. Co czuł, gdy przez wszystkie te lata otrzymywał listy, których autor wyraźnie sugerował, że łączy ich specjalna więź, że są współnikami, a nawet przyjaciółmi?

Sprawdza datę na ostatnim liście. Dziesięć miesięcy później znika Scarlet Henderson. Czy autor listu ma z tym jakiś związek? Czy to on jest odpowiedzialny za porwanie Lucy Downey? W korespondencji nie ma żadnych konkretów, jedynie sieć aluzji, cytatów i zabobonów. Ruth kręci głową, próbując coś z tego wszystkiego zrozumieć.

Rozpoznaje oczywiście cytaty z Biblii i z Szekspira, ale by wysledzić pozostałe odniesienia, potrzebowałaby pomocy Shony. Jest pewna, że gdzieś tutaj kryją się również cytaty z T.S. Eliota. Ją bardziej interesują jednak nawiązania do mitologii nordyckiej: Odyn, drzewo poznania, bóstwa wodne. A jeszcze bardziej intryguje ją pewien zasób wiedzy archeologicznej. Z pewnością nie pisał tego laik, bo mało prawdopodobne, by użył słowa „kursus”. Ruth leży w łóżku, jeszcze raz wszystko przegląda, zastanawia się...

Upływa dużo czasu, zanim udaje jej się zasnąć, a potem śni koszmary o utopionych dziewczętach, bóstwach wodnych i ognikach wskazujących drogę ku zmarłym.

## ROZDZIAŁ 6

– Co pani myśli? Pisał to jakiś wariat?

Ruth znowu siedzi w niedbale urządzonym gabinecie Nelsona, popijając kawę. Tyle że tym razem przywiozła ją sobie sama, ze Starbucksa.

– Starbucks, co? – podejrzliwie spytał Nelson.

– Tak. Jest najbliżej. Zwykle nie chodzę do Starbucksa, ale...

– Dlaczego nie?

– Przecież pan wie – wzruszyła ramionami. – Jest za bardzo globalny, zbyt amerykański.

– Ja cenię sobie wszystko, co amerykańskie – powiedział Nelson, przyglądając się niepewnie kozuchowi na swoim cappuccino. – Kilka lat temu pojechalśmy do Disneylandu na Florydzie. Było super.

Ruth, którą świat Disneylandu napawa głęboką odrazą, zbywa uwagę Nelsona milczeniem.

Inspektor stawia na biurku swój styropianowy kubek z kawą i powtarza pytanie:

– Pisał to jakiś wariat?

– Nie wiem – wolno odpowiada Ruth. – Nie jestem psychologiem.

Nelson chrząka.

– Kiedyś mieliśmy zajęcia z takim jednym. Plótł kompletne bzdury. Coś o podłożu homoerotycznym, to znowu o zahamowaniach. Jeden bełkot.

Ruth, która również zauważyła homoerotyczne podteksty w listach (zakładając oczywiście, że pisał je mężczyzna), znowu nic nie mówi. Zamiast tego wyciąga z torby cały plik.

– W listach jest mnóstwo różnych odniesień – mówi. – Uznałam, że przede wszystkim trzeba to usystematyzować.

– Zestawienie – z wyraźną satysfakcją stwierdził Nelson. – Bardzo lubię różne zestawienia.

– Ja też.

Ruth wyciąga zadrukowaną kartkę papieru, na której w prosty i przejrzysty sposób wyszczególniła

wszystkie odniesienia, i podaje ją Nelsonowi.

#### RELIGIJNE

Eklezjasta

Izaak

Boże Narodzenie

Chrystus umierający na krzyżu/Wielkanoc

Święta Łucja

Dzień św. Łucji (21 grudnia)

Dzień św. Jana (24 czerwca)

Dzień Wszystkich Świętych (1 listopada)

Jeremiasz

#### LITERACKIE Szekspir:

*Król Lear*. „Nie mając oczu, człowiek może widzieć, jak świat się toczy”.

*Henryk V*: „Oto macie obraz, choć niedołęzną ręką nakreślony, Henryka w nocy”.

*Juliusz Cezar*; „Otwarte groby wyrzuciły zmarłych”.

T.S. Eliot:

*Środa Popielcowa*: „Skąd piją ukwiecone drzewa i rwące strumienie”.

*Ziemia jałowa*: „My co byliśmy żywi, umieramy teraz”\*.

\* Cytowane za: W. Szekspir, *Król Lear*, Akt IV, scena VI, przeł. Maciej Słomczyński; W. Szekspir, *Zycie Henryka V*, Akt IV, Prolog, przeł. Leon Ulrich; W. Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt II, scena II, przeł. Maciej Słomczyński; T.S. Eliot, *Środa Popielcowa*, I, przeł. Jacek Nowaczyk; T.S. Eliot, *Ziemia jałowa*, V przeł. Krzysztof Boczkowski.

#### MITY STAROSKANDYNAWSKIE

Odyn

Drzewo poznania (Drzewo Świata, Yggdrasil)

#### ELEMENTY POGAŃSKIE

Przesilenie letnie

Przesilenie zimowe

Litha (anglosaskie słowo na przesilenie)

Wiklinowy człowiek

Bóg Słońce

Szamanizm

Ogniki

Jemioła

#### MITY GRECKIE

Argus

#### ARCHEOLOGIA

Kursusy

Grobla rytualna

Nelson czyta wszystko uważnie, jego brwi niemal się stykają, nadając twarzy wyraz skupienia.

– Dobrze, że tak szczegółowo pani to opracowała – oznajmia w końcu. – Inaczej trudno byłoby

poznać, co jest cytatem, a co tylko wymysłem autora. Weźmy ten kawałek: „My co byliśmy żywi, umieramy teraz” – myślałem, że to miało po prostu budzić strach. Nie przypuszczałem, że chodzi o cytat.

Ruth, która spędziła wiele godzin nad *Poezjami zebranymi* Eliota, czuje satysfakcję – jej trud się opłacił.

Nelson znowu analizuje listę przygotowaną przez Ruth.

– Pełno tu odniesień do Biblii – stwierdza. – Od razu zwróciliśmy na to uwagę. Psychologowie sądzili nawet, że listy mógł pisać jakiś kaznodzieja lub były ksiądz.

– Albo ktoś wychowany w bardzo religijnej rodzinie – mówi Ruth. – Moi rodzice należą do wspólnoty nowo narodzonych chrześcijan. Zawsze czytają Biblię na głos, bo to daje im siłę i dobrze ich nastraja.

Nelson chrząka.

– Wychowywałem się w rodzinie katolickiej, ale moi rodzice rzadko czytali Biblię. W ich życiu większą rolę odgrywali święci. Modlili się to do jednego, to znowu do innego świętego, odmawiali zdrowaśki, tego typu rzeczy. Każdego dnia dziesiątek *Różańca*, uwierzy pani?! Jezu, miałem wrażenie, że upływają godziny!

– Nadal jest pan katolikiem? – pyta Ruth.

– Ochrzcilem córki w Kościele katolickim, bardziej żeby uszczęśliwić moją mamę niż z jakiegokolwiek innego powodu, ale Michelle, moja żona, nie jest katoliczką i nigdy nie chodzimy do kościoła. Sam nie wiem, jak powinienem się określić. Może jako katolik niepraktykujący.

– Oni nigdy nie pozwalają odejść, prawda? Nawet jeśli nie wierzy się już w Boga, nadal jest się katolikiem, chociaż „niepraktykującym”. Jak gdyby zostawiali furtkę, by w razie czego można było wrócić.

– Niewykluczone, że kiedyś wrócę. Na łożu śmierci.

– Ja nie – z przekonaniem oświadcza Ruth. – Jestem zdeklarowaną ateistką. Jedyne, co nas czeka po śmierci, to nicość.

– Jaka szkoda – stwierdza z uśmiechem Nelson. – Tylko proszę nikomu nie powtarzać tego, co powiedziałem.

Ruth śmieje się, dość zaskoczona jego wypowiedzią. Inspektor chyba pożałował, że pozwolił sobie na żartobliwy ton, bo odwraca się i na powrót studiuje kartkę, marszcząc przy tym brwi.

– Ten facet – mówi – w co on właściwie wierzy?

– No cóż – odpowiada Ruth. – Ciągłe wraca do tematu śmierci i ponownych narodzin, pór roku, odradzania się przyrody. Byłabym jednak skłonna twierdzić, że jego poglądy ocierają się o pogaństwo. Píše na przykład o jemiolu. Druidzi uznawali jemiolę za roślinę świętą. Stąd właśnie bierze się tradycja całowania się pod jemiolą.

Ruth milczy przez chwilę.

– Szczerze mówiąc, to nasza znajoma z epoki żelaza miała w żołądku resztki jemioli.

– W żołądku?

– Tak. Możliwe, że została zmuszona do zjedzenia jemioli, zanim ją zabito. Tak jak powiedziałam, rytualne składanie ofiar było dość powszechne w epoce żelaza. Archeolodzy trafiają na szczątki ludzi, którzy zostali zadźgani, uduszeni albo zabici uderzeniem w głowę. Jedno ciało znalezione na terenie Irlandii miało rozcięte brodawki sutkowe.

Nelson krzywi się.

- A czy on, autor listu, to wszystko wie?
- Całkiem możliwe. Chociażby ten wątek o wiklinowym człowieku. Niektórzy sądzą, że w epoce żelaza każdej jesieni składano ofiary z ludzi, by mieć pewność, że powróci wiosna. Umieszczano ofiarę w wiklinowej klatce, którą następnie podpalano.
- Widziałem ten film – mówi Nelson. – Z Christopherem Lee. Świetna rzecz.
- No tak. To był oczywiście film sensacyjny, ale temat ofiary, który się w nim pojawia, jest obecny we wszystkich religiach. Odyn został powieszony na Drzewie Świata, bo chciał osiąść całą jego mądrość. Chrystus wisiał na krzyżu. Abraham był gotów poświęcić swojego syna Izaaka.
- A co znaczą te słowa: podobnie jak Izaak i jak Jezus niesie drzewo, na którym zostanie złożona w ofierze?
- No cóż, Izaak niósł przecież drewno, na którym miał być spalony. A Chrystus dźwigał własny krzyż.

- Jezu!

Na chwilę zapada cisza. Ruth podejrzewa, że Nelson poruszony jest losem Lucy Downey, której być może również kazano nieść narzędzia własnej śmierci. Ona sama myśli o szczątkach pochodzących z epoki żelaza. Czy ofiarę rzeczywiście przywiązano do słupa i pozostawiono na pewną śmierć?

- Prawdę mówiąc – odezwała się Ruth – jedno z tych biblijnych odniesień zamieszczonych w listach jest bardzo ciekawe. Mam na myśli cytat z Jeremiasza: Przeklęty mąż, który pokłada nadzieję w człowieku.

- Nie wiedziałem nawet, że to cytat z Biblii.

- Tak, te słowa pochodzą z Biblii. Jeremiasz był prorokiem. Tak czy inaczej sprawdziłam to i proszę posłuchać, co jest dalej: „Przeklęty mąż, który pokłada nadzieję w człowieku i który w ciele upatruje swą siłę, a od Pana odwraca swe serce. Jest on podobny do dzikiego krzaka na stepie, nie dostrzega, gdy przychodzi szczęście; wybiera miejsca spalone na pustyni, ziemię s ł o n ą i b e z l u d n ą”.

- Słona ziemia?

- Tak.

- Słone Błota – odzywa się Nelson, tak jakby mówił do siebie. – To miejsce zawsze mnie intrygowało...

- Szczerze mówiąc, jest kilka rzeczy, które wskazują na Słone Błota – mówi Ruth. Czyta fragment listu: „Popatrz na niebo, gwiazdy i miejsca graniczne. Zobacz, co się rysuje na tle nieba. Znajdziesz ją tam, gdzie ziemia spotyka się z niebem”.

- Erik, znajomy archeolog, twierdzi, że człowiek prehistoryczny celowo wznosił swoje budowle na płaskim terenie. Wybierał mokradła, bo wtedy zarysy tych konstrukcji były doskonale widoczne na tle nieba. Jego zdaniem to właśnie dlatego krąg powstał w Słonych Błotach.

- Ale przecież istnieje wiele innych płaskich terenów. Zwłaszcza w tym zapomnianym przez Boga hrabstwie.

- Tak, ale...

Jak mu wytłumaczyć, że autor listu najwyraźniej podziela poglądy Erika na temat krajobrazu rytualnego, w którym bagna odgrywały rolę pomostu między życiem a śmiercią?

- Pamięta pan, co mówiłam na temat mokradła? – pyta w końcu. – Dostyc często znajdujemy w takich miejscach ofiary wotywne, a czasami również ciała. Może ten człowiek – wskazuje na listy – też o tym wie.



– Sądzi pani, że jest archeologiem?

Ruth zastanawia się przez chwilę.

– Niekoniecznie. Ale w listach pojawiło się słowo: kursus.

– Nigdy takiego nie słyszałem.

– No właśnie! To termin specjalistyczny, używany głównie przez archeologów. To dwa równoległe wały ziemne z rowami zewnętrznymi. Kursusy są dość często spotykane we wczesnym krajobrazie rytualnym, ale nie wiemy, do czego służyły. Na przykład w trakcie wykopalisk prowadzonych na tak zwanym kursusie z Maxey natrafiono na różdżki szamanów.

– Różdżki?

– Ornamentowane kawałki jelenich rogów. Posługiwał się nimi szaman, człowiek święty.

– W jakim celu?

– Nie wiemy. Może podczas ceremonii rytualnych. Trochę na zasadzie czarodziejskiej różdżki.

– Ten człowiek – Nelson wskazuje na listy – też coś pisał o szamanie.

– No tak. Osoba szamana często jest przywoływana przez wyznawców New Age. Szaman to święty człowiek, posługujący się magią naturalną.

Nelson wraca do zestawienia.

– A grobla rytualna? Do czego to się odnosi?

– Chodzi o bardzo stare ścieżki prowadzące przez bagna lub wodę.

Ruth chwilę milczy.

– Właściwie wszystko wskazuje na to, że jedną z takich prastarych grobli udało mi się odnaleźć w Słonych Błotach. Prowadzi do kręgu. To coś w rodzaju sekretnej ścieżki, którą wyznaczają drewniane, wystające z bagna pale. Naprawdę niesamowita sprawa.

Nelson wydaje się traktować jej słowa z powagą.

– A więc nasz znajomy może być poganinem albo wyznawcą New Age, religijnym pomyłkiem albo archeologiem.

– A może wszystkim naraz. Możliwe też, że po prostu słyszał o niektórych rzeczach i posłużył się znaną sobie terminologią. Mam wrażenie, że to ktoś posiadający mnóstwo cennych informacji. Weźmy choćby pod uwagę ten fragment o błędnych ognikach.

– Dobrze. A o co tu chodzi?

– Błędne ogniki to światła, które często widuje się na bagnach, zwłaszcza w noc letniego przesilenia. Prowadzą wędrowców w różne niebezpieczne miejsca, co często kończy się tragicznie.

Mówiąc to, Ruth przypomina sobie dziwne fosforyzujące blaski, które widziała na bagnach, gdy zgubiła drogę. Czy bez pomocy Davida zginęłaby?

– Istnieje dużo legend związanych z tymi światełkami. Według jednej pewien niegodziwy kowal zaprzedał duszę diabłu w zamian za ogień piekielny. Teraz wędruje pod ziemią i próbuje się wydostać na powierzchnię, a drogę oświetla sobie właśnie tym ogniem. Inne historie mówią, że są to dusze zamordowanych dzieci.

– Zamordowanych dzieci – ponuro stwierdza Nelson. – Pewnie stąd temat błędnych ogników.

Gdy Ruth przyjeżdża do domu, akurat dzwoni telefon. Chwyta za słuchawkę i nie posiada się z radości, bo słyszy głos swojego ulubionego Wikinga.

– Witaj, Ruthie! Cóż to za sensacja z tą drogą na grobli?

Ruth informuje go, że nikt inny nie wie o poczynionym przez nią odkryciu, co nie do końca jest

prawdą, bo gdy poszła odwiedzić Davida, żeby mu wręczyć butelkę whisky i podziękować za uratowanie życia, to właśnie on podarował jej odręcznie sporządzoną mapę Słonych Błot, z wyraźnie zaznaczonymi słupami wytyczającymi drogę.

– Doskonale – z zadowoleniem mruczy Erik. – Dopilnuj tylko, żeby nasz Pan Technofil niczego nie zwęszył przed moim przyjazdem.

Pan Technofil to nie kto inny jak Phil, który uwielbia wszelkie nowinki techniczne związane z archeologią.

– Kiedy będziesz mógł przyjechać?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Mam bardzo dobrą wiadomość. Udało mi się załatwić urlop naukowy na następny semestr.

– To wspaniale!

– Tak, wiem. Magda jest bardzo zazdrosna. Wiesz, chodzi o te długie zimowe noce, które tak źle nastroją. W każdym razie mam nadzieję dołączyć do ciebie za jakiś tydzień.

– To wspaniale! – powtarza uszczęśliwiona Ruth. – Gdzie się zatrzymasz?

– Nie martw się. Nie planuję zająć twojej sofy – śmieje się Erik. – Nie chciałbym konkurować z kotami. Jestem pewien, że patrzyłyby na mnie złym okiem. Pamiętam, że całkiem niedaleko znajduje się miły pensjonat. Tam się zatrzymam.

– Jeżeli chcesz, zrobię dla ciebie rezerwację – proponuje Ruth, zastanawiając się, dlaczego żarty Erika na temat kotów wcale jej nie złością.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, skarbie. Przecież od tego jest Internet. Pan Technofil byłby ze mnie dumny.

– Wątpię. I jeszcze jedno, Erik.

– Tak?

– Możliwe, że będzie próbował się z tobą kontaktować inspektor Harry Nelson...

Nelson zapytał ją, czy przed dziesięcioma laty ktoś podejrzany nie kręcił się w pobliżu wykopalisk. Ktoś zafascynowany archeologią i mitologią. Ruth rzeczywiście przypomniała sobie o kimś takim. Człowiek ten kazał mówić na siebie Cathbad. Był przywódcą druidów, którzy chcieli ocalić rytualny krąg. Po chwili wahania podała Nelsonowi to przybrane imię, co Nelson skwitował parsknięciem. Czy Ruth w ogóle zna prawdziwe nazwisko tego człowieka? Nie. A czy zna kogoś, kto mógłby je znać? To dlatego podała mu kontakt do Erika. Pamięta, że często ich widywała razem, pogrążonych w rozmowie. Fioletowa peleryna Cathbada powiewała na wietrze, gdy stali na przybrzeżnej równinie i patrzyli na morze. Cathbad, jak jej się wydaje, był wtedy dosyć młody. Teraz mógłby mieć trzydzieści osiem, dziewięć lat lub być nieco po czterdziestce.

Ruth wyjaśnia całą sytuację Erikowi, opowiada o zniknięciu Scarlet Henderson i wcześniejszym zaginięciu Lucy Downey.

Erik wydaje cichy gwizd.

– A więc współpracujesz w tej sprawie z policją?

– No cóż, trochę im pomagam. Ktoś wysłał do nich anonimowe listy. Zaczęły przychodzić po zaginięciu Lucy Downey i Nelson uważa... Ale myślę, że najlepiej będzie, jak sam ci to wyjaśni.

– Odnoszę wrażenie, że już zdążyliście się zaprzyjaźnić.

W głosie Erika pobrzmiwa jakaś dziwna nuta. Ruth przypomina sobie, że on nigdy zbyt nie przepadał za policją.

– Nie jestem z nim zaprzyjaźniona – pospiesznie się tłumaczy. – Nawet go dobrze nie znam. –

Ponieważ Erik pozostawia to bez komentarza, mówi dalej: – On jest dość dziwny, trudno go rozgryźć. Pochodzi z północy i niekiedy zachowuje się dość arogancko. Uważa, że archeologia to zabawa, mitologia to bzdury, a wszystkich wyznawców New Age powinno się wystrzelać. Jednak z drugiej strony szybko kojarzy fakty i jest dużo bardziej inteligentny, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Myślę, że to ciekawa osoba.

– Chętnie z nim porozmawiam – uprzejmie zapewnia ją Erik. – Czy mam się uważać za podejrzanego?

Ruth wybucha śmiechem.

– Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to... On po prostu pytał mnie, czy pamiętam kogoś kręcącego się w pobliżu wykopalisk, kogoś zainteresowanego druidami. Pomyślałam o Cathbadzie.

– Cathbad – Erik wciąga głęboko powietrze, a dźwięk niesie się po kablu, pokonując całą drogę przez Morze Północne. – Cathbad. Nie myślałam o nim od lat. Zastanawiam się, co teraz może robić.

– Pamiętasz, jak się naprawdę nazywał?

– Tak jakoś z irlandzka. Miał bzika na punkcie Celtów i wszystkiego, co się z nimi wiązało. Już wiem. Malone. Michael Malone.

– Czy on mógł być jakoś w to zamieszany?

– Cathbad? Broń Boże! Z pewnością nie miał z tym nic wspólnego. Był niewinny. To prosta, szczerą duszą. Myślę jednak, że faktycznie dysponował jakąś magiczną mocą.

Po zakończeniu rozmowy Ruth zaczyna się krzątać po domu. Szykuje sobie jedzenie i karmi koty. Przychodzi jej na myśl, że Erik potrafi zaskoczyć. To zdanie o magii wygłosił tak autorytatywnie, jakby mówił o datowaniu węglem radioaktywnym albo o geofizyce. Czy Erik naprawdę mógł wierzyć, że Cathbad, czyli Michael Malone, posiada magiczną moc?

Trudno jej to ocenić, ale przed zaśnięciem przegląda jeszcze miejscową książkę telefoniczną w poszukiwaniu nazwiska Malone.

## ROZDZIAŁ 7

Ruth nie zamierzała iść na sylwestra do Sammy. Prawdę mówiąc, w ogóle nie brała tego pod uwagę. Philowi wytłumaczyła, że nie może pojawić się u niego na przyjęciu, bo jest przeziębiona i planuje wcześniej położyć się do łóżka z kolejnym tomem serii kryminalnej „Inspektor Rebus” – zaskakująco trafnym i przemyślanym prezentem świątecznym od Simona. Jej przyjaciółka Shona była na nią wściekła. „Ruth, proszę cię, przyjdź – łkała przez telefon. – Muszę iść na to przyjęcie, bo będzie na nim Liam, ale on wybiera się ze swoją żoną, a ja bez ciebie na pewno się upiję, przewrócę i...”

Ale Ruth twardo obstawała przy swoim postanowieniu. Uważała, że przyjaciółka i tak się upije, a na myśl o tym, że będzie musiała spędzić wieczór sylwestrowy w towarzystwie żony Phila i rozmawiać z nią na temat aromaterapii, a jednocześnie odciągać od Liama coraz bardziej chwiejącą się na nogach Shonę – zupełnie straciła ochotę do świętowania. Wciąż nurtują ją listy wysyłane w sprawie Lucy Downey. „Za to ja na początku każdego kolejnego roku myślę o Tobie”. Przez moment zastanawia się, jak też Nelson spędza tegorocznego sylwestra.

Gdy leży w łóżku z otwartą książką (czy te wydania w twardych oprawkach muszą być takie ciężkie?) i słyszy

dobiegającą z sąsiedniego domu rytmiczną muzykę, czuje dziwny niepokój. Schodzi na dół zrobić sobie coś gorącego do picia, ale tam światło bijące od domu Sammy wydaje się jeszcze bardziej jaskrawe i kuszące. Całkiem jak błędne ogniki, przychodzi jej na myśl. Krzemyk przeciska się przez kłapkę w drzwiach, widać już tylko koci ogon. Nawet jej pupil spędza sylwestra poza domem. Dlaczego tak się cieszyła na myśl, że zostanie w ten dzień sama? Czemu ilekroć ktoś ją zaprasza, ona zawsze szuka wymówki, żeby nie iść? Jej matka powiedziałaby zapewne, że to typowy syndrom staropanieństwa, i pewnie miałyby rację.

Wraca na górę, ale litery tańczą jej przed oczami i nie potrafi przenieść się w świat wspaniałych gotyckich uliczek Edynburga. Niemal bezwiednie wstaje, zakłada czarne spodnie i czarny T-shirt. Po chwili namysłu dodaje jeszcze czerwony jedwabny szal, który dawno temu podarowała jej Shona. Spośród kilku innych butelek wybiera czerwone wino i poruszając się niemal jak we śnie, już po chwili staje pod drzwiami sąsiadów.

Sammy przyjmuje ją entuzjastycznie.

– Ruth! Cudownie, że przysłaś. Nie wierzyłam, że dasz radę.

– To wyszło przypadkiem. Trochę się przeziębiam, więc zostałam w domu, a potem usłyszałam muzykę i pomyślałam...

– Cieszę się, że cię widzę. Wszyscy się cieszymy. Ed! Spójrz, kto do nas przyszedł!

Ed jest niewysokim mężczyzną o żywym spojrzeniu i sprawia wrażenie, jakby ciągle chodził na czubkach palców. Podbiega, by uścisnąć dłoń Ruth.

– Proszę, proszę, kto do nas zawitał. Nasza tajemnicza sąsiadka. Bardzo się cieszę, że przysłaś. Od dawna już chciałem z tobą porozmawiać. Pasjonuje mnie archeologia. Nie opuściłem jeszcze żadnego odcinka *Słynnych wykopalisk*.

Ruth uprzejmie mruczy coś pod nosem. Jak większość zawodowych archeologów uważa *Słynne wykopaliska* za program w najlepszym razie popularnonaukowy, ale w gruncie rzeczy szalenie irytujący.

– Prosimy – Ed wprowadza ją do środka. Mimo że Ruth ma buty na płaskim obcasie, gospodarz i tak sięga jej najwyżej do brody. Dom weekendowiczów jest większy niż ten, w którym mieszka Ruth, ponieważ ma dobudowane dwa piętra. Ruth doskonale pamięta, jaki panował tu hałas, kiedy przed trzema laty prowadzono rozbudowę. Pamięta też, jak często była z tego powodu zdenerwowana. Mimo to wnętrze wydaje jej się przytulne i robi na niej dobre wrażenie. Salon wygląda, jakby był wypełniony ludźmi, chociaż nie ma w nim więcej niż pięć lub sześć osób.

– Przedstawię ci naszych przyjaciół: Derek i Sue, przyjechali z Londynu – mówi Ed, płacząc się u boku Ruth. Przy nim czuje się naprawdę ogromna. – A to Nicole i jej mąż Roger. Mieszkają w Norwich. A wy z pewnością się już znacie: nasz wspólny sąsiad, David.

Ruth odwraca się zdumiona i widzi Davida, strażnika z rezerwatu. Siedzi na kanapie i najwyraźniej czuje się odrobinę nieswojo, bo zasłania się piwem jak tarczą.

– Cześć – z uśmiechem mówi David. – Miałem nadzieję, że przyjdziesz.

– No nie, co tu się kroi? – wesoło rzuca Ed. – Czyżby romans na trzęsawisku?

Ruth czuje, że się czerwieni. Na szczęście w pokoju jest ciemno.

– David i ja faktycznie poznaliśmy się dopiero kilka tygodni temu – wyjaśnia.

– Straszni z nas sąsiedzi, prawda? – mówi Ed, teatralnym gestem klepiąc się w czoło. – Tyle lat i dopiero teraz nawiązujemy bliższy kontakt. Czego się napijesz, Ruth? Czerwone? Białe? Może piwo? Chyba zostało nawet trochę grzanego wina.

– Poproszę białe.

Ed odchodzi tanecznym krokiem, zostawiając Ruth na sofie obok Davida, z butelką wina, którą przyniosła z domu.

– Mój Boże – mówi Ruth. – Miałam ją dać Edowi. Teraz wychodzi na to, że zamierzałam sama wszystko wypić.

– Ja wypadłem jeszcze gorzej – stwierdza David. – Zabrałem ze sobą tarniówkę, którą wlałem do butelki po lucozadzie. Pewnie pomyśleli, że to jakaś bomba.

Ruth wybucha śmiechem.

– Bardzo lubię tarniówkę. Sam ją zrobiłeś?

– Tak – odpowiada David. – Te jesienne owoce tarniny są doskonałe. Jeżyny zresztą też. Któregoś roku zrobiłem z nich wino.

– Udało się?

– Tak myślę. Ale sam niewiele piję, a nie miałem go komu podarować.

Ruth nagle czuje nić porozumienia z Davidem. Ona także miewa takie weekendy, kiedy jedynym jej towarzystwem są

koty. Ale dokonała wyboru i w gruncie rzeczy akceptuje ten stan rzeczy, tyle że nieoczekiwane spotkanie drugiego takiego samotnika budzi zdziwienie. To tak, jakby dwóch żeglarzy samotnie opływających świat nagle spotkało się twarzą w twarz w okolicy Przylądka Dobrej Nadziei. Rozumieją się, ale ze względu na styl życia raczej nigdy nie będą parą przyjaciół.

Wraca Ed z dużym kieliszkiem białego wina. Ruth wręcza mu butelkę czerwonego, a on robi wokół tego tyle szumu, że Ruth dochodzi do wniosku, iż wino musi być tandetne.

– No to jak, Ruth? – Ed nadal stoi obok niej. Pewnie rzadko ma możliwość patrzeć na innych z góry, więc taka odmiana wyraźnie sprawia mu przyjemność. – Natrafiłaś ostatnio na jakiś zakopany skarb?

Ruth nie ma specjalnej ochoty dzielić się z nim informacjami na temat odnalezionych w bagnie szczątków, torquesów, czy nawet kręgu. Sama nie wie, dlaczego nabiera przekonania, że sekrety Słonych Błot nie powinny być na razie ujawniane. David to co innego – on pasuje do tej okolicy, jakby stanowił jej część.

– Uczę na uniwersytecie – mówi w końcu. – Nie prowadzimy wielu wykopalisk. Ale studenci co roku kopią na wiosnę, przynajmniej oni. Tyle że zawsze znajdują to samo.

– Dlaczego? – dopytuje się Ed.

– Bo wiemy, co kryje się w miejscach, gdzie każemy im kopać – tłumaczy Ruth. – Oni muszą coś znajdować. Studenci amerykańscy na pewno zażądaliby zwrotu pieniędzy, gdyby nie udało im się niczego znaleźć.

– Amerykanie – nieoczekiwanie odzywa się David. – Okropni ludzie. Mieliśmy tutaj grupę w ubiegłym roku. Próbowali złapać piaskowca. Najwyraźniej sądzili, że jest ranny.

– A cóż to takiego ten piaskowiec? – pyta Ed.

David wygląda na zaskoczonego.

– To ptak. Dość pospolity. Biegają wzdłuż plaży, tuż przy brzegu, próbując coś złowić. A ci Amerykanie myśleli, że ptak jest ranny, bo nie lata, tylko biega.

– Tu w okolicy musi być bardzo dużo ciekawych ptaków – znudzonym głosem stwierdza Ed. Zaczyna się niespokojnie wiercić, próbując znaleźć ciekawszego towarzysza rozmowy. Ale David wyraźnie się ożywia.

– Rzeczywiście, mamy tutaj wiele wspaniałych gatunków – mówi. Z podekscytowania błyszczą mu oczy. – Te bagna to dla ptaków prawdziwy raj. Znajdują tu mnóstwo pożywienia. W czasie wędrówek

zatrzymują się u nas całe stada, tylko po to, by się pożywić.

– Traktują to miejsce trochę jak stację benzynową, gdzie mogą zatankować i odpocząć przed dalszą drogą – mówi Ruth.

David kwituje tę uwagę śmiechem.

– Właśnie tak! Zimą w Słonych Błotach po prostu roi się od ptaków, które próbują znaleźć coś do jedzenia.

Czasami pojawia się aż dwa tysiące gęsi krótkodziobych, które przylatują z Islandii i Grenlandii. Jest też dużo miejscowego ptactwa wodnego: gągoły, dzikie kaczki, nurogęsi, płaskonosy czy rożeńce. Raz zdarzyło mi się widzieć nawet gąsiorka.

Ruth jest lekko przytłoczona wielością nie znanych jej nazw, ale lubi ich brzmienie. Poza tym dobrze się czuje w towarzystwie eksperta, który wprawdzie zajmuje się inną dziedziną niż ona, ale jest takim samym pasjonatem swojej pracy. Ed tymczasem niepostrzeżenie znika.

– Ja potrafię rozpoznać bekasa – chwali się Ruth. – Myślę też, że słyszałam głos bąka. Ich wołanie brzmi tak złowieszczo.

– Tak, na bagnach gniazduje jedna para – mówi David. – Musiałaś słyszeć głos samca. Zwykle odzywają się z samego rana. Taki głuchy niski dźwięk przypominający buczenie. Niesie się na kilometry.

Zapada krótka chwila ciszy, ale Ruth ze zdziwieniem zauważa, że wcale jej to nie przeszkadza. Nie czuje potrzeby opowiadania anegdotek na temat kotów. Zamiast tego wypija łyk wina.

– A jeśli chodzi o te drewniane pale na mokradłach... – mówi.

David wygląda na zaskoczonego i już ma coś odpowiedzieć, kiedy do akcji wkracza Sammy, która oznajmia, że w kuchni czeka kolacja.

– Liczymy, że do nas dołączycie. Chyba nie zamierzacie tu siedzieć w milczeniu przez resztę wieczoru?

Oboje posłusznie wstają i podążają za nią do kuchni.

Nelson też jest na przyjęciu, tylko bardziej wystawnym i zdecydowanie głośniejszym. Sylwestra zorganizowano w pomieszczeniach usytuowanych nad winiarnią. Musujące wino leje się strumieniami niczym woda. Głośniki rozsadza hałaśliwa muzyka, a goście zjadają apetyczne przekąski. Nelson, który przyszedł na przyjęcie prosto z pracy, pochłonął ich około dwudziestu i czuje, że boli go brzuch. Ostatnia, którą zamierzał zjeść – krewetka zapiekana w cieście francuskim – leży smętnie na dekorującej stół rzeźbie lodowej. Nelsonowi marzy się papieros.

– Dobrze się czujesz? – pyta go żona, która właśnie przechodzi obok. Ma na sobie elegancką połyskliwą złotą suknię.

– Niezbyt. Kiedy będziemy mogli wrócić do domu?

Michelle wybucha śmiechem, udając, że bierze słowa Nelsona za żart.

– Sylwestra z reguły świętuje się przynajmniej do północy.

– Mam lepszy pomysł. Chodźmy do domu i zamówmy coś do jedzenia.

– Ale ja się całkiem dobrze bawię. – Na potwierdzenie tych słów uśmiecha się szeroko i przerzuca przez ramię pasmo długich blond włosów. Nelson musi przyznać, że jego żona wygląda naprawdę wspaniale. – A poza tym co sobie pomyślą Tony i Juan? – Jej twarz tężeje.

To szefowie Michelle, współwłaściciele salonu fryzjerskiego, którym ona kieruje. Są gejami, co Nelsonowi akurat odpowiada, pod warunkiem że nie musi chodzić do nich na przyjęcia. Uważa się za



człowieka światłego i dlatego czuje się dotknięty, gdy Michelle zarzuca mu, że jest uprzedzony.

- Nawet nie zauważają naszej nieobecności w tym tłumie.
  - Na pewno zauważą, a poza tym nie mam ochoty wracać do domu. No chodź, Harry.
- Kładzie mu na ramieniu dłoń i długim wypielegnowanym paznokciem przeciąga po rękawie koszuli.
- Nie najeżaj się tak. Spróbuj trochę wyluzować.

Nelson spuszcza z tonu.

- Nie najeżam się. Moje włosy się do tego nie nadają. Ale jestem tutaj chyba jedyną osobą bez pasemek.

- Lubię twoje włosy. Wyglądasz trochę jak George Clooney.
- Tak samo siwy?
- Raczej wytworny. No chodź, nalejemy ci drinka.
- Mają tu może jakieś piwo? – płaczącym głosem pyta Nelson. Lecz i tak pozwala się prowadzić.

Ruth i David siedzą na przeszklonej werandzie i przyglądają się, jak Ed i Derek próbują odpalić fajerwerki. Przeszklona weranda – kolejna dobudowana część domu, wychodzi na King's Lynn. Na niebie widać już rozbłyskujące race, bo ludzie zaczynają witać Nowy Rok. Ed nie może sobie jednak poradzić z fajerwerkami. Pada deszcz i jego zapalniczka nie działa.

Sammy stara się mu pomóc i wykrzykuje przez okno wskazówki, co należy robić. Goście zaczynają się niepokoić, bo do północy zostało tylko dziesięć minut.

- To ciekawa tradycja – stwierdza David – puszczanie fajerwerków na powitanie Nowego Roku.
- Ponoć płonące ognie miały oświetlać drogę nadchodzącemu nowemu rokowi – mówi Ruth.
- Mogło też chodzić o symboliczne spalenie starego – wtrąca Sue, żona Dereka.
- Jest jeszcze jeden zwyczaj, pamiętacie? Wysoki ciemnowłosy mężczyzna powinien przejść o północy przez próg domu – przypomina Sammy. – Koniecznie musimy dopilnować, żeby tradycji stało się zadość.

- Czy są wśród nas jacyś wysocy bruneci? – ze śmiechem pyta Sue.
- No cóż, Ed ma ciemne włosy... – chichocze złośliwie Sammy.
- Może ty? – Sue zwraca się do Davida, który najchętniej natychmiast zapadłby się pod lśniąca sosnową podłogę.

- Nie wiem, czy się nadaję, bo niestety łysieję – broni się.
- Nonsens, pasujesz idealnie.
- Czy on nie powinien trzymać w ręku węgielka? – pyta Nicole, która wcześniej się nie odzywała. Ma filigranową budowę ciała i na dodatek jest Francuzką, co sprawia, że Ruth czuje się przy niej jak słoń.

- Niestety, w tej okolicy wszyscy mają ogrzewanie olejowe – mówi Sammy. – Ale mógłby przecież nieść słoik z marmite'em\*.

\* Rodzaj pasty z wyciągu drożdżowego do kanapek, mięs, zup i sosów.

- Marmite – obrusza się Nicole. – Cóż za okropny angielski gust.
- Jest przecież czarny, o to chodzi – mówi Sammy.

Ruth przypominają się błędne ogniki i legenda o przeklętym kowalu, który wędruje przez zaświaty z kawałkiem płonącego

węgla z diabelskiego pieca. Fajerwerki wreszcie zaiskrzyły. Na niebie rozbłyskują złote i zielone gwiazdy. Wszyscy wiwatują. W tle, na ekranie telewizora, podekscytowany tłum pseudocelebrytów odlicza czas do północy razem z Big Benem.

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

W ogrodzie rozświetlonym czerwoną luną fajerwerków zabawny, wiecznie podskakujący Ed nagle wygląda jak postać z horroru.

– Siedem, sześć, pięć...

Sammy wciska Davidowi do rąk słoik marmite'u. Mężczyzna przygląda mu się bezradnie. Gdy odwraca się do Ruth, jego postać również skąpana jest w jaskrawym świetle fajerwerków – czerwonym, złotym, zielonym.

– Cztery, trzy, dwa, jeden...

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówi David.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powtarza Ruth. W tle słychać żałobne bicie Big Bena obwieszczające śmierć starego roku.

Nelson wymknął się, żeby zapalić papierosa i wysłać córkom esemesa. Tony i Juan, dla których słuchanie Big Bena w towarzystwie pseudocelebrytów jest obciachem, postanowili zorganizować własne odliczanie zgodnie ze wskazaniem roleksa Juana. Niestety zegarek spóźnił się pięć minut, więc z powodu problemów technicznych przeoczyli początek Nowego Roku. Laura, osiemnastoletnia córka Nelsona, spędza sylwestra ze swoim chłopakiem. Szesnastoletnia Rebecca jest na jakiejś imprezie. Nelson myśli ponuro o młodych ludziach,

takich jak on sam kiedyś, którzy traktują noworoczne odliczanie jako okazję do obściskiwania się. Albo i gorzej. Esemes od starego ojca na pewno nie zawadzi, a niewykluczone, że trochę ostudzi emocje.

„Szczęśliwego Nowego Roku, pozdr”, pisze dwukrotnie, skrupulatnie i sprawiedliwie. Gdy szuka na liście imienia Rebecca, jego wzrok przykuwa kolejny wpis, umieszczony poniżej: Ruth Galloway.

Zastanawia się, co Ruth może robić tej nocy. Wyobraża ją sobie na przyjęciu, wśród innych wykładawców, błyskotliwych intelektualistów, zabawiających się grammi słownymi nad kieliszkiem brandy. Ciekawe, czy ma chłopaka. Partnera, jak pewnie by o nim mówiła. Wprawdzie nikogo nie wymieniała z imienia, ale wygląda na osobę, która strzeże swojej prywatności. Tak jak on. A może jest z dziewczyną? Nie, raczej nie, Ruth nie przystaje do jego wyobrażenia lesbijki (które oscyluje pomiędzy ogolonym na zero babochłopem w męskim kombinezonie a typem jaskrawo uszminkowanego wampa z filmów porno). Tak czy inaczej, chociaż nie stara się schlebiać męskiemu gustom, nie próbuje również przypodobać się kobietom. Wygląda na osobę – Nelson szuka odpowiedniego słowa – samowystarczalną – która ma swoje zdanie i nie bardzo liczy się z opiniami innych. Całkiem możliwe, że w ogóle nigdzie nie poszła i spędza sylwestra sama.

Nelson, chyba po raz setny, zastanawia się, czy kiedykolwiek zdoła zamknąć sprawę zaginięć. Wcześniej tego samego wieczoru słyszał, jak dwie kobiety rozmawiały o Scarlet Henderson.

– Nadal jej nie znaleźli... Co muszą przeżywać ci rodzice... Policja oczywiście nic nie robi.

Nelson z trudem hamował się, by im nie przerwać i nie wykrzyknąć każdej z nich prosto w twarz (ewidentnie poprawianą skalpelem), co o tym myśli. Miał neodpartą ochotę chwycić obie kobiety za kark i zagrzmieć: „Zajmuję się tą sprawą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pracownikom zakazałem brać urlopy. Sprawdziłem każdy możliwy trop. Tyle razy patrzyłem na zdjęcie tej małej, że widzę ją, nawet gdy zamykam oczy. Widuję ją w snach. Moja żona twierdzi, że popadłem w obsesję. Co rano, gdy tylko się obudzę, myślę o Scarlet. Nie modliłem się, odkąd skończyłem szkołę, ale za nią się modlę. Proszę Boga, żeby ją ocalił i pomógł nam ją odnaleźć. Więc nie mówcie mi, przeklęte pindy, że nic nie robię”.

Ostatecznie zamiast wszczynać awanturę, po prostu się oddalił. Był jednak wściekły i Michelle

zarzuciła mu, że psuje wszystkim wieczór.

– Nie możesz ciągle demonstrować innym, że masz problemy, Harry. To trochę samolubne, nie sądzisz?

Nelson wzdycha. Z wnętrza domu dobiega dźwięk strzelających korków od szampana. Podstarzały, niemilosiernie zawodzący sopran intonuje tradycyjną noworoczną pieśń: *Auld Lang Syne*\*. Nelson spogląda na ekran komórki i świecące na zielono cyfry. Nagle zaczyna pisać: „Szczęśliwego Nowego Roku HN” i naciska „Wyślij”. Potem wolnym krokiem wraca na przyjęcie.

\* „Dawne dobre dni”.

*Obserwuje kwadrat światła widoczny w suficie, najpierw zielony, potem złoty, w końcu czerwony. Słysząc też huk i dźwięki przypominające świst. Z początku jest przestraszona, ale potem myśli, że już kiedyś słyszała podobne odgłosy. Kiedy? Ile razy? Nie wie. Myśli, że już kiedyś rozmawiał z nią o tym i powiedział, żeby się nie martwiła. To był tylko... Co? Nie pamięta właściwego słowa.*

*Zwykle słyszy jedynie ptaki. Pierwsze przylatują, gdy jest jeszcze ciemno; długie falujące dźwięki, które wyobraża sobie jako papierowe serpentyny, czerwone, złote i zielone, całkiem jak światła na niebie. Czasami ptasie głosy są niskie i gardłowe, jak przy kaszlu. On też kaszle, ukryty w ciemnościach, a ona wtedy nie wie, gdzie on jest. Najbardziej lubi te dźwięki, które dochodzą z wysoka i zataczają kółka na niebie. Wyobraża sobie, że leci im na spotkanie, wysoko, wysoko, tam gdzie błękit. Ale okno jest zamknięte w ciągu dnia, więc nigdy nie widuje ptaków.*

*Wpatruje się w klapę na suficie. Zastanawia się, czy on znowu zejdzie na dół. Myśli, że nienawidzi go bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, ale z drugiej strony nikogo innego przy niej nie ma. No i czasami jest miły. Kiedy było zimno, przyniósł jej dodatkowy koc. Przynosi jej jedzenie, chociaż bywa zły, gdy ona nie chce jeść. „Musisz nabrać*

*ciała”, mówi. Ona nie wie dlaczego. Jego słowa przypominają jej pewną starą, bardzo starą historię, należącą do innego czasu, który na pewno jest tylko snem. Było w niej coś o czarownicy, chatce z pierników i różnych pyszności. Pamięta małe kawałki czekolady, które kładło się do buzi – wtedy czuło się gęstą słodycz, tak wielką, że trudną do zniesienia.*

*On chyba dał jej kiedyś czekoladkę. Rozchorowała się – zapach wymiocin unosił się nad kamienną posadzką, na której leżała, i bolała ją głowa. Dawał jej do picia wodę. Jej zęby szczykały o brzeg szklanki. Teraz ma więcej zębów. On zabrał te stare. Nie wie po co. Tych nowych jest tak dużo, że trudno się do nich przyzwyczaić. Kiedyś próbowała zobaczyć swoje odbicie w metalowej tacy, ale wtedy spojrzała na nią straszna istota, podobna do ducha. Błada twarz, czarne skoltunione włosy i straszne świdrujące spojrzenie. Nie chce jej więcej oglądać.*

## ROZDZIAŁ 8

– Znaleźliśmy go.

Nie ma nic bardziej irytującego, myśli Ruth, niż człowiek, który nie uważa za stosowne przedstawić się przez telefon, gdyż mniema, iż jego głos jest na tyle rozpoznawalny, że można go zidentyfikować w mgnieniu oka. No, ale z drugiej strony faktycznie od razu poznała, kto dzwoni. Północny akcent, ledwo skrywane zniecierpliwienie nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Mimo to postanawia dać mu lekcję:

- Z kim mam przyjemność? – pyta.
- Tu Nelson. Harry Nelson z policji.
- Ach tak. Kogo właściwie znaleźliście?
- Cathbada. Oczywiście naprawdę nazywa się inaczej: Michael Malone.

Ruth ma nieodpartą ochotę powiedzieć: „Wiedziałam”, lecz zamiast tego pyta:

- Gdzie go znaleźliście?
- Nadal przebywa na terenie hrabstwa Norfolk. Mieszka w przyczepie kempingowej w Blakeney. Właśnie idę się z nim spotkać. Pomyślałem, że może chciałaby mi pani towarzyszyć.

Ruth milczy przez chwilę. Oczywiście spora część jej duszy rwie się, żeby tam pójść. To śledztwo wciąga ją bardziej,

niż byłaby skłonna przyznać. Spędziła wiele godzin nad listami, skrzętnie analizując ich treść. Badała różne tropy, szukała wskazówek, przypadkowych słów, *c z e g o l w i e k*, co mogłoby ją naprowadzić na ślad autora. Czuje się dziwnie związana z Lucy, Scarlet i bezimienną dziewczynką z epoki żelaza, której szczątki znaleziono na terenie Słonych Błot. W jej umyśle wszystkie te sprawy łączą się ze sobą – także z nią samą. Poza tym ciekawi ją również Cathbad, a zważywszy, że to ona podsunęła ten trop Nelsonowi, czuje się w pewien sposób odpowiedzialna. Z drugiej strony przeświadczenie Nelsona, że w każdej chwili będzie gotowa rzucić wszystko, by z nim iść, stawia ją w niezręcznej sytuacji, a nawet obraża. Właściwie jest dosyć zajęta, musi się przygotować do wykładów i zaktualizować slajdy. W przyszłym tygodniu rozpoczyna się przecież kolejny trymestr. Tyle że kilka godzin w tę czy w tamtą i tak nie ma większego znaczenia.

- Halo, Ruth, jest pani tam? – pyta zniecierpliwiony Nelson.
- Dobrze – mówi Ruth. – Spotkajmy się za pół godziny na parkingu w Blakeney. Tylko proszę uważać, bo gdy przyplływ jest wysoki, może być grząsko.

Blakeney słynie z fok. Łąd wrzyna się tutaj w morze, tworząc kamienistą mierzeję, na której osiedliły się foki. Wielu miejscowych rybaków oferuje swoje usługi tym, którzy chcą się tam dostać, by je obserwować. Zwłaszcza latem widać, jak niewielkie łódki kursują przez cały dzień z przystani w Blakeney na mierzeję i z powrotem, wioząc grupy podekscytowanych turystów, uzbrojonych w potężne aparaty fotograficzne. Foki przyjmują to wszystko z godnym podziwu spokojem. Leżą sobie na plaży zbite w przyjacielskie stadka i wyglądają zupełnie jak – Ruth nie może uciec od tego skojarzenia – grupy pijaczków, których przed chwilą wyrzucono z pubu. Ruth nie jest aż tak tolerancyjna jak foki i w lecie zwykle stara się omijać Blakeney z daleka, dzisiaj jednak na parkingu stoi zaledwie kilka samochodów, między innymi brudny mercedes Nelsona. Inspektor zaparkował go tak daleko od morza, jak tylko było to możliwe. Ruth zatrzymuje swoją renówkę obok mercedesa i wyciąga z bagażnika kalosze. Wystarczająco długo mieszka w Norfolk, żeby wiedzieć, że gumowe buty są tu niezbędnym elementem wyposażenia.

- Spóźniła się pani – rzuca jej na powitanie Nelson.
- Czyżby? Od pańskiego telefonu nie minęło więcej niż dwadzieścia pięć minut – ripostuje.

Kiedy wciąga kalosze, zastanawia się, po co właściwie Nelson ją zaprosił. Jej wiedza z zakresu archeologii raczej się tu nie przyda i w przeciwieństwie do Erika dość słabo zna Cathbada. Intencje Nelsona bywają niekiedy nieodgadnione. Gdy późno w nocy Ruth wróciła z przyjęcia u Sammy, nie była zbyt zaskoczona, że na wyświetlaczu komórki pokazało się nagle kilka wiadomości. W sylwestra większość z nich dociera z opóźnieniem. Sądziła, że przysłał je ktoś z przyjaciół, może Shona – po kieliszku. I rzeczywiście, pierwsza wiadomość pochodziła od niej. „Szczęśliwego NR!!! Nienawidzę Liama”. Druga przyszła od Erika, a trzecia z nieznanego numeru. Zaintrygowana Ruth nacisnęła „Wyświetl” i w pierwszej chwili nie mogła skojarzyć: HN. Dopiero gdy przeczytała kolejną wiadomość, przyszło jej na myśl, że HN może oznaczać Harry'ego Nelsona. Starszy inspektor Harry Nelson składa jej noworoczne życzenia? Co to wszystko znaczy?

Czwarta wiadomość była od Petera.

– To tam – mówi Nelson, wskazując kierunek.

Ruth widzi zdezelowaną przyczepę zaparkowaną na skraju plaży. Stoi w otoczeniu łodzi rybackich odwróconych do góry dnem i częściowo okryta jest plandeką. Właściwie wygląda niemal jak łódź, tyle że pomalowano ją na fioletowo, a na dachu założono piorunochron.

Ruth patrzy pytająco na Nelsona.

Inspektor wzrusza ramionami.

– Może boi się piorunów.

Albo chce je przyciągnąć, myśli Ruth.

Bzną przez kamienistą plażę. Kalosze Ruth lepiej się sprawdzają w tych warunkach niż półbuty Nelsona. Na murku w pobliżu przystani siedzi dwóch rybaków, którzy z zaciekawieniem się im przyglądają. Gdy docierają do przyczepy, Nelson chce zapukać, ale drzwi otwierają się, jeszcze zanim zdąży to zrobić. Ze środka wyłania się postać w długiej fioletowej pelerynie. W ręku trzyma coś, co przypomina laskę. Cathbad. Ruth myśli sobie, że niezbyt się zmienił przez te dziesięć lat. Wtedy nosił długie ciemne włosy, niekiedy związane w kitkę, a czasami opadające swobodnie na ramiona. Teraz jego włosy są krótsze, tu i ówdzie poprządkane siwizną. Zapuścił brodę i, o dziwo, jest ona kruczoczarna, przez co wygląda na sztuczną, jakby zawieszoną na gumce. Jego oczy też są ciemne i przygląda się nimi badawczo. Ruth pamięta, że Cathbad często był nerwowy i poirytowany, zawsze gotów wybuchnąć – śmiechem lub gniewem. Teraz wydaje się znacznie spokojniejszy, bardziej opanowany. Zauważa jednak, że jego dłoń tak mocno zaciska się na lasce, że robi się niemal biała.

– Michael Malone? – pyta Nelson oficjalnym tonem.

– Cathbad.

– Pan Malone, również znany jako Cathbad. Jestem starszym inspektorem policji w Norfolku. Możemy wejść? – pyta i zaraz potem dodaje: – A to doktor Ruth Galloway z tutejszego uniwersytetu.

Cathbad patrzy na Ruth swoimi ciemnymi oczami.

– My się znamy – mówi z namysłem.

– Spotkaliśmy się na wykopaliskach – dopowiada Ruth. – W Słonych Błotach, dziesięć lat temu.

– Pamiętam – wolno mówi Cathbad. – Byłaś wtedy z jednym facetem. Takim rudym.

Ruth ze złością czuje, że się rumieni. Jest pewna, że Nelson się jej przygląda.

– Tak – odpowiada. – Rzeczywiście.

– Możemy wejść? – ponawia pytanie Nelson.

Cathbad bez słowa usuwa się na bok, żeby ich wpuścić do przyczepy.

W środku jest jak w namiocie. Ciemnogrnatowe draperie zwisają z sufitu i zakrywają wszystkie

meble. Ruth rozpoznaje tylko łóżko piętrowe i szafki stojące pod spodem; zardzewiała, poplamiona jedzeniem kuchenkę; drewnianą ławę i stół, dla odmiany przykryty pofałdowanym czerwonym materiałem. Niebieskie draperie wprowadzają dziwny, baśniowy klimat, podobnie jak łapacze snów, których około dwudziestu połyskuje pod sufitem. Powietrze jest gęste i ciężkie. Ruth zauważa, że Nelson próbuje wyczuć zapach konopi, ale ona jest przekonana, że to tylko woń kadzidełek.

Cathbad wskazuje im ławę, a sam zasiada w głębokim fotelu czarnoksiężnika. Punkt dla niego, myśli Ruth.

– Panie Malone – mówi Nelson. – Badamy sprawę morderstwa i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Cathbad przygląda się im spokojnie.

– Nie bawi się pan w ceregiele. Jest pan spod znaku Skorpiona?

Nelson ignoruje pytanie. Z kieszeni wyciąga fotografię i kładzie ją na stole przed Cathbadem.

– Czy rozpoznaje pan tę dziewczynkę?

Ruth przygląda się zdjęciu z zainteresowaniem. Nigdy wcześniej nie widziała Lucy Downey i jest bardzo poruszona jej niezwykłym podobieństwem do Scarlet Henderson. Te same ciemne, kręcone włosy i uśmiech. Tylko ubrana jest inaczej. Lucy ma na sobie szary mundurek szkolny. Scarlet, przynajmniej na tej fotografii, którą widziała Ruth, była odziana w strój wróżki.

– Nie – krótko odpowiada Cathbad. – O co tu właściwie chodzi?

– Ta dziewczynka zaginęła dziesięć lat temu – mówi Nelson. – Wtedy kiedy pan i pańscy koledzy tak bardzo denerwowaliście się sprawą kręgu. Chciałbym wiedzieć, czy pan ją widział.

Nieoczekiwanie Cathbad wpada w złość. Ruth pamięta, że jego nastrój umiał się zmienić w jednej chwili. Teraz twarz mu pociemniała. W niebieskim świetle mężczyzna wygląda znacznie młodziej.

– Ten krąg to było miejsce święte – jego głos drży z oburzenia. – Miejsce kultu i ofiary. Ale przyjaciele doktor Ruth dołożyli starań, by je zniszczyć.

Ruth wydaje się zaskoczona tym atakiem. Za to Nelson jest wyraźnie podekscytowany, słysząc słowa „kult” i „ofiara”.

– Nie zniszczyliśmy go – bez przekonania odpowiada Ruth. – Przenieśliśmy do uniwersyteckiego muzeum.

– Do muzeum! – z sarkazmem powtarza po niej rozwścieczony Cathbad. – Do tej martwej bezdusznej instytucji, gdzie są tylko kości i trupy.

– Panie Malone – przerywa mu Nelson. – Dziesięć lat temu miał pan lat...

– Teraz mam czterdzieści dwa. Nie notuję w dzienniczku, ile mi przybyło.

Nelson puszcza jego słowa mimo uszu.

– A więc dziesięć lat temu miał pan trzydzieści dwa.

– Matematyka nie ma przed panem tajemnic, inspektorze.

Nelson pomija milczeniem również i tę uwagę.

– Czym się pan zajmował w wieku trzydziestu dwóch lat?

– Przyglądałem się gwiazdom, słuchałem muzyki sfer.

Nelson pochyla się. Nie podnosi głosu, ale Ruth czuje, że temperatura w przyczepie wyraźnie się obniża – wieje chłodem. Powietrze zaczyna niebezpiecznie wibrować, ale źródłem napięcia wcale nie jest Cathbad.

– Proszę posłuchać – spokojnie mówi Nelson. – Albo grzecznie odpowie pan na wszystkie moje



pytania, albo pojedziemy sobie porozmawiać na komisariat. A gdy wyjdzie na jaw, w jakiej sprawie pan zeznawał, to gwarantuję, że zamiast patrzeć na gwiazdy, będzie pan patrzył, jak rozwścieczony tłum próbuje puścić z dymem tę pańską cholerną przyczepę.

Cathbad dłuższą chwilę przygląda się Nelsonowi i otula się ciasniej peleryną, jakby wierzył, że ta go ochroni.

– Dziesięć lat temu żyłem w komunie niedaleko Cromer – mówi niskim monotonnym głosem.

– A wcześniej?

– Byłem studentem.

– Gdzie?

– W Manchesterze. – Cathbad nagle przenosi wzrok na Ruth i dziwnie się uśmiecha. – Studiowałem archeologię – mówi.

Ruth wydaje okrzyk zdumienia.

– Ale przecież tam...

– Uczył Erik Anderssen. Zgadza się. Tam go właśnie poznałem.

Nelson nie okazuje specjalnego zainteresowania, ale przez głowę Ruth przelatuje mnóstwo myśli. A więc Cathbad poznał Erika na długo przed wykopaliskami. Dlaczego Erik nigdy o tym nie wspomniał? Był jej opiekunem naukowym, gdy robiła doktorat w Southhampton, ale wiedziała, że wcześniej wykładał w Manchesterze. Czemu nie powiedział, że prowadził również Cathbada?

– I jak pan wtedy żył w tej komunie? Podejmowaliście tam jakąś normalną pracę?

– To zależy, co pan rozumie przez normalną pracę – odpowiada Cathbad, odzyskując na moment dawnego ducha. – Uprawialiśmy warzywa, gotowaliśmy je, pisaliśmy muzykę, śpiewaliśmy i kochaliśmy się. Ja byłem listonoszem – dodaje po chwili namysłu.

– L i s t o n o s z e m ?

– Tak. Czy pańskim zdaniem to normalna praca? Te ranne pobudki bardzo mi odpowiadały. Lubię wstawać o świcie, bo wtedy resztę dnia mogę poświęcić na coś innego.

– Na przykład zakłócać prace wykopaliskowe związane z kręgiem?

– Zakłócać! – w oczach Cathbada znowu widać wściekłość. – Próbowaliśmy go ocalić! Erik to rozumiał. Nie był jak reszta tych... – Przez chwilę Cathbad szuka odpowiednio mocnego słowa. – ...tych u r z ę d a s ó w . Erik rozumiał, że krąg to miejsce święte, zarówno ziemia, na której się znajdował, jak i zalewające ją morze. Datowanie metodą węgla radioaktywnego i inne tego typu bzdury nie miały tu większego znaczenia. Chodziło o zachowanie jedności ze światem przyrody.

Nelson znowu włącza się do rozmowy. Ruth widziała, że przestał słuchać, gdy padło słowo „święty”.

– A kiedy wykopaliska dobiegły końca?

– Życie toczyło się dalej.

– Dalej był pan listonoszem?

– Nie, dostałem inną pracę.

– Gdzie?

– Na uniwersytecie. Nadal tam pracuję.

Nelson patrzy na Ruth, która wpatruje się w niego osłupiała. Przez wszystkie te lata Cathbad pracował obok niej na uniwersytecie. Czy Erik o tym wiedział?

– A czym konkretnie się pan zajmuje?

– Pracuję jako asystent w laboratorium. Mam licencjat z chemii.

– Słyszał pan o zaginięciu Lucy Downey?

– Cóż, w prasie aż huczało na ten temat.

– A o Scarlet Henderson?

– O kim? Ach, o tej dziewczynce, która zniknęła w ostatnim czasie. Tak, też obilo mi się o uszy.

Niech pan posłucha, inspektorze... – Nagle w jego głosie pojawia się nowy ton. Także sposób, w jaki zasiada w swoim fotelu czarnoksiężnika, się zmienia. Cathbad siedzi wyprostowany i mówi pewniej. – O co tu chodzi? Z jakiej racji wypytuje mnie pan o te sprawy? Nie mam z tym nic wspólnego, a pan nie ma żadnych podstaw, żeby mnie przesłuchiwać. To nadużycie.

– Nie – odpowiada pojednawczo Nelson. – To tylko rutynowe pytania.

– Nic więcej nie powiem bez obecności prawnika.

Ruth spodziewa się, że Nelson będzie dalej naciskał – powie, iż tylko winni domagają się prawnika, ale takie słowa bynajmniej nie padają. Nelson wstaje, potrącając głową łapacz snów.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Malone. Jeszcze tylko jedna rzecz. Czy mogę prosić o próbkę pańskiego charakteru pisma?

– Mojego pisma?

– Tak. Na potrzeby naszego śledztwa.

Cathbad ma taką minę, jakby zamierzał odmówić, ale w końcu wstaje i wolno podchodzi do szafy na dokumenty, stojącej w rogu przyczepy i zupełnie nie przystającej do baśniowego otoczenia. Otwiera jedną z zamykanych na klucz szuflad i wyciąga z niej zapisaną kartkę papieru. Ruth zastanawia się, po co komuś mieszkającemu w przyczepie ozdobionej łapaczami snów szafa do przechowywania akt.

Nelson analizuje pismo Cathbada i przez chwilę ma ponury wyraz twarzy. Ruth widzi, że mocno zaciska szczękę, i zastanawia się, co z tego wyniknie. Ale Nelson wygładza tylko kartkę.

– Dziękuję bardzo, panie Malone – mówi bezbarwnym urzędowym tonem. – Miłego dnia.

– Do widzenia – dodaje cicho Ruth. Cathbad ją ignoruje.

Ruth i Nelson znowu brną po kamienistej plaży. Rybacy wciąż siedzą na murku. Nadchodzi przypływ, przynosząc ze sobą intensywny zapach słonej morskiej wody i stado kołujących w górze, rozkrzyczanych mew.

– No i? – pyta w końcu Nelson. – Jakie wrażenia?

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że on pracuje na uniwersytecie.

– Dlaczego? W tym miejscu nie brakuje dziwaków.

Ruth nie jest pewna, czy Nelson mówi serio, czy żartuje.

– Chodzi mi o to, że Erik... jeżeli wiedział, to w ogóle mi o tym nie wspomniał.

Nelson przygląda się jej.

– Jesteście sobie bardzo bliscy? Pani i ten cały Erik?

– Tak – nieco prowokacyjnie odpowiada Ruth.

– Zdaje się, że on już wkrótce przyjedzie do Anglii?

– W przyszłym tygodniu.

– Chętnie z nim porozmawiam.

– On również wyraził taką ochotę – uśmiecha się Ruth.

Nelson kwituje tę uwagę mruknięciem. Prawie już dotarli do samochodów, które wciąż stoją na suchym lądzie, w przeciwieństwie do innych aut, zaparkowanych nieco niżej. Wokół nich zaczyna się już robić grząsko.

– Podchodząca woda uszkodzi im zawieszania – mówi Nelson.

– A co z jego pismem? – pyta Ruth. W odpowiedzi Nelson wręcza jej kartkę papieru. Tekst

przypomina wiersz i nosi tytuł: *Pamięci Jamesa Agara*.

- Kto to jest James Agar? – pyta Ruth.
- To sukinsyn, który zabił policjanta.
- Ach tak.

Teraz rozumie, dlaczego Cathbad wyjął z szuflady akurat tę kartkę. Jego pismo jest bardzo zamazyste, pełno w nim różnych zawijasów. W ogóle nie przypomina tego, które Ruth pamięta z listów dotyczących Lucy Downey.

- Zupełnie inny charakter pisma – stwierdza.
- To nie znaczy, że powinniśmy dać spokój Cathbadowi.
- Podejrzewa go pan?

Nelson milczy przez chwilę. Rękę trzyma na klamce samochodu.

- Wciąż pozostaje na mojej liście – oświadcza w końcu. – To szczwany lis, trudno go przygwoździć. Był w tej okolicy, gdy zaginęła Lucy, i ma sporą wiedzę na temat kręgu oraz wszystkiego, co się z nim wiąże. Jest sprytny i musi mieć coś do ukrycia. Inaczej nie zamykałby szafy na klucz. Mam zamiar tam wrócić z nakazem przeszukania.

- Dostanie go pan?  
- Pewnie nie. On miał rację, kiedy mówił, że nic mu nie mogę zrobić. To dlatego powiedziałem, że jest sprytny.

- Erik twierdzi, że on ma magiczną moc – nieoczekiwanie dla samej siebie oświadcza Ruth.

Tym razem Nelson wybucha śmiechem.

- Magiczną moc! Też coś! Jak dobiore mu się porządnie do tyłka, to żadna moc mu nie pomoże.

Nelson wsiada do samochodu, ale zanim włoży kluczyk do stacyjki, rzuca jeszcze:

- W jednej kwestii miał rację. Jestem spod znaku Skorpiona.

## ROZDZIAŁ 9

Gdy Ruth skręca w New Road, zauważa przed domem znajomy czerwony samochód. Shona często jej tłumaczy, że ten wóz stanowi substytut penisa i jest równie zawodny. Ostatni raz widziała Shonę jeszcze przed Bożym Narodzeniem i zastanawia się, jakież to nowe nieszczęścia ją tu przywiodły. Nawet lubi słuchać miłosnych wynurzeń przyjaciółki, może dlatego, że te sprawy bezpośrednio jej nie dotyczą. Sama pewnie nie chciałaby tego wszystkiego przeżywać, podobnie jak nigdy nie kupiłaby sobie jaskrawoczerwonej mazdy. Tak czy inaczej ani jedno, ani drugie mi nie grozi, myśli, gdy parkuje za autem Shony o numerze rejestracyjnym: FAB 1.

Shona stoi skulona, owinięta kożuchem i patrzy na Słone Błota. Nad morzem zbierają się ciemne chmury, nadając bagniskom złowieszczy wygląd. Głębokie cienie przesuwają się szybko nad mokradłami, a mewy odlatują w głąb łądu, co niechybnie zwiastuje burzę.

- Jezu, Ruth. Naprawdę nie wiem, jak możesz tu mieszkać. Ja od razu dostaję gęsiej skórki.
- Mnie się podoba. Lubię daleki horyzont, którego nic nie przesłania.
- Żadnych ludzi, sklepów, włoskich restauracji – Shona wzdyga się. – Ja bym tutaj nie wytrzymała.
- Ty nie – zgadza się z nią Ruth. – Masz ochotę na lunch?

Po wejściu do domu Krzemek wita je entuzjastycznie. Ruth idzie do kuchni i kładzie na talerzu ser, pasztet i salami. Shona siedzi przy stole obok okna i opowiada.

– Bezwzględnie muszę zerwać z Liamem. On mówi, że mnie kocha, ale wiem, że nigdy nie odejdzie od Anne. Teraz czeka ją operacja i on twierdzi, że nie może jej martwić. Jestem przekonana, że chodzi o zwykłą korekcję plastyczną brzucha, a naprawdę o to, by znowu odwlec decyzję. Ten wieczór sylwestrowy był okropny. Liam ciągle przyciskał mnie do różnych szafek, mówił, że mnie kocha, i próbował obmacywać, a chwilę później obejmował Anne i rozmawiał z nią o rozbudowie domu. A Phil wciąż mnie podpytywał, czy już sobie kogoś znalazłam. Palant. Robi to, bo wie, że nigdy nie poszłabym z nim do łóżka. No i ta jego okropna żona, która twierdzi, że mam fioletową aurę. Cholerne babsko. Nie znoszę fioletu. Gryzie się z moimi włosami.

Przerywa na chwilę, żeby zjeść kawałek chleba. Potrząsa rudozłotą czupryną, która połyskuje w przyćmionym popołudniowym świetle. Ruth zastanawia się, jakie to uczucie – być tak piękną. Męczące – sądząc z tego, co mówi Shona. Ale jednocześnie ekscytujące. Wystarczy to sobie wyobrazić – każdy napotkany facet marzy o tym, żeby pójść z tobą do łóżka. Przez chwilę Ruth usiłuje przypomnieć sobie wszystkich mężczyzn, którzy przewinęli się przez jej życie: Phil, Erik, studenci, Ed, David, Harry Nelson. Jakoś nie bardzo umie sobie wyobrazić, by którykolwiek z nich dyszał z pożądania na jej widok. Już sama myśl wydaje się absurdalna i dziwnie niepokojąca...

– Ruth!

– Co takiego?

– Pytałam cię, jak spędziłaś sylwestra.

– Och, no cóż. Przeziębiam się, tak jak ci mówiłam, więc postanowiłam zostać w domu. Ale sąsiedzi urządzali akurat przyjęcie, a muzyka grała tak głośno, że do nich wpadłam.

– Naprawdę? I jak było?

– Nudnawo. Mój sąsiad Ed wciąż zadawał wkurzające pytania na temat archeologii.

– Był ktoś interesujący, czy tylko zadowoleni z siebie małżonkowie?

– W większości pary. Przyszedł też drugi sąsiad, David, strażnik z rezerwatu ptaków.

– No proszę. – Shona ożywia się na wieść o tym, że na przyjęciu był jakiś niezonaty mężczyzna.

Nieświadomie od razu przeczesuje ręką włosy, by bardziej uwodzicielsko spływały jej na twarz. – Jaki jest?

Ruth zastanawia się.

– W porządku. Spokojny. I nawet ciekawy, chociaż trochę zbzikowany na punkcie ptaków.

– Ile ma lat?

– Myślę, że jest w moim wieku. Koło pięćdziesiątki.

– Ruth! Daj spokój. Nie masz jeszcze czterdziestki.

– Skończę w lipcu.

– Musimy wyprawić przyjęcie – rzuca ogólnikową uwagę Shona, oblizując jednocześnie palec i zbierając ze stołu

okruszki sera. – A jak tam się układa twoja wielce tajemnicza współpraca z policją?

– Kto ci o tym powiedział?

– Phil.

– Szczerze mówiąc, nie ma w tym nic tajemniczego. Ten policjant poprosił mnie, żebym zbadala kości znalezione w ziemi. Okazało się, że nie są współczesne, tylko z epoki żelaza.

– Dlaczego sądził, że mogą być współczesne?

– Szukał ciała dziewczynki, która zaginęła dziesięć lat temu.

Shona wydaje cichy gwizd.

- Ostatnio również zaginęło w tej okolicy dziecko, słyszałaś o tym?

Ruth kiwa głową.

- Tak, Scarlet Henderson.
- Czy w tej drugiej sprawie też jesteś konsultantem?

Ruth zastanawia się. Nie jest pewna, ile może powiedzieć Shonie. Ona zawsze musi w s z y s t k o wiedzieć i z pewnością będzie się starała wyciągnąć od niej więcej, niż chciałyby wyjawić.

Nelson powiedział, że zawartość listów jest poufna (nie chciał, aby cokolwiek z ich treści przedostało się do prasy), no ale z drugiej strony, jakkolwiek by było, Shona jest przecież literaturoznawcą.

- Trochę im pomagam. Chodzi o pewne listy...

Tak jak przewidywała, już na samą wzmiankę o słowie pisany Shona pochyla się z zainteresowaniem.

- Listy?
- Zaczęły przychodzić, gdy zaginęło pierwsze dziecko, i teraz, gdy zniknęła Scarlet Henderson. Ten policjant sądzi, że obie sprawy mogą być ze sobą powiązane.

Czy powiedziała za dużo?

- A co jest w tych listach?
- Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć.

Wzrok przyjaciółki niczym ultrafiolet przeświecła ją na wylot i sprawia, że czuje się trochę nieswojo.

Shona przygląda się jej badawczo, jakby sprawdzała, ile informacji zdoła od niej wyciągnąć. Jednak już po chwili zdaje się skupiać uwagę na czymś innym – odrzuca włosy do tyłu i patrzy przez okno na purpurowe, złowieszcze niebo.

- Ten policjant, jak się nazywa?
- Nelson. Harry Nelson.

Shona odwraca się i spogląda na nią surowo.

- Jesteś pewna?
- Tak. Dlaczego?
- Och, nic takiego – Shona wraca do okna. – Wydaje mi się tylko, że już kiedyś o nim słyszałam. W kontekście brutalnych zachowań policji, jeśli się nie mylę. Boże! Spójrz tylko na niebo! Lepiej będzie, jak wrócę do domu, zanim lunie.

Dziesięć minut po wyjściu Shony zrywa się burza. W szyby na przemian bębnią deszcz i grad – istne oblężenie. Od strony morza dobiega ryk wiatru, który jest tak donośny jak odgłos piorunów. Ruth ma wrażenie, że cały dom trzęsie się w posadach niczym statek miotany przez fale. Zdażyła oczywiście przywyknąć do tutejszych burz, ale mimo to wciąż odczuwa lęk. Ten dom stoi tutaj od stu lat, tłumaczy sobie, pragnąc się uspokoić, i taka zimowa burza z pewnością nie da mu rady. Ale wiatr wyje i zawodzi tak straszliwie, jakby za wszelką cenę chciał jej udowodnić, że się myli. Atak jest na tyle gwałtowny, że szyby zaczynają dzwonić. Ruth zaciąga zasłony i włącza światło. Zajmie się pracą i przestanie myśleć o pogodzie.

Zamiast jednak kliknąć w folder „Wykłady 07”, kursor wędruje w stronę kuszącego kolorowego logo Google. Po krótkiej wewnętrznej walce Ruth poddaje się i wklepuje słowa „Harry Nelson”. ENTER. Wyskakuje długa lista Nelsonów, łącznie z mistrzem szachowym Stanów Zjednoczonych i profesorem fizyki. Pokazuje się również Harry Nilsson – ten od piosenki *Without You*. Ruth nuci ją sobie cichutko, zjeżdżając kursorem w dół ekranu. Jest. Główny inspektor Harry Nelson, odznaczony za odwagę w 1990

roku. I kolejny odnośnik – Harry Nelson (z tyłu, drugi od lewej) w policyjnej drużynie rugby. Ruth myśli sobie, że powinna wejść na portal Przyjaciele, na którym ostatnio, nie bez poczucia winy, przesiaduje do późnej nocy. Udało się. Znalazła. Henry (Harry) Nelson. Katolicka szkoła średnia w Blackpool. Co też Nelson podaje na swój temat? Jest lakoniczny, i to bardzo: „Żonaty z Michelle, dwie córki, mieszka w Norfolku (Boże, dopomóż)”.

Ruth zastanawia się nad tym, co zobaczyła. Najmniejszej wzmianki na temat pracy w policji. Czyżby Nelson obawiał się, że starzy przyjaciele z Blackpool będą nim gardzić za to, że został policjantem? Ciekawe, że zamieścił imię żony, lecz nie córek. Może boi się internetowych pedofilów? Kto jak kto, ale on z pewnością poznał aż za dobrze ciemną stronę ludzkiej natury. Bez wątpienia małżeństwo musi odgrywać w jego życiu bardzo ważną rolę, bo wspominał o nim na samym początku, jakby uważał to za swoje największe dokonanie. Możliwe, że tak właśnie jest. Ruth przywołuje w myślach incydent sprzed świąt, kiedy to widziała Nelsona i jego rodzinę na zakupach. Michelle niewątpliwie prezentowała się bardzo atrakcyjnie. Mężczyzna pokroju Nelsona – odrobinę zaniedbany, nie chodzący regularnie na siłownię i nie lubiący wydawać więcej niż pięć funtów na fryzjera – z pewnością mógł czuć się dowartościowany. Michelle wyglądała – nie bardzo wie, jak to określić – na kobietę świadomą swoich atutów i potrafiącą zrobić z tego użytek. Obserwowała, jak przekomarzała się z mężem i poufałym, pieszczotliwym gestem dotykała jego ramienia. Krótko mówiąc, reprezentowała ten gatunek kobiet, do którego Ruth czuła największą awersję.

Co jeszcze? Hm, Norfolk najwyraźniej nie zalicza się do miejsc, które Nelson darzy sentymentem. Wielokrotnie dawał tego dowody, nazywając hrabstwo krainą „zapomnianą przez Boga i ludzi”. I znowu pojawia się Bóg, chociaż brakuje jakiegokolwiek wzmianki na temat pracy w policji. „Boże, dopomóż”. Jest pewna, że Nelson nie do końca serio posłużył się tym wezwaniem, ale to właśnie stanowi punkt styczny pomiędzy nim a tajemniczym autorem listów – on również uwielbiał odwoływać się do Boga.

Sunie kursorem w górę i klika na pierwszy odnośnik z listy: „Odznaczony za odwagę”. Na zdjęciu widać znacznie młodszego Nelsona, nie tak bardzo znużonego życiem i nieufnego jak teraz. W rękach trzyma certyfikat i wydaje się skrepowany całą sytuacją. Ruth czyta zamieszczoną obok notatkę:

„Posterunkowy Harry Nelson otrzymał medal za odwagę i wzorową postawę w trakcie zamieszek, które wybuchły w Manchesterze z powodu wprowadzenia podatku pogłównego. W wyniku rozruchów, które szybko przerodziły się w gwałtowne starcia, zginął jeden z policjantów, Stephen Naylor. Posterunkowy Harry Nelson, ryzykując własne życie, przedarł się przez kordon protestujących i wyniósł stamtąd rannego kolegę. Policjant zmarł później na skutek odniesionych obrażeń. Dwudziestoczteroletni mężczyzna, James Agar, został oskarżony o morderstwo”.

James Agar. Ruth patrzy na nazwisko i uruchamia swoją wewnętrzną wyszukiwarkę. Już ma. Przypomniała sobie. Wiersz Cathbada: *Pamięci Jamesa Agara*. Nic dziwnego, że twarz Nelsona spochmurniała, gdy to czytał. Ale zrozumiałe też, dlaczego Cathbad wybrał akurat ten tekst, by zaprezentować swój charakter pisma. Manchester. Cathbad musiał być jeszcze studentem. Może sam brał udział w tych rozruchach, podobnie jak wielu innych studentów. Ruth pamięta podobne zamieszki z okresu, gdy studiowała w Londynie. Obserwowała je z okna uniwersytetu. Sympatyzowała z protestującymi, ale była zbyt ostrożna, żeby do nich dołączyć. Cathbad naturalnie nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. A James Agar został skazany. Ciekawe na podstawie czyich zeznań.

Chwilę później Ruth klika na odnośnik „James Agar” i znajduje mnóstwo poświęconych mu stron.



„Wrobiony przez policję w zabójstwo policjanta Stephena Naylora”. W procesie Agara głównym świadkiem był jeden człowiek – posterunkowy Harry Nelson.

Teraz wraca do swoich wykładów. Za oknami nadal słychać przeraźliwe wycie wiatru szalejącego nad mokradłami. Krzemyk, zupełnie przemoczony, wskakuje przez kocie drzwiczki do mieszkania i potwornie zmęczony zajmuje miejsce na sofie. Skierki nigdzie nie ma. Pewnie gdzieś się ukryła. Nie znosi deszczu.

Uzupełnia notatki, dodaje kilka mało istotnych uwag na temat erozji gleby i w nagrodę planuje zjeść kanapkę (za co właściwie chce się nagrodzić?), gdy nagle dzwoni telefon. Podrywa się i chwytą za słuchawkę, jakby chodziło o czyjeś życie.

– Ruth! Jak się masz?

To Peter.

Po rozstaniu Peter za wszelką cenę próbował utrzymać z nią kontakt. Mieszkał i pracował w Londynie, ale często dzwonił, zdarzyło się nawet, że przyjechał, żeby się z nią zobaczyć. Ilekroć to robił, spotkanie nieodmiennie znajdowało swój finał w łóżku, a wydawało się to tak naturalne, że Ruth w końcu uznała, że coś tu jest nie tak. „Skoro się rozstaliśmy, to nie powinniśmy się więcej widywać – oznajmiła mu. – Nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. W ten sposób, pomijając już wszystkie inne aspekty, żadne z nas nigdy nie znajdzie sobie nowego partnera”. Peter poczuł się zraniony. Powiedział, że wcale nie chce odchodzić, pragnie z nią być. „Nie rozumiesz – argumentował – że skoro nie możemy się rozstać, to znaczy, że pisane nam jest być razem?” Ale Ruth pozostała nieugięta i w końcu Peter, wściekły, wrócił do Londynu, zarzekając się cały czas, że Ruth jest miłością jego życia. Sześć miesięcy później ożenił się z kimś innym. To było pięć lat temu. Od tamtej pory prawie w ogóle nie miała z nim kontaktu. Przysyłał kartki na Boże Narodzenie, raz kopię swojego artykułu. Wiedziała, że Peterowi i jego żonie Victorii urodziło się dziecko, chłopiec o imieniu Daniel. Teraz musiał mieć około czterech lat. Odkąd Daniel przyszedł na świat (wysłała mu misia), nie miała od Petera żadnych wiadomości. Do czasu sylwestrowego esemesa: „Szczęśliwego Nowego Roku! Peter”. Nic więcej, i przez sekundę ukłucie w sercu.

– Witaj, Peter.

– Ścigają cię duchy przeszłości.

– No właśnie.

Na moment zapada cisza. Ruth próbuje wyobrazić sobie Petera po drugiej stronie linii. Telefonuje z pracy? Z domu? Oczyma wyobraźni widzi Victorie, której nigdy nie miała okazji poznać, siedzącą obok niego z dzieckiem na kolanach: „Co tatuś robi?”, „Tsss, kochanie, właśnie dzwoni do swojej byłej dziewczyny”.

– I jak tam? – Cóż za wylewność. – Co u ciebie słychać, Ruth?

– W porządku. A u ciebie?

– Dobrze. Mam sporo pracy.

Peter uczy historii na londyńskim uniwersytecie, gdzie Ruth uzyskała licencjat. Wyobraża go sobie w tamtym otoczeniu: zakurzone platany, rząd rowerów przypiętych łańcuchami do ogrodzenia, londyńskie autobusy i turyści błąkający się po Gordon Square.

– Nadal uczysz na UCL?

– Tak, a ty?

– Nadal na Uniwersytecie Północnego Norfolk. Jak dawniej wykopuję kości i zmagam się z Philem.

Peter reaguje śmiechem.

– Pamiętam Phila. Wciąż taki przywiązany do swoich gadżetów?

– Jeszcze trochę i sam zmieni się w maszynę.

Peter znów wybucha śmiechem, ale tym razem szybko urywa i przechodzi do rzeczy.

– Posłuchaj, Ruth. Dzwonię, bo dostałem urlop naukowy od następnego semestru i...

– Ty też? – wyrwało jej się.

– Co masz na myśli?

– Och, chodzi o to, że... Erik też dostał urlop naukowy. Przyjeżdża tutaj w przyszłym tygodniu.

– Erik! Ten stary Wiking? A więc utrzymujecie ze sobą kontakt?

– Tak – odpowiada przyparta do muru.

– A ja... piszę książkę o Nelsonie.

– O k i m ?

Zapada niezręczna cisza.

– O Nelsonie. Admirale Horatio Nelsonie. Na pewno pamiętasz, że po studiach zajmowałem się naukowo wojnami napoleońskimi.

– Ach, racja...

Ponieważ w ostatnim czasie Ruth często widywała się z innym Nelsonem, zupełnie zapomniała o tym najślynniejszym, który zresztą również pochodził z hrabstwa Norfolk. Setki pubów noszą tu jego imię.

– Planuję odwiedzić Burnham Thorpe. No wiesz, miejsce, w którym się urodził. Wynająłem w okolicy domek i pomyślałem, że mógłbym do ciebie wpaść.

Przez głowę Ruth przelatuje kilka myśli. Z pewnością musiałeś już odwiedzać Burnham Thorpe i jakoś nie miałaś potrzeby do mnie „wpaść”. Co takiego stało się tym razem? Przyjeżdżasz bez żony? Czy na pewno chodzi tylko o badania? Dlaczego dzwonisz do mnie po tak długim czasie?

Głośno jednak odpowiada:

– To świetnie. Zapraszam.

– Cieszę się – z ulgą stwierdza Peter. – No i chciałbym znów zobaczyć Słone Błota. Mój Boże, cóż to było za lato. Pamiętam, jak znaleźliśmy wśród bagien krąg, pamiętam hipisów rzucających na nas klątwy, starego Erika, który snuł różne historie o duchach, gdy siedział z nami przy ognisku. No i któregoś razu mało brakowało, a bym się utopił, pamiętasz?

– No jasne.

Petera najwyraźniej ogarnęła fala nostalgii. Ruth wie, jak to działa, zna wszystkie symptomy i nie zamierza pozwolić się w nią wciągnąć. W przeciwnym razie ta sama fala pochłonie również ją i zatopi w ruchomych piaskach przeszłości.

Peter wzdycha.

– Dobrze. To będziemy w kontakcie. Wpadłbym w przyszłym tygodniu albo jeszcze następnym. Będziesz w domu?

– Tak, będę.

– Super. To do zobaczenia.

– Pa.

Ruth w zamyśleniu odkłada słuchawkę. Nie ma pojęcia, czemu Peter chce się z nią widzieć. Za to czuje, że przeszłość próbuje ją zawładnąć. Najpierw Erik, potem Cathbad, a teraz Peter. Sama nie wie kiedy wraca myślami do okresu sprzed dziesięciu lat. Znowu spaceruje po plaży za rękę z Peterem, ma dłuższe o piętnaście centymetrów włosy i o dziesięć centymetrów szczuplejszą talię. Próbuje wyrwać się z letargu, potrząsa głową. Przeszłość jest martwa. Jako archeolog wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zna jednak jej uwodzicielską moc.

Deszcz nadal bębni o szyby. Ruth wstaje i głaszcze Krzemyka, który leży wyciągnięty na sofie z zamkniętymi oczami i udaje, że jej nie widzi. Powinna sprawdzić, czy Skierka nie miauczy na zewnątrz, by ją wpuścić. Chociaż mogłaby wejść przez kłapę, woli tradycyjną drogę. Ruth uchyla drzwi.

Strugi wody zalewają jej twarz, ledwie widzi. Przeciera oczy rękawem. I wtedy coś zauważa. Poznaje Skierkę, ale kotka nie miauczy. Leży na plecach i nie wydaje żadnych dźwięków. Ma podcięte gardło.

## ROZDZIAŁ 10

Tym razem Nelson jedzie wolno. Nadal mocno pada i na wąskich drogach tworzą się zdradzieckie koleiny, ale on nie należy do tych kierowców, którzy przejmują się pogodą. Z pewnością nie. Jedzie opieszale, bo właśnie odwiedził rodziców Scarlet i czuje, że chciałby trochę ochłonać, zanim wróci do komisariatu. Był zmuszony powiedzieć rodzicom dziewczynki, Delilah i Alanowi, że śledztwo nie tylko nie posunęło się naprzód, ale że policja chce przeszukać ich ogród i wykorzystać w tym celu psy. „W takich sprawach zwykle winni okazują się rodzice”. Te słowa zapadły Ruth głęboko w pamięć. Możliwe, że Nelson chciał nią wstrząsnąć, ale najpewniej odwołał się po prostu do własnych doświadczeń. Na samym początku pracy zawodowej również zetknął się z podobną sprawą. W Lytham zaginęło dziecko. Policja godzinami przeczesała teren, młoda matka w bardzo elokwentny i poruszający sposób wypowiadała się na konferencjach prasowych, ale młody policjant o nazwisku Nelson, wówczas posterunkowy, podczas rutynowego sprawdzania domu zwrócił uwagę na przykry zapach, który wydobywał się z ubikacji na dole. Wezwał posiłki, ale jeszcze zanim zdążyły przyjechać, wydobył z rezeruaru drobne

ciałko dziecka. „Ona działa mi na nerwy – oświadczyła matka, nie okazując najmniejszej skruchy. – To mała diablica”. Czas terażniejszy. Nelson do dzisiaj nie może tego zapomnieć. Został odznaczony, ale całymi tygodniami, miesiącami nie mógł spać. Zbierało mu się na wymioty, ilekroć przypominał sobie ów potworny smród wydobywający się z rezeruaru i widok wzdętego wodą ciała.

Niczego wprawdzie nie wyklucza, ale raczej nie podejrzewa rodziców Scarlet. Alana tak czy owak nie było wtedy w domu, a Delilah... Ta kobieta to dawna hipiska, bosonoga, paradująca w długich, obrzeżonych frędzlami spódnicach. Strasznie irytująca, ale Nelson jakoś nie widzi jej w roli morderczyni. Nigdy nie przyjmij niczego za pewnik, powtarza sobie w myślach. „Nigdy nie przyjmij niczego za pewnik”, lubił mawiać jego pierwszy szef, Derek Fielding. „W ten sposób możemy wyjść na głupców, ty i ja. Rozumiesz?” Rozumiał, ale nie chciał kwitować jego uwag śmiechem tylko po to, żeby mu dostarczać satysfakcji. Pewnie dlatego tak długo zajęło staremu draniowi awansowanie go na wyższy stopień, pomimo odznaczenia. Inna sprawa, że stary miał rację. Nigdy nie powinno się niczego przyjmować za pewnik, zarówno jeśli chodzi o ludzi, jak i okoliczności. Delilah Henderson mogła zabić swoją córkę. Najprawdopodobniej miała sposobność, a ponadto dom był położony na uboczu. Nie zgłaszała zaginięcia dziecka przez dobre trzy godziny. „Myślałam, że bawią się w chowanego”, łkała. Nelson przyjmuje jej wyjaśnienia z niechęcią (jaka matka nie zauważyłaby przez trzy godziny, że jej czteroletniej córeczki nigdzie nie ma?). Ostatecznie przypisuje to zwykłej niefrasobliwości rodziców. Kiedy do Delilah wreszcie dotarło, że Scarlet zaginęła, Bóg jeden wie jak bardzo była wstrząśnięta i zrozpaczona. Podczas ostatniej wizyty dalej trwała w tym stanie – płakała i ścisnęła w dłoni chwytającą za serce starą fotografię szczęśliwej i radosnej Scarlet, siedzącej na różowym rowerku z podpórkami. Delilah nawet się zbyt nie przejęła tym, że policja miała zamiar przeszukać jej

ogród. Uczepiła się tylko Nelsona, błagając go, by odnalazł jej córeczkę.

Nelson zwalnia, prawie staje, gdy wycieraczki walczą z naporem spływającej wody. Bywają takie chwile, kiedy nienawidzi swojej pracy. Chryste, najchętniej zapaliłby papierosa, ale dopiero co zaczął się styczeń i nie bardzo wypada tak od razu łamać noworoczne zobowiązania.

Kiedy dzwoni telefon, początkowo nie odbiera. Nie ze względów bezpieczeństwa – Nelson uważa, że zestaw głośnomówiący jest dla mięczaków – lecz dlatego, że ma już dosyć wrażeń na ten dzień. Kiedy w końcu decyduje się odebrać, słyszy w słuchawce dziwne dźwięki, coś jakby łkanie. Nelson zerka na wyświetlacz, żeby zobaczyć, kto dzwoni. Ruth Galloway. Jezu.

- To pani? Co się stało?
- Ona nie żyje – z płaczem odpowiada Ruth.

Tym razem Nelson zatrzymuje samochód i prawie wpada w poślizg, co mogło się skończyć łądowaniem w wypełnionym wodą rowie.

- Kto nie żyje?
- Skierka. – Długa przerwa, w czasie której słychać tłumiony szloch. – Moja kotka.

Nelson liczy do dziesięciu.

- Dzwoni pani do mnie, żeby opowiedzieć mi o martwym kocie?
- Ktoś podciął jej gardło.
- C o t a k i e g o ?
- Ktoś zostawił Skierkę pod drzwiami, z podciętym gardłem.
- Zaraz będę.

Nelson zawraca w swoim stylu, z piskiem opon, i kieruje się z powrotem w stronę Słonych Błot. Zabicie kota mogło być sygnałem od porywacza albo od autora listów, a może od nich obu. Chociaż perwersyjny charakter tego czynu wskazuje raczej na autora listów. „Nigdy nie należy niczego przyjmować za pewnik”, mruczy Nelson, wyprzedzając ciężarówkę, na wpół oślepiony bryzgającą wodą. Podrzynanie gardła zwierzęciu jest niewątpliwie chore. Ale może dzięki temu uda się wykryć ślady DNA. Musi postępować delikatnie (delikatnie, powtarza sobie, chociaż nie lubi tego słowa, bo jego zdaniem ma podejrzanym wydźwięk, jakby zostało wyjęte z „Guardiana”, któremu nie ufa), Ruth wywarła na nim wrażenie bardzo przygnębionej. A swoją drogą to zabawne, nigdy by nie pomyślał, że ona może trzymać w domu jakieś czworonogi.

Gdy jedzie do Słonych Błot, wokół zapadają głębokie ciemności i chociaż już nie pada, nadal mocno wieje, tak że z trudem udaje mu się zamknąć drzwi samochodu. Gdy idzie w stronę domu Ruth, czuje na plecach silny powiew wiatru, który pcha go naprzód. Jezu, jak można żyć w takim miejscu! Nelson mieszka w nowoczesnym domu z czterema sypialniami, na obrzeżach King's Lynn. Przyległy teren jest zagospodarowany i

dostosowany do potrzeb mieszkańców. Są tam podwójne garaże, porządne oświetlenie i progi spowalniające. Aż trudno uwierzyć, że to Norfolk. Natomiast dom Ruth jest niewiele lepszy od rudery, w dodatku stoi w odosobnionym miejscu, na skraju pustkowia, gdzie nie ma żywego ducha, poza obserwatorami ptaków. Co jej strzeliło do głowy, żeby tu zamieszkać? Przecież na uniwersytecie musi dostawać całkiem niezłą pensję.

Ruth od razu otwiera drzwi, jakby na niego czekała.

- Dziękuję, że pan przyjechał – mówi, pociągając nosem.

Drzwi prowadzą prosto do salonu, w którym zdaniem Nelsona panuje nieopisany bałagan. Wszędzie leżą książki i papiery, na stole stoi nie dopita filiżanka kawy, a obok walają się resztki jedzenia, okruszki i

pestki z oliwek. Już po chwili jego wzrok przykuwa jednak wyłącznie to, co musi być okaleczonym ciałem małego kota. Ruth nakryła zwierzątko różowym puszystym kocem i Nelson nie wie, czemu czuje ucisk w gardle. Odkrywa koc.

- Dotykała go pani? Chodzi mi o kota.
- To ona. Kotka.
- Dotykała jej pani? – powtarza cierpliwie Nelson.
- Tylko po to, żeby ją położyć na sofie i... trochę pogłaskać – mówi i odwraca się.

Nelson wykonuje gest, jakby chciał poklepać Ruth po ramieniu, ale ona odchodzi, by wydmuchać nos. Kiedy wraca, na jej twarzy widać spokój.

- Myśli pan, że to on zrobił? – pyta. – Ten morderca?
- Nie ustaliliśmy jeszcze, czy doszło do morderstwa – ostrożnie odpowiada Nelson.

Ruth kwituje to wzruszeniem ramion.

- Kto mógłby zrobić coś takiego?
- Chory człowiek, to pewne – stwierdza Nelson, pochylając się nad ciałem Skierki. Po chwili się prostuje.

- Czy ktoś wie, że pomagała pani w śledztwie?
- Nie.
- Jest pani pewna?

- Wie o tym mój szef, Phil – z namysłem odpowiada Ruth. – I może jeszcze kilka osób z uniwersytetu. Sąsiadka widziała, jak odjeżdżałam policyjnym wozem.

Nelson odwraca się od Skierki i niemal natychmiast, jakby o czymś sobie przypomniał, na powrót pochyla się i przykrywa kota kocem. Potem dotyka ramienia Ruth i zaskakująco łagodnym tonem mówi:

- Usiądźmy.

Ruth zajmuje miejsce w przepastnym fotelu. Nie patrzy na inspektora, lecz kieruje wzrok na zasłonięte firankami okno. Nadal słychać wycie wiatru i brzęczenie szyb. Nelson przysiada na brzegu sofy.

- Ruth – mówi – oboje wiemy, że tam na zewnątrz jest ktoś bardzo niebezpieczny. Ten człowiek mógł zamordować obydwie dziewczynki i możliwe, że ta sama osoba zabiła również kota. Tak czy inaczej musi pani zachować ostrożność. Ktoś z jakiegoś powodu próbuje panią zastraszyć i bezpieczniej jest założyć, że ma to związek ze sprawą.

Ruth wciąż unika jego wzroku.

- Czy musi pan ją, mam na myśli Skierkę, zabrać? – pyta.

- Tak – odpowiada Nelson. Stara się być z nią szczery, ale nie chce jej zranić. – Musimy sprawdzić odciski palców i jeśli się uda, odnaleźć ślady DNA.

- A więc – wysokim twardym głosem oznajmia Ruth – nastąpił przełom.

- Ruth – mówi Nelson – proszę na mnie spojrzeć. – Spełnia jego prośbę. Twarz ma opuchniętą od płaczu. – Przykro mi z powodu kota. Z powodu Skierki. Kiedyś miałem owczarka niemieckiego. Nazywał się Max. Ten pies wiele dla mnie znaczył. Nawet moja żona była o niego trochę zazdrosna. Ktoś go przejechał, a ja nie mogłem się z tym pogodzić. Nawet chciałem postawić kierowcy zarzut nieostrożnej jazdy, chociaż tak naprawdę to nie była jego wina. Tym razem jednak w grę wchodzi morderstwo i Skierka może nas naprowadzić na właściwy trop. Przecież zależy pani, żeby ustalić, co przytrafiło się małej Scarlet, prawda?

- Tak – odpowiada. – Naturalnie, że tak.

- Obiecuję pani, że gdy tylko laboratorium zakończy pracę, przywiozę tutaj Skierkę i pomogę ją pani

pochować. Nawet zapalę świeczkę w kościele. Zgoda?

Ruth zdobywa się na słaby uśmiech.

– Zgoda.

Nelson podnosi kotkę i starannie opatula ją kocykiem. Gdy idzie w kierunku wyjścia, odwraca się na moment.

– I jeszcze jedno. Niech pani dobrze pozamyka drzwi i okna na noc, sprawdzi wszystkie zamki.

Po wyjściu Nelsona siada na skraju kanapy – na jej drugim końcu, na spłowiałym obiciu, widać niewyraźną plamę krwi. Patrzy na resztki posiłku, który jadła w towarzystwie Shony, i zastanawia się ze smutkiem, ile czasu minęło od chwili, kiedy siedziały razem przy stole i rozmawiały o facetach. Ma wrażenie, że było to całe wieki temu, podczas gdy w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka godzin. Tymczasem zdążyła odkryć, że przeszłość Nelsona skrywa różne tajemnice, porozmawiać z byłym narzeczonym i znaleźć na progu brutalnie zabitego, ukochanego kota.

Zaczyna się śmiać, odrobinę histerycznie. Co jeszcze przyniesie ta noc? Może zaraz okaże się, że jej matka jest lesbijką? David, strażnik z ptasiego rezerwatu, złoży jej propozycję małżeństwa? Idzie do kuchni, gorączkowo rozglądając się za winem. Krzemyk, który uważnie ją obserwuje z oddali, przychodzi i ociera się o jej nogi. Podnosi go i nie może powstrzymać łez, które kapią na przybrudzone rude futerko.

– Och, Krzemyku – mówi. – I co my teraz bez niej pocniemy?

Krzemyk mruczy z nadzieją, że dostanie coś do jedzenia. Jego pani zapomniała go nakarmić.

Próbuje nalać do kieliszka pinot grigio, ale robi to niezręcznie i trochę rozlewa. Patrzy na stół pod oknem, na którym nadal stoi otwarty laptop. Naciska klawisz i ponownie otwiera plik z wykładami. Potem wraca na oglądane już strony, aż w końcu znajduje tę z Nelsonami – mistrz szachowy Stanów Zjednoczonych, profesor fizyki, Harry Nilsson i wreszcie Henry (Harry) Nelson z policji w Norfolku. Przypomina sobie,

jak bardzo starał się być delikatny. Z pewnością liczył na to, że trafi na jakiś nowy trop, ale jednocześnie próbował uszanować jej uczucia. Pewnie myśli o niej teraz z pobłażaniem, że tak bardzo rozczuliła się nad losem zwierzęcia, ale co tam, jest jej wszystko jedno. Przepadała za tym kotem. Był jej towarzyszem i przyjacielem – tak, przyjacielem, rzuca buntowniczo. Wciąż ma przed oczami obraz małego czarnego kotka, słodkiego, a zarazem zdystansowanego, i lzy spływają jej po twarzy. Kto mógł zabić Skierkę?

I wtedy przypomina sobie, co na odchodnym powiedział Nelson: „Niech pani dobrze pozamyka drzwi i okna na noc, sprawdzi wszystkie zamki”. Człowiek, który zabił Skierkę, równie dobrze mógł być odpowiedzialny za śmierć Lucy i Scarlet. Niewykluczone, że właśnie czai się na progu lub słucha pod oknem, trzymając w ręku ostry nóż. On zabił Skierkę. Ruth czuje, jak przeszywa ją chłód. Dociera do niej, że śmierć kota nie była przypadkowa, lecz stanowiła ostrzeżenie: „Następnym razem to możesz być ty”.

I nagle słyszy jakiś dźwięk. Za oknem. Chwila ciszy, potem stłumiony kaszel i bez wątpienia – czyjeś kroki. Bliżej i bliżej. Nasłuchuje. Serce wali jej jak oszalałe. Ruth ma wrażenie, że zaraz dostanie zawału i padnie – tu, na progu. Pukanie do drzwi sprawia, że zaczyna krzyczeć ze strachu. Stało się. Tajemnicze monstrum przyszło pod jej dom. Prawdziwa bestia. Czuje lęk. Przypomina jej się film *The Monkey's Paw*\*.

\* „Łapa małpy”.

Jaki niewypowiedziany horror czeka ją za tymi drzwiami? Drży

z przerażenia tak bardzo, że upuszcza kieliszek. Znowu pukanie. Potworny, apokaliptyczny dźwięk, który niesie się po całym domu. Co powinna zrobić? Zadzwoić do Nelsona? Telefon leży po drugiej stronie pokoju, koło sofy, ale ona nie jest w stanie zrobić kroku. Czy to już? Czy za chwilę spotka ją śmierć, we



własnym domu, wśród świstu wiatru za oknami?

– Ruth! – rozlega się czyjeś wołanie. – Jesteś tam?

Och, Bogu niech będą dzięki, myśli Ruth, która nie wierzy w Boga. To Erik.

Na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc, rzuca się, żeby otworzyć mu drzwi. Erik Anderssen, w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym i z butelką whisky w ręku, stoi w progu i uśmiecha się.

– Cześć, Ruthie – mówi. – Miałabyś ochotę na kieliszeczek przed snem?

## ROZDZIAŁ 11

– Krajobraz okolic, o które upomniało się morze – mówi Erik – ma szczególną magię. – Jego dźwięczny i melodyjny głos niesie się wśród smaganych wiatrem traw. – Pomyśl o Dunwich, mieście pochłoniętym przez żywioł, kościelnych dzwonach bijących pod wodą. Pomyśl o zatopionym lesie, tutaj, na tej plaży, o drzewach zagrzebanych pod naszymi stopami. Głęboko w każdym z nas kryje się lęk przed czymś, co zostało pochowane i czego nie widać.

Ruth i Erik idą plażą, miazdząc po drodze setki skorupki małży naniesionych podczas przyływu. Ulewny deszcz, który padał poprzedniego dnia, ustąpił miejsca pięknej zimowej aurze. Jest mroźno i pogodnie. Strach i przerażenie ubiegłej nocy zdają się odległe. Ruth wciąż nie może uwierzyć, że Skierka nie żyje i że jej samej też grozi niebezpieczeństwo. A jednak to prawda, myśli sobie, podążając z mozołem za Erikiem, to wszystko rzeczywiście się zdarzyło.

Minionej nocy wprost rzuciła się w jego ramiona – płakała i prawie nie mogła się pozbierać. Pamięta, że był dla niej bardzo miły. Posadził ją i podał kawę z whisky. Opowiedziała mu o Skierce, a on obiecał, że kiedy przywiozą kotkę z laboratorium, urządzi jej razem wikiński pogrzeb – płonący stos dryfujący po morzu. Ruth, która chciała pochować Skierkę w ogrodzie pod jabłonią, nie zareagowała na jego słowa, ale wiedziała, że ze strony Erika był to wyraz wielkiego uznania dla Skierki i jej kociej duszy. Pamięta, jak matka tłumaczyła jej kiedyś, że zwierzęta nie mają duszy. Uznała wtedy, że w takim razie Panu Bogu znowu należy się minus.

Ubiegłej nocy nie chciała być sama, więc Erik został i spał na sofie z podkurczonymi długimi nogami, przykryty jej śpiworem. Nie skarżył się, gdy Krzemik obudził go o piątej rano, przynosząc w podarunku martwą mysz. Erik okazał się prawdziwym przyjacielem, myśli Ruth. Pomimo przykrych okoliczności cudownie jest znów go widzieć i przemierzać razem z nim Słone Błota.

Po śniadaniu Erik zaproponował, żeby poszli obejrzeć miejsce, w którym kiedyś był krąg, a ona skwapliwie się zgodziła. Miała ochotę wyjść z domu, bo ciągle się jej zdawało, że lada chwila z któregoś zakamarka wychynie Skierka. Nie, zdecydowanie lepiej czuje się na zewnątrz, gdy spaceruje po szerokiej plaży i ma nad głową błękitne niebo. Co ciekawe, zdążyła już zapomnieć, jak daleko sięga przyływ. Wielkie połacie piasku, ciągnące się kilometrami, tu i ówdzie błysk tajemniczej zatoczki lub ciemny zarys wyrzuconej na brzeg kłody drewna. Chociaż przestrzeń dookoła jest bezkresna i pozbawiona jakichkolwiek punktów odniesienia, Erik wydaje się dokładnie wiedzieć, dokąd idzie. Kroczy pewnie, ze wzrokiem utkwionym w horyzont. Ruth, w swoich praktycznych kaloszach, brnie za nim z trudem.

Ubiegłej nocy wiatr przemieścił łachy piasku, tworząc fałdy i różne dziwne formy. Im bliżej morza, tym bardziej jest płasko; wzdłuż brzegu leżą puste muszle po ostrygach i martwe kraby. Gdzieniedzie płyną ku morzu niewielkie strumyki, a od czasu do czasu pojawiają się większe rozlewiska, w których odbija się błękit. Ruth pokonuje jedno z nich, rozchlapując wodę, i wspomina lato, gdy prowadzono

badania na terenie kręgu. Pamięta nawet, co czuła, kiedy jej bosa stopy dotykały piasku. Ostre smagnięcia wody i dotkliwy ból w zetknięciu z krawędziami muszli małży. Pod koniec dnia jej stopy zawsze były poznaczone drobnymi nacięciami.

– Nadal uważasz, że kręgu nie należało ruszać? – pyta.

Erik unosi twarz ku słońcu i przemyka oczy.

– Tak – odpowiada. – Tu było jego miejsce. Wyznaczał granicę. Powinniśmy to byli uszanować.

– Granice miały znaczenie dla ludzi prehistorycznych, prawda?

– No jasne – Erik ostrożnie przekracza wartki strumień. Nie ma na nogach kaloszy. – To właśnie dlatego budowali na nich kopce, tworzyli miejsca kultu i składali ofiary przodkom.

– Myślisz, że te szczątki z epoki brązu, o których ci mówiłam, też wyznaczały jakąś granicę?

Przy śniadaniu Ruth bardziej szczegółowo opowiedziała Erikowi o znalezisku – dziewczynce z ogoloną głową i gałązkami zaplecionymi wokół rąk i nóg, o torquesie, monetach i niezwykłym umiejscowieniu ciała.

Erik się waha. Stara się mówić w sposób wyważony, spokojnie, jak profesjonalista.

– Tak – oświadcza w końcu. – Niekiedy pojedynczy pochówek również wyznaczał granicę w prehistorycznym krajobrazie. Przypomnij sobie groby w Jutlandii.

Ruth myśli przez chwilę o odkryciach, których dokonano na terenie Jutlandii – pod wodą znaleziono dębowe trumny zawierające szczątki z epoki brązu. W jednej z nich złożono ciało młodej kobiety. Ruth szczególnie utkwił w pamięci jej ubiór, zaskakująco współczesny i modny – szamerowana minispódniczka i krótka bluzeczka sięgająca talii.

– A co myśli na ten temat nasz Pan Gadżet? – pyta Erik.

– Och, on uważa, że to zwykły przypadek. Nie widzi żadnego związku pomiędzy kręgiem i znalezionym ciałem z epoki żelaza.

Erik kwituje to parsknięciem.

– Nie rozumiem, jakim cudem ten gość został archeologiem! Czy on nie może pojąć, że jeśli dany teren był święty dla ludów z epoki neolitycznej i brązu, to pozostawał taki również w epoce żelaza? Sam krajobraz odgrywa tutaj niezwykle ważną rolę. To strefa graniczna pomiędzy ziemią a morzem, o specjalnym charakterze.

– Dla nas jednak nie tak znowu ważna.

– Czyżby? Ta ziemia należy do Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków i Krajobrazu. Ustanowiono tutaj rezerwat przyrody. Czy nie jest to współczesna forma uznania danego terenu za święty?

Ruth myśli o działalności Narodowego Funduszu, o praktycznie myślących kobietach w pikowanych płaszczach, sprzedających pamiątki przy wejściu do zamku. Jakoś nie potrafi skojarzyć tego ze świętością. Potem przychodzi jej na myśl David i sposób, w jaki opowiadał o migracjach ptaków. To jego należałoby zaliczyć w poczet tych ludzi, dla których to miejsce jest święte.

Erik nagle się zatrzymuje. Uważnie ogląda piasek, który zrobił się ciemniejszy i bardziej błotnisty. Eleganckim butem złobi linię, która odsłania spodnie warstwy ziemi, o wyraźnie niebieskim zabarwieniu.

– Zwęglone szczątki – mówi. – Korzenie bardzo starych drzew. Musimy być już blisko.

Ruth ogląda się za siebie i po lewej stronie dostrzega kępę drzew, a w oddali wieżę kościoła. Doskonale pamięta ten widok. Są bardzo blisko kręgu. Ale piasek, szary w zimowym świetle, niczego nie zdradza. „Piaski nigdy nic nie oddają”.

Pamięta, jak wyglądał krąg tamtego lata. Pierścień drewnianych sękatych pali sterczących z ziemi, złowróżbnych i pochodzących jakby z innego świata, który wynurzył się z morza. Ma przed oczami Erika

zastygłego na klęczkach przed palami, w pozie nieomal modlitewnej. Pamięta, jak pierwszy raz weszła do kręgu, a całe jej ciało przeniknęło drzenie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Erik.

Niczego szczególnego nie widać. Jedyne lekką wypukłość terenu w kształcie koła, ciemniejszą niż reszta, ale jej przewodnik zachowuje się tak, jakby właśnie wszedł do świątyni. Stoi kompletnie znieruchomiały, ma zamknięte oczy, a potem dotyka ziemi, jakby na szczęście.

– To święta ziemia – mówi.

– Tak pewnie powiedziałby Cathbad.

– Cathbad! Widziałaś się z nim?

– Tak... Chciałam cię o coś zapytać.

– Słucham?

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że go dobrze znasz? Był twoim studentem.

Erik milczy przez chwilę i tylko się jej przygląda. Ruth niczego nie może wyczytać z chłodnego spojrzenia jego niebieskich oczu. Poczucie winy? Rozbawienie? Gniew?

– A czy to ważne?

– Oczywiście, że tak! – unosi się. – Jest przecież podejrzanym w sprawie o morderstwo.

– Czyżby?

Ruth waha się. Wie, że Nelson nie ufa Cathbadowi, ale czy to wystarczy, by go uznać za podejrzanego? Prawdopodobnie tak.

– No, nie wiem. Policja uważa, że on coś ukrywa – mówi w końcu.

– Policja! A co oni wiedzą? To motłoch. Prostacy. Pamiętasz, jak usunęli protestujących z terenu wykopalisk? I to siłą, całkiem niepotrzebnie.

– Owszem, pamiętam.

Policja rzeczywiście nie patyczkowała się wtedy z protestującymi. Erik i pozostali archeolodzy byli bardzo przejęci. Złożyli nawet skargę, którą policja zignorowała.

– Czy to ty wciągnęłaś Cathbada w tę sprawę? Mam na myśli protest.

Erik uśmiecha się.

– Nie. Miejscowi poganie zdążyli już wcześniej zewrzeć szyki. Na terenie Norfolku jest dużo pogan, wiesz o tym. Powiedzmy, że trochę ich zachęciłem.

– A potem załatwiłeś mu także pracę na uniwersytecie?

– Wystawiłem odpowiednie referencje.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?

– Nie pytałaś.

Ruth odwraca się i wolno rusza przed siebie, po mokrym piasku. Erik dogania ją i obejmuje w tali.

– Nie złość się, Ruth. Nie pamiętasz, jak zawsze ci powtarzałem, że to pytania są ważne, a nie odpowiedzi?

Ruth patrzy na znajomą ogorzałą twarz swojego towarzysza. Przybyło mu lat, siwych włosów i zmarszczek wokół oczu, ale to wciąż ten sam Erik. Uśmiecha się do niej, a jego błękitne oczy rzucają iskry. Z ociąganiem odwzajemnia jego uśmiech.

– No chodź. Może uda nam się znaleźć tę grobę, o której mówiłaś.

Wyruszyli, kierując się w głąb łądy, poprzez wydmy. Para ptaków brodzących żeruje na mokradłach. Ruth przypomina sobie porównanie Słonych Błot do ptasiej stacji benzynowej. Kiedy przechodzą obok,

oba ptaki unoszą na chwilę głowy, by przyjrzeć się intruzom, lecz zaraz potem znów skupiają się na jedzeniu. Z oddali przygląda się im czapla stojąca na jednej nodze, jakby pogrążona w medytacji.

Ruth ma ze sobą mapę otrzymaną od Davida, który zaznaczył na niej zagrzebane w ziemi pale. W milczeniu rozkłada ją i wręcza Erikowi, który gwizdże z uznaniem.

– No... to nareszcie ją mamy. – Dłuższą chwilę studiuje mapę w zupełnym milczeniu. Ruth przygląda mu się z podziwem. Nikt nie czyta map i nie orientuje się w terenie lepiej niż Erik. Dla niego wzgórze, strumienie i wioski są drogowskazami, które prowadzą prosto ku przeszłości. Pamięta, jak kiedyś, gdy zaczęła uczyć się na jego wykłady dla doktorantów, zadał jej pytanie: „Co uwzględniłabyś przede wszystkim, gdybyś musiała przygotować mapę swojego pokoju dla archeologów z przyszłości?”. „Hm... powinnam sporządzić inwentarz wszystkich rzeczy”. Erik roześmiał się. „No nie. Inwentarze są oczywiście potrzebne, ale nic nam nie mówią o tym, jak ludzie żyli, co było dla nich istotne i stanowiło przedmiot kultu. Nie, najważniejszą rzeczą, o której należy pamiętać, jest kierunek. W którą stronę zwrócone są krzesła. To z pewnością pokazałoby archeologom z przyszłości, że najważniejszym przedmiotem w dwudziestowiecznym domu był duży, szary prostokąt w rogu pokoju”.

Erik podnosi wzrok znad mapy, wciąga w nozdrza powietrze i uśmiecha się.

– Myślę, że powinniśmy pójść tędy.

Ruszają w drogę żwawym krokiem. Wiatr mają teraz za plecami, wieje tak mocno, że sztywne źdźbła traw niemal kładą się na ziemi. Mijają kępy trzcin, płytkie rozlewiska ciemnej i tajemniczej wody. Nad ich głowami nawołuje ptak. Jego głos brzmi ochryple i złowieszczo.

– To tutaj – Erik zatrzymuje się i pochyla nad torfowiskiem. Ruth przykuca obok. We wskazanym przez niego miejscu pomiędzy trzcinami z błota wystaje fragment pala. Jakieś dziesięć centymetrów nad poziom gruntu.

– Dąb bagienny – oświadcza. Ruth uważniej przygląda się znaleźskowi. Drewno jest pociemniałe, prawie czarne, a na jego powierzchni aż roi się od małych dziurek, takich, jakie drążą korniki. – Małże – krótko stwierdza Erik. – To one zniszczyły drewno.

– Ile ma lat? – pyta Ruth.

– Trudno ocenić. Ale wygląda na stare.

– Tak stare jak krąg?

– Chyba z trochę późniejszego okresu.

Ruth wyciąga rękę, żeby dotknąć słupa. Jego powierzchnia wydaje się miękka jak czarne toffi. Najchętniej przeciągnęłaby po niej paznokciem.

– No chodź – przynagla ją Erik. – Zobaczmy, gdzie jest następny.

Okazuje się, że dwa metry dalej. Trudniej go zauważyć, niemal w całości bowiem jest zanurzony w wodzie. Erik pokonuje odległość między słupami.

– Niewiarygodne. Grunt pomiędzy tymi dwoma palami jest zupełnie suchy, chociaż po obu stronach, jak okiem sięgnąć, rozciągają się mokradła. To musi być rodzaj kamienistej mierzei. Aż trudno uwierzyć, że przez cały czas pozostała w tym samym miejscu.

Ruth wyczuwa jego podniecenie.

– A więc to może być droga prowadząca przez bagna?

– Tak. Miejsce przejścia przez świętą ziemię. Wytyczenie go było równie ważne jak oznaczenie granicy. Jeden niewłaściwy krok i już po tobie, lądujesz w piekle. Trzymasz się drogi, trafisz do nieba.

Erik uśmiecha się, ale ciało Ruth przenika drzenie, bo przypomina sobie, co było napisane w listach: „Popatrz na niebo, gwiazdy i miejsca graniczne. Zobacz, co się rysuje na tle nieba. Znajdziesz ją tam,

gdzie ziemia spotyka się z niebem?”. Czy autor listów znał tę ścieżkę? Pisał o groblach i kursusach. Czy przywiódł tutaj Lucy, na to pustkowie?

Udaje im się znaleźć dwanaście pali, które prowadzą niemal wprost pod sam parking, do miejsca, gdzie Ruth znalazła szczątki z epoki żelaza. Erik robi zdjęcia i sporządza notatki. Wydaje się zupełnie tym pochłonięty. Za to Ruth jest niespokojna i jakby nieobecna. Przy Nelsonie czuła się pewnie – była ekspertem. Teraz zeszła do pozycji studenta.

- W jaki sposób zamierzasz datować to drewno? – pyta.
- Poproszę o pomoc Boba Bullmore'a.

Bob pracuje na tym samym wydziale, co Ruth. Jest bardzo doświadczonym archeologiem sądowym, badającym procesy rozkładu form organicznych. Ruth lubi Boba. Uważa, że zaangażowanie go w tę sprawę jest dobrym pomysłem, ale z drugiej strony sama nagle czuje się odsunięta na boczny tor. Ma ochotę krzyknąć, że to przecież jej odkrycie. Gdyby nie ona, Erika w ogóle by tutaj nie było.

- Powiemy o tym Philowi? – pyta na głos.
- Nie teraz.
- A jeśli dowie się od Boba?
- Bob nic nie powie, jeżeli go o to poproszę.
- Myślisz, że istnieje jakiś związek między moim znaleziskiem z epoki żelaza a kręgiem?

Erik przygląda się jej pytającym wzrokiem.

- T w o i m znaleziskiem?
- To ja znalazłam ciało – odpowiada prowokująco.
- Nic na tym świecie nie jest nasze – stwierdza Erik.
- Mówisz jak Cathbad.

Erik taksuje ją wzrokiem jak wykładowca oceniający nowego studenta.

- Chodźmy do niego razem.
- Do Cathbada?
- Tak. Chciałbym, żebyś poznała go bliżej.
- Teraz?
- Tak, planowałem do niego zajrzeć.

Ruth waha się. Z jednej strony czuje w sobie żyłkę detektywa i ma wielką ochotę ponownie zobaczyć się z Cathbadem, by móc wyrobić sobie o nim zdanie bez obecności sceptycznie nastawionego doń Nelsona. A z drugiej strony jest trochę zła na Erika, że nawet nie wspomniał, iż Cathbad był jego studentem. Ma wrażenie, że sama przebywa na granicy pomiędzy ciekawością a urazą.

Gdy wciąż się waha, co obserwuje Erik, nagle słyszy sygnał komórki, brutalnie uprzytomniający jej, że to jednak dwudziesty pierwszy wiek.

- Przepraszam – mówi i odwraca się.
- Tu Nelson
- O... witam.
- Jest pani zajęta? Czy mogłaby pani przyjechać do Spenwell? Już teraz.
- Co się stało?

- Jestem w domu Scarlet Henderson. W ogrodzie znaleźliśmy ludzkie szczątki.

## ROZDZIAŁ 12

Spenwell jest niedużą wioską, a nawet to określenie jest trochę na wyrost. Jeden rząd domów, budka telefoniczna i sklep, otwarty tylko po południu przez dwie godziny. Rodzina Scarlet mieszka w nowoczesnym parterowym domu z brzydkiej brązowej cegły, której nieciekawym wyglądem maskują trochę pędy bluszczu. Ruth parkuje obok mercedesa Nelsona i dwóch furgonetek policyjnych. Obecność policji nie umknęła uwagi nielicznych mieszkańców wioski. Po drugiej stronie drogi zebrała się grupka dzieci, które z ciekawością w oczach śledzą, co się dzieje; w oknach okolicznych domów widać twarze dorosłych. Trudno dojrzeć, co wyrażają: zainteresowanie, strach, a może radość i podekscytowanie.

Gdy Ruth podchodzi bliżej, zza ściany budynku wyłania się Nelson. Policja tak przeryła frontowy ogródek, że nie ma w nim nic poza błotem. Ktoś położył tam dwie deski, zapewne po to, by można było przejechać taczka.

– Dzień dobry, Ruth. Jak tam samopoczucie?

Czuje się nieco zażenowana. Dzisiaj znowu jest profesjonalistką, ekspertem, nie chce, aby ktoś jej przypominał o tym, że poprzedniego dnia płakała rzewnymi łzami po stracie kota.

– Lepiej – rzuca w odpowiedzi. – Erik, pamięta pan, mój dawny opiekun naukowy, wpadł do mnie zaraz po pana wyjściu.

Nelson przygląda jej się trochę zdziwiony. Ale kwituje to krótko:

– Aha.

– Gdzie są te szczątki? – pyta Ruth. Chce skierować rozmowę na sprawy zawodowe.

– Na tyłach domu. Psy znalazły to miejsce.

Z tyłu budynku widać mocno zaniedbany ogród. Stoją tam stare sofy, zepsute rowery i nie zrobiona do końca drabinka do wspinania się, sklecona z kawałków starego drewna z odzysku. Zebrani na miejscu zbrodni policjanci, ubrani w białe kombinezony, tłoczą się wokół wielkiego dołu. Policyjne psy naprężają smycze i merdają z podekscytowania ogonami. Ku swojemu przerażeniu Ruth zauważa, że są tutaj również Hendersonowie. Stoją w milczeniu przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Matka dziewczynki jest stosunkowo młoda i ładna. Ma bladą cerę, długie włosy i bardzo szczupłą sylwetkę. Nosi fioletową spódnicę z aksamitu, stoi boso, pomimo zimna. Ojciec Scarlet jest starszy, ma wąską, szczurzą twarz i zażawione oczy. W ogrodzie, na niekompletnej drabince, beztrudnie bawi się trójka ich dzieci, najwyraźniej zupełnie nieświadoma powagi sytuacji.

– Przedstawiam wam panią doktor Ruth Galloway – mówi Nelson do jednego z mężczyzn w białych kombinezonach. – Interesuje się ukrytymi w ziemi kośćmi.

Całkiem jak pies, myśli sobie Ruth i pochyla się nad dołem, który, jak się wydaje, leży dokładnie na linii oddzielającej

ogród Hendersonów od ogrodu sąsiada. Bliżej domu biegnie tamtędy drewniany płot, ale tutaj, na tyłach ogrodu, leży tylko kamień i tłuczeń. Granica, myśli Ruth. Wracają do niej słowa Erika: „Wyznaczał granicę. Powinniśmy to byli uszanować”.

– Czy tu stał kiedyś mur? – pyta. Zwraca się do jednego z odzianych w biały kombinezon policjantów, ale musiał usłyszeć ją ojciec Scarlet, bo podchodzi bliżej.

– Tak, rzeczywiście był tutaj mur. Stary i kamienny. Rozebrałem go jakieś pięć lat temu, gdy chciałem postawić piec.

Jeżeli kiedyś biegł tędy mur, myśli Ruth, kości nie mogły zostać pogrzebane niedawno. Na pewno nie chciałaby, aby to były kości Scarlet. Nie chce, żeby jej rodzice okazali się mordercami. Zależy jej, żeby Scarlet żyła.

Biało odziane postaci robią jej miejsce i Ruth przesuwa się do przodu. W plecaku ma cały niezbędny



ekwipunek. Klęka blisko krawędzi, wyciąga małą kielnię i delikatnie oskrobuje ziemię ze ścian dołu. Ostrza łopat nie naruszyły układu poszczególnych warstw, które są doskonale widoczne. Cienka powierzchniowa warstwa gleby, potem charakterystyczna dla tej okolicy warstwa torfu, a jeszcze niżej kamień. Na samym dole Ruth dostrzega żółtawą biel kości.

- Czy coś było tu ruszane?
- Nie, inspektor Nelson przykazał nam, żeby niczego nie ruszać.
- To świetnie.

W rękawiczkach Ruth podnosi jedną z kości. Jest w pełni świadoma tego, że wszyscy wstrzymali na chwilę oddech.

Nelson pochyła się nad nią i szepcze coś do ucha. Ruth czuje zapach papierosów i wody po goleniu.

- Czy to ludzkie kości?
- Myślę, że tak, ale...
- Ale co?
- Nie zostały tu pochowane wspólnie.
- Jak to? – Nelson przykuca obok niej.
- Poszczególne warstwy ziemi byłyby przemieszane. A tu, proszę spojrzeć. – Ruth wskazuje równo układające się warstwy ziemi.

- Odśloniliśmy stary grób. Pod tymi wszystkimi warstwami. Kości były złożone na ziemi i dopiero w ciągu następnych stuleci nałożyły się na nie warstwy gleby.

- W ciągu stuleci?
- Sądzę, że te kości też pochodzą z epoki żelaza.
- Skąd ta myśl?
- Są tu fragmenty ceramiki, która na to wskazuje.

Nelson przygląda jej się dłuższą chwilę, a potem wstaje i woła do swoich ludzi:

- Dobra, chłopaki. Przedstawienie skończone.
- Jaki wynik, szefie? – pyta jeden z nich. S z e f i e ! Ruth nie może uwierzyć własnym uszom.
- Dobra wiadomość jest taka, że odnaleźliśmy ludzkie szczątki. Zła, że mają dwa tysiące lat. No już.

Zabierajmy się stąd.

Godzinę później Ruth pozbierała wszystkie kości do worka i przekazała je do uniwersyteckiego laboratorium, gdzie miały zostać poddane datowaniu. Nawet bez tego była pewna, że pochodzą z epoki żelaza. Tylko co z tego wynika? Ponieważ

ciała nie pochowano na bagnach, pod warstwą torfu, nie zachowało się i pozostały jedynie kości. Czy istniał jakikolwiek związek pomiędzy tym znaleziskiem a drugim ciałem, które wykopano na skraju Słonych Błot? I czy istnieją dalsze powiązania pomiędzy nimi a groblą rytualną i kręgiem? W głowie ma natłok myśli, ale stara się skupić na picciu ziołowej herbaty w towarzystwie rodziców Scarlet, Delilah i Alana, do których Nelson radził jej zwracać się po imieniu.

Nie może sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazła się w nieco zabałaganionej kuchni Hendersonów i usiadła na chybotliwym stołku z glinianym kubkiem w rękach. Pamięta tylko, że Nelson skwapliwie przyjął skierowane do niej zaproszenie.

- Z przyjemnością – oznajmił. – Bardzo dziękujemy, pani Henderson.
- Delilah – poprawia go znużonym głosem gospodyni.

To dlatego siedzą teraz u nich w kuchni, słuchając opowieści Alana o różdżkarstwie i marudzenia

najmłodszej latorośli Hendersonów o imieniu Ocean, usadowionej na wysokim krzeselku.

- Tęskni za Scarlet – z rezygnacją stwierdza Delilah, a Ruth czuje ucisk w piersiach.
- Na pewno – mamrocze coś w odpowiedzi. – Ile lat ma... Ocean?
- Ona ma dwa, Scarlet cztery, Euan i Tobias po siedem, a Maddie szesnaście.
- Nie wyglądasz na mamę szesnastoletniej córki.

Delilah uśmiecha się. Jej blada twarz okolona burzą włosów na chwilę się rozjaśnia.

- To dlatego, że sama miałam szesnaście lat, kiedy ją urodziłam. Naturalnie nie jest córką Alana.

Ruth patrzy przez chwilę na męża swojej rozmówczyni, tłumaczącego teraz Nelsonowi, któredy przebiegały pradawne trakty. Nelson łapie jej spojrzenie.

- A ty masz dzieci? – pyta ją Delilah.
- Nie.

- Boję się, że któregoś dnia ktoś mnie zapyta, ile mam dzieci, a ja odpowiem, że czwórkę zamiast piątkę. Bo wtedy będę już pewna, że ona nie żyje. – Zaczyna płakać, ale bezgłośnie. Łzy spływają jej po policzkach.

Ruth nie wie, co powinna powiedzieć.

- Bardzo mi przykro – wydusza z siebie. Nic innego nie przychodzi jej do głowy.

Delilah nie zwraca na jej słowa uwagi.

- Ona jest taka mała, taka bezbronna. Ma takie drobne rączki, że nadal może nosić bransoletkę, którą dostała na chrzcie. Kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

Ruth przypomina sobie Skierkę. Ona też była mała i bezbronna, a jednak ktoś brutalnie ją zamordował. Pamięta, jaki przeszywał ją wtedy ból, i próbuje sobie wyobrazić, co czuje ktoś zraniony tysiąc razy bardziej od niej.

- Nie mam pojęcia – odpowiada ochryplym głosem. – Jestem jednak pewna, że inspektor Nelson dołoży wszelkich starań, żeby wam pomóc.

- To dobry człowiek – mówi Delilah, pocierając dłonią oczy. – Ma silną aurę i prowadzi go dobry duch.

- Też tak sędzę.

Ruth wyczuwa na sobie wzrok Nelsona. Alan na chwilę milknie. Skręca papierosa, drżą mu ręce. Delilah podaje Ocean ryżowe ciasteczko, które mała rzuca na podłogę.

Do kuchni wpadają z impetem dwaj ciemnowłosi chłopcy. Ku zaskoczeniu Ruth biegną prosto do Nelsona.

- Harry! Przyniosłeś kajdanki?
- Mogę je założyć?
- Teraz moja kolej!

Z poważną miną Nelson wyciąga z kieszeni kajdanki i zapina je wokół nadgarstków jednego z chłopców. Ruth nie jest zachwycona, widząc chude ręce chłopca zakute w kajdanki, ale nie ma wątpliwości, że dzieciakom bardzo się ta zabawa podoba.

- Teraz moja kolej! Dawaj!
- Miałem je tylko przez sekundę. M n i e j niż sekundę.

Ruth wraca do Delilah i ku swojemu zaskoczeniu widzi, że kobieta karmi piersią małą Ocean. Choć Ruth często podpisywała się pod petycjami, które miały zapewnić matkom prawo do karmienia piersią w miejscach publicznych, teraz czuje się bardzo skrepowana. Zwłaszcza że Ocean wydaje się na tyle duża,

by pobiec do sklepu na rogu po paczkę chipsów.

Próbując odwrócić wzrok, Ruth zatrzymuje spojrzenie na korkowej tablicy wiszącej nad kuchennym stołem. Cała pokryta jest kolorowymi karteczkami. Wśród nich dostrzega zaproszenia na przyjęcia, wydarte z gazet okazyjne oferty, dziecięce rysunki i rozmaite fotografie. Na jednym ze zdjęć widać Scarlet trzymającą w objęciach malutką Ocean, a na innym bliźniaków dzierżących piłkarskie trofeum. Po chwili jej wzrok przyciąga jeszcze jedno zdjęcie. Wypłowiła fotka przedstawiająca Delilah i Alana stojących obok wielkiego

megalitu. Zdjęcie pochodzi ze Stonehenge albo z Avebury. Jednak to nie kamień przykuwa jej uwagę, lecz jeszcze jedna uwieczniona na fotografii osoba. Jest wprawdzie w dżinsach i T-shircie, a jej włosy są normalnej długości, lecz nie ma cienia wątpliwości – to Cathbad.

## ROZDZIAŁ 13

– Jest pani pewna, że to był on?

– Absolutnie. Na zdjęciu ma wprawdzie krótkie włosy i jest zwyczajnie ubrany, ale to bez wątpienia Cathbad.

– A to łajdak! Wiedziałem, że coś ukrywa.

– To może być całkiem niewinna sprawa.

– Więc dlaczego o niczym nie wspomniał, kiedy z nim rozmawiałem? Sprawiał takie wrażenie, jakby nigdy nie słyszał o Hendersonach.

Ruth i Nelson siedzą w pubie koło przystani i jedzą późny lunch. Ruth była dosyć zdziwiona, gdy inspektor zaproponował jej wspólny posiłek, zwłaszcza że gdy wychodzili wreszcie z domu Hendersonów, wybiła już trzecia. Ale najwidoczniej żaden właściciel knajpy nie ma odwagi odmówić policjantowi, okazującemu na wejściu legitymację służbową. Pewnie dlatego siedzą teraz razem w prawie pustym barze i obserwują nabrzeże. Przyływ jest wysoki i widoczne za oknami łabędzie suną cicho po wodzie – dziwnie złowieszcze w gasnącym świetle dnia.

Ruth, trochę zażenowana swoim apetytem, pałaszuje obfite danie, które zamówiła. Chleb, ser i marynowane warzywa. Nelson je kielbaski i tłuczone ziemniaki, jak ktoś, kto musi szybko uzupełnić zapasy i komu jest obojętne, co ma na talerzu. Nalega, że sam ureguluje rachunek. Ruth popija colę light – bądź co bądź nie chce być przyłapaną na prowadzeniu samochodu po alkoholu – natomiast Nelson zamawia zwykłą colę, tę z kompletem kalorii.

– Moja żona ciągle nakłania mnie do picia dietetycznych napojów – mówi. – Uważa, że mam nadwagę.

– Naprawdę? – nieco oschłym tonem odpowiada Ruth. Już wcześniej zaobserwowała, że coli light prawie nigdy nie zamawiają ludzie szczupli.

Przez kilka minut Nelson w milczeniu przeżuwa jedzenie, a potem zadaje pytanie:

– Jak pani myśli, kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Trudno powiedzieć. Cathbad ma na nim ciemne włosy, teraz przyprószyła je siwizna.

– Ponad dziesięć lat temu? Zanim go pani pierwszy raz spotkała?

– To możliwe. Dziesięć lat temu miał długie włosy, ale przecież mógł je ściąć. Delilah wygląda na tym zdjęciu bardzo młodo.

– Teraz też ubiera się jak nastolatka.

– Jest bardzo piękna.

Nelson kwituje tę uwagę mruknięciem.

– Ona uważa, że ma pan silną aurę – żartobliwie odzywa się Ruth.

Usta Nelsona układają się w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Bzdury”, lecz zamiast tego mówi:

– A co myśli pani o Alanie? Trochę dziwny jak dla niej, nie sądzi pani? Bo ona taka piękna, no i w ogóle.

Ruth przypomina sobie Alana Hendersona, jego szczerzą twarz o wyostrzonych rysach i świdrujących oczach. On rzeczywiście jest dość specyficzny i nie do końca pasuje do Delilah, która nawet gdy jest przygnębiona, wygląda jak egzotyczny ptak. No, ale przecież mają czwórkę dzieci i sprawiają wrażenie udanego małżeństwa.

– Najstarsza córka, Maddie, nie jest jego – mówi Ruth. – Może poślubiła Alana, bo ktoś ją porzucił.

– Skąd u diabła pani to wie?

– Sama mi o tym powiedziała.

Nelson uśmiecha się.

– Tak właśnie myślałem, że będzie miała ochotę z panią porozmawiać.

– To dlatego chciał pan, żebyśmy wypili z nimi herbatę?

– Ja nie. To oni chcieli.

– A pan się zgodził. Za nas oboje.

Na twarzy Nelsona pojawia się szeroki uśmiech.

– Przepraszam, pomyślałem, że dobrze byłoby nawiązać z nimi jakiś bliższy kontakt. W końcu od samego rana przekopywaliśmy ich ogródek, i to na oczach wszystkich sąsiadów. Pewnie czuli się jak przestępcy. Przyszło mi do głowy, że przyjacielska pogawędka trochę im to zrekompensuje i będzie przez nich mile widziana. A poza tym miałem nadzieję, że Delilah się przed panią otworzy.

– Otworzy? Niby jak?

– Och, nie wiem – odpowiada z najwyraźniej zamierzoną nonszalancją. – Zdziwiłaby się pani, gdyby usłyszała, co może okazać się przydatne w śledztwie.

Ruth zastanawia się, czy Delilah faktycznie mogła powiedzieć coś „przydatnego”. Większość tego, co mówiła, była po prostu niewyobrażalnie smutna.

– To okropne – odzywa się w końcu Ruth. – Widzieć ogrom ich cierpienia i nie móc ani trochę im ulżyć.

Nelson z powagą kiwa głową.

– Rzeczywiście straszne. Właśnie dlatego czasami tak nienawidzę swojej pracy.

– Czułam dojmujący smutek, gdy Delilah mówiła o swojej córeczce w czasie teraźniejszym, bo uzmysłowiłam sobie, że przecież nawet nie wiemy, czy mała żyje.

Nelson znowu kiwa głową.

– To najgorszy koszmar każdego z rodziców. Nie może być gorszego. Gdy ma się dzieci, świat nagle zaczyna przerażać. Każdy kij, kamień, samochód, zwierzę, Chryste! – każdy człowiek, tyle rzeczy wokół, stanowią potencjalne zagrożenie. I nagle uświadamiamy sobie, że zrobilibyśmy wszystko, absolutnie wszystko, żeby dzieciom zapewnić bezpieczeństwo. Jesteśmy zdolni posunąć się do kradzieży, kłamstwa, nawet zabójstwa. Ale czasami nie możemy zrobić nic. I to właśnie jest ten najtrudniejszy moment.

Nelson przestaje na chwilę mówić i wypija łyk coli. Może jest trochę zawstydzony, że powiedział tak wiele. Ruth obserwuje go z narastającym zdumieniem. Myślała, że rozumie, co czuła Delilah po stracie

tak uroczego dziecka jak Scarlet. Ale że Nelson mógł czuć podobnie, gdy myślał o swoich dwóch trudnych do okiełznania, dorastających pannicach, z którymi widziała go w centrum handlowym, wydaje się wprost niewiarygodne. Jednak wyraz jego twarzy i utkwiony w szklance wzrok sprawiają, że jest skłonna mu wierzyć.

Już w domu, gdy bez większego entuzjazmu próbuje przygotować się do swojego pierwszego w nadchodzącym tygodniu wykładu, zaczyna rozmyślać o dzieciach. „A pani ma dzieci?”, zapytała ją Delilah. W podtekście chciała powiedzieć, że nikt, kto ich nie ma, nie zrozumie, co czują rodzice. Nelson rozumiał. Może i był trochę nieokrzesanym policjantem z północy, ale miał dzieci, które dawały mu prawo wstąpienia do tej szczególnej świątyni rodzicielskich uczuć. Był w stanie zrozumieć, na czym polega potęga rodzicielskiej miłości.

Ruth nie dość, że nie ma dzieci, to jeszcze nigdy nie była w ciąży. Teraz liczy lat blisko czterdzieści i myśli, że poniosła wielką stratę, której nie zdąży już odrobić. Cała ta maszynaria, która w niej terkocze i sprawia, że co miesiąc krwawi, ma wzdęcia, humory i pilnie potrzebuje zjeść kawałek czekolady; wszystkie te wewnętrzne przewody, bulgocące kanały i połączenia pozostaną nie wykorzystane. Shona była przynajmniej dwa razy w ciąży. Wprawdzie potem przeszła dwie bolesne aborcje, ale chociaż wie, jak to wszystko działa. A Ruth nawet nie ma pojęcia, czy w ogóle jest zdolna zająć w ciążę. Jeżeli nie, to wszystkie te lata, kiedy zmagła się z antykoncepcją, były czystą stratą czasu. Pamięta, jak kiedyś, gdy kochała się z Peterem, pękł kondom, ale w szale miłosnych uniesień kontynuowali. Pamięta też, że następnego ranka obudziła się z myślą, że może to właśnie się stało. Zaszła w ciążę. I sama ta wizja nappełniła ją taką siłą, że nagle poczuła niewysłowioną ulgę. Wiedzieć, że w środku nosi się tajemnicę. Jak po czymś takim cokolwiek innego może się jeszcze liczyć? No, ale oczywiście były to tylko mrzonki. Nie zaszła wtedy w ciążę i pewnie już nigdy nie zajdzie.

Peter także ma dziecko. On też może czuć to, o czym mówił Nelson. Czy byłby zdolny zabić w obronie syna? Erik ma trójkę dzieci, wszystkie już dorosłe. Pamięta, jak kiedyś jej powiedział, że największym darem, jaki im może ofiarować, jest wolność. Dzieci Erika, rozrzucone po całym świecie – Londyn, Nowy Jork, Tokio. Z pewnością są wolne, ale czy także Erik i Magda czują się od nich uwolnieni? Gdy już raz ma się dziecko, to czy można na powrót stać się taką osobą, jaką było się kiedyś?

Ruth wstaje, żeby zrobić sobie herbatę. Czuje się nieswojo i jest niespokojna. Powiedziała wprawdzie Erikowi, że nie boi się zostać sama w domu, ale teraz nie może przestać myśleć o Skierce i okrutnej śmierci, jaka ją spotkała. Ludzie z epoki żelaza pozostawiali martwe ciała, gdy chcieli przekazać bogom jakieś wieści. Czy człowiek, który zabił Skierkę, też chciał jej w ten sposób coś zakomunikować? Czy ciało zabitego kota również wyznacza jakąś granicę? Nie posuwaj się dalej, bo cię zabiję, tak jak zabiłem Scarlet i Lucy. Przenika ją dreszcz.

Krzemyk przeciska się przez klapkę w drzwiach, Ruth podnosi go i głaszcze. Kocisko cierpliwie znosi jej pieszczoty, chociaż z utęsknieniem wbija wzrok w podłogę. Substytut dziecka, myśli Ruth. No cóż, dobrze, że go ma.

Przerywa pracę i zasiada przed telewizorem. Akurat leci program *Have I Got News For You*, ale dowcip Iana Hislopa i nadzwyczajny intelekt Paula Mertona tym razem jakoś jej nie zachwycają. Nie może przestać myśleć o Hendersonach czekających w domu na powrót dziecka. Przypomina jej się Delilah, która na pewno gorąco pragnie przytulić swoją córkę choćby jeszcze jeden raz. Najchętniej zamknęłaby ją na powrót w swoim łonie, gdzie przynajmniej była bezpieczna.

Gdy dotyka twarzy, uświadamia sobie nagle, że płyną po niej łzy.

*Teraz nocą słyszy jakiś nowy dźwięk. On wciąż się powtarza. Trzy razy słyhać krzyk. Jeden po drugim. Dwa pierwsze dźwięki są bardzo niskie i odbijają się echem. Trzeci krzyk zawsze trwa najdłużej i budzi największy strach. Do innych nocnych dźwięków zdążyła się już przyzwyczać. Do sapania i szelestów. Wiatr mówi własnym głosem. Ryczy, jakby był bardzo zły. Czasami wydaje jej się, że nagle poderwie klapę włazu, wpadnie do środka, a jego zimny wściekły oddech zagarnie ją i uprowadzi. Wyobraża sobie, jak porwya ją wysoko w górę pod same chmury, skąd będzie mogła patrzeć na domy i ludzi. To zabawne, ale dokładnie wie, co wtedy zobaczy. Biały domek, taki kwadratowy, z huśtawką w ogrodzie. Czasami na huśtawce jest dziewczynka, raz frunie w górę, a raz w dół. Gdy leci w górę, zanosi się śmiechem. Kiedy zamyka oczy, wciąż jeszcze widzi ten dom i nie może uwierzyć, że nie poleciała aż w chmury, żeby patrzeć na dziewczynkę, huśtawkę i rzędy kolorowych kwiatków.*

*Kiedyś w oknie zobaczyła czyjąś twarz. Twarz potwora. Szarobiałą z czarnymi paskami po bokach. Zamarła. Bala się, że potwór ją zobaczy i pożre. Ale nie zrobił tego. Obwąchał tylko kraty swoim mokrym nosem, czarnym jak buty, które kiedyś nosiła na specjalne okazje. A potem sobie poszedł. Szyba tak strasznie wtedy dzwoniła. Nigdy więcej go już nie widziała.*

*Ten nowy dźwięk czasami słyhać bardzo blisko. Zwłaszcza gdy nocą jest bardzo ciemno i zimno. Budzi się wtedy i zaczyna drżeć. Ciaśniej owija się kocem. Słyhać go raz, potem drugi i trzeci. Nie wie dlaczego, ale ma wrażenie, że ten głos ją przyzywa. Raz jeden próbuje odpowiedzieć: Jestem tutaj, wypuście mnie! Jej własny głos jest najbardziej przerażający ze wszystkich.*

## ROZDZIAŁ 14

Rano Nelson odnosi ciało Skierki. Staje w progu ze złowieszczo wyglądającym pudełkiem, zupełnie jak komiwojazer, który nie wie, jak zostanie przyjęty.

Ruth spogląda na niego zaspanymi oczami, bo nie zdążyła jeszcze wypić kawy.

- Tak jak obiecałem – wskazuje wzrokiem kartonik.
- Dobrze. Dziękuję. Proszę wejść, zaparzę kawy.
- Świetnie.

Ostrożnie stawia pudełko na podłodze koło sofy. Oboje omijają je wzrokiem. Ruth robi kawę, a Nelson stoi na środku salonu i rozgląda się, marszcząc czoło. Ruth przypomina sobie, jak pierwszy raz ujrzała inspektora na korytarzu i wydał jej się zbyt wielki jak na uniwersytecki gabinet. Tutaj odnosi podobne wrażenie. Ledwo Nelson w swym obszernym płaszczu wszedł do środka, a jej dom od razu zmalał. Erik też jest wysoki, jednak zawsze potrafi się jakoś wpasować w ciasne wnętrza. Nelson wygląda tak, jakby za chwilę miał coś strącić albo zawadzić głową o sufit.

- Dużo tu książek – rzuca, gdy Ruth wraca z kawą i ciasteczkami.



– Tak, uwielbiam czytać.

Nelson chrząka.

– Moja żona należy do klubu czytelnika. Ale one tylko potrafią narzekać na mężów. O książkach, cholera, nawet nie wspomną.

– Skąd pan to wie?

– Słyszę, o czym mówią, gdy się u nas spotykają.

– Może rozmawiają o książkach, gdy ich pan nie słyszy?

Nelson kwituje to lekkim uśmiechem.

– Znaleźliście coś? Chodzi mi o... o... Skierkę? – pyta Ruth.

Nelson bierze spory łyk kawy i kręci głową.

– Wyniki będą najwcześniej jutro. Kazałem również jeszcze raz sprawdzić listy. Chodzi o porównanie odcisków palców i próbek DNA z tymi, które pobraliśmy od notowanych przestępców.

Ruth zastanawia się, skąd takie założenie. Dlaczego Nelson uważa, że sprawcą jest notowany przestępca. Zanim jednak zdąży go o to zapytać, gość odstawia filiżankę i spogląda na zegarek.

– Ma pani łopatę? – pyta, jakby nie chciał tracić czasu.

Ruth nagle opuszcza ochota, by wychodzić do ogrodu i grzebać Skierkę. Wolałaby zostać w domu, pić kawę i udawać, że całe zło nigdy się nie zdarzyło. Wie jednak, że nie można dłużej zwlekać, ubiera więc płaszcz i prowadzi Nelsona do szopy z narzędziami.

Ogródek Ruth to spłachetek ziemi porośnięty targaną wiatrem trawą. Gdy się tu wprowadziła, próbowała coś zasadzić, lecz na próżno – bujnie rozwijały się tylko osty i dzika lawenda. Weekendowicze z sąsiedztwa mają koło domu drewniany

podest, który latem dekorują donicami z terakoty. Jednak o tej porze roku wcale nie wygląda on lepiej niż jej ogródek. Ogród Davida jest jeszcze bardziej zaniedbany, ale za to stoi tam wymyślny karmnik dla ptaków, wyposażony w specjalne urządzenie do odstraszania kotów (Ruth obawia się, że nie działa).

W najodleglejszym zakątku jej ogródka rośnie karłowata jabłonka. Prosi Nelsona, by właśnie tam wykopał dół. Czuje się trochę nieswojo, że ktoś inny wykonuje za nią tę pracę. W dodatku Nelson najwyraźniej nie ma wprawy. Zamiast ugiąć nogi, pochyla się, lecz mimo to kopanie idzie mu sprawnie. Ruth patrzy na zgrabnie uformowany dołek i z przyzwyczajenia sprawdza ułożenie poszczególnych warstw: gleba, glina aluwialna i kreda.

Krzemyk porusza ogonem i obserwuje ich poczynania z jabłoni. Inspektor przekazuje Ruth pudełko. Wydaje się nieznośnie lekkie. Ruth chce zajrzeć do środka, ale wie, że to nie ma sensu. Całuje więc tylko wieko: „Żegnaj, Skierko”, i zagłębia pudełko w ziemi.

Bierze drugą łopatę i pomaga Nelsonowi zasypywać dół. Przez kilka minut w ogrodzie słychać jedynie ich przyspieszone oddechy – wynik przerwania ciężkich grud ziemi. Inspektor ściąga płaszcz i wiesza go na jabłoni. Krzemyk gdzieś znika.

Po skończonej pracy Nelson i Ruth patrzą na siebie. Ona ma wrażenie, że wreszcie rozumie, na czym polega terapeutyczna wartość pogrzebów. Ziemia wraca do ziemi. Pochowała Skierkę, ale kotka na zawsze z nią pozostanie. Będzie częścią ogrodu i częścią jej życia. I wtedy przychodzi jej do głowy fragment listu. „Lucy leży głęboko pod ziemią, ale powstanie z martwych”. Potrząsa głową, jakby chciała się uwolnić od tych słów.

– A obiecana świeczka? – pyta Nelsona.

– Zapalę w niedzielę. I dorzucę dziesiątek *Różańca*.

– Tylko jeden?

– Niech będzie, dwa. I *Chwała Ojcu*.

Wymieniają spojrzenia. Uśmiechają się do siebie. Ruth czuje, że powinna coś powiedzieć, ale uznaje, że zrobi lepiej, zachowując milczenie. Słysząc głosy przelatujących w górze gęsi. Siąpi deszcz.

– Muszę już iść – oznajmia Nelson, lecz nie rusza się z miejsca.

Deszcz miękko osiada jej na włosach. Spogląda na niego. On uśmiecha się, ale jakoś inaczej, delikatniej. Ruth chce coś powiedzieć, ale ciszę zmienacka przerywa czyjś głos, dochodzący jakby z innego świata.

– Ruth! Co ty tam robisz?

To Peter.

Gdy Nelson odjeżdża, tak samo mrukliwy i oficjalny jak zawsze, Ruth szykuje kolejną kawę i siada za stołem, tym razem w towarzystwie Petera.

Nieźle się prezentuje, przychodzi jej na myśl. Skrócił rudawe blond włosy, schudł ponad pięć kilogramów i nawet trochę się opalił, co typowym rudzielcom nieczęsto się zdarza. Efekt jest niemal piorunujący.

– Ładnie wyglądasz – mówi Peter.

– Ale skąd – odpowiada dość obcesowo, świadoma tego, że jest bez makijażu, a jej włosy poskręcały się od deszczu w strączki.

Zapada krótka cisza.

– Możesz powtórzyć, kim jest ten facet? – prosi Peter.

– To długa historia – odpowiada.

Peter potrafi słuchać. Gdy słyszy o śmierci Skierki, widać, że jest przejęty (on rzeczywiście polubił te koty, przypomina sobie Ruth). Okazuje też zainteresowanie grobami z epoki żelaza i groblą rytualną. Ruth opowiada mu nieco o dochodzeniu, ale nie wspomina nic o listach. Peter czytał o zniknięciu Scarlet Henderson, zna jej historię.

– Biedna mała. Okropne przeżycie dla rodziców. Czy policja rzeczywiście uważa, że morderca zabił Skierkę, by dać ci ostrzeżenie?

– Tak przypuszczają.

– Mój Boże, Ruth. Ale jak na razie nic złego cię chyba nie spotkało, co?

Nie odpowiada. Ma wrażenie, że w głosie Petera pobrzmiewa zazdrość, bo pewnie mu się wydaje, że ona wie, jakie jest naprawdę jego życie. Ma ochotę mu wyznać, że w gruncie rzeczy jej życie wcale nie jest aż tak ekscytujące, dużo w nim strachu i samotności. Spogląda na Petera i zastanawia się, na ile chce być z nim szczerą.

Dziwnie czuje się, widząc go ponownie w swoim domu. Mieszkali tu razem przez ponad rok. Ruth kupiła tę chatę kilka lat po odkryciu kręgu, bo Słone Błota niezmiennie ją urzekały swą grozą i ponurą surową urodą. W tamtym czasie mieli już za sobą dwa lata wspólnego życia i planowali nawet kupić ten dom na spółkę. Jednak z trudnych do wyjaśnienia powodów

Ruth wciąż nie mogła się zdecydować i Peter w końcu zrezygnował. Ostatecznie wiejska chata stała się wyłącznie jej własnością, a kiedy Peter się wyprowadził, rana szybko się zablizniła. Na ścianach i w biblioteczkę zrobiło się nieco puściej, ale ogólnie rzecz biorąc – tragedii nie było. Dom i jego właścicielka dobrze się razem czuli.

– Brakowało mi tego miejsca – mówi Peter, wyglądając przez okno.

– Naprawdę?

– Tak, w Londynie w ogóle nie widuje się nieba. A tu jest go pod dostatkiem.

Ruth patrzy na spiżowy bezmiar nad głową i nisko zawieszony chmury pędzące nad mokradłami.

– Nieba całe mnóstwo – przyznaje. – Lecz niewiele więcej.

– Mnie się podoba – ciągnie Peter. – Lubię samotność.

– Ja też.

Peter wpatruje się smutnym wzrokiem w filiżankę kawy.

– Biedny kociak – mówi. – Pamiętam, jak przynieśliśmy go do domu. Był nie większy od gumowej myszki, którą dostał do zabawy.

Ruth nie chce już tego słuchać.

– Daj spokój, chodźmy na spacer. Pokażę ci groblę.

Wiatr przybrał na sile, muszą więc iść ze spuszczoneymi głowami, żeby im nie nawiało piasku do oczu. Ruth z chęcią maszerowała by w milczeniu, ale Peter ma ochotę na pogawędkę. Opowiada jej o pracy, niedawnej wyprawie na narty (to stąd ta opalenizna) i o swojej opinii na temat rządu, który powstał tamtego pamiętnego lata, gdy tu przyjechali. Ani razu nie wspomina o Victorii czy Danielu. Ruth rewanżuje się opowieścią o pracy, rodzinie i szczątkach z epoki żelaza.

– A co na to Erik? – dopytuje się Peter. Idzie szybko i sprawnie radzi sobie z nierównościami terenu.

Ruth prawie biegnie, by móc za nim nadążyć.

– Jest przekonany, że wszystkie te elementy są ze sobą powiązane.

– Oczywiście – Peter naśladuje silny norweski akcent Erika. – Miejsce kultu, oddziaływanie krajobrazu, przejście z życia ku śmierci.

Ruth nie może powstrzymać się od śmiechu.

– No właśnie. Natomiast Phil uważa, że to jedynie zbieg okoliczności i woli polegać na badaniach geofizycznych oraz datowaniu metodą węgla radioaktywnego.

– A co ty o tym sądzisz?

Ruth zastanawia się. Przychodzi jej do głowy, że Erik nigdy nie zadał jej tego pytania.

– Widzę tu pewien związek – wyznaje w końcu. – Ciało z epoki żelaza wyznacza początek bagien, grobla prowadzi niemal dokładnie do kręgu, a ten z kolei wytycza linię, do której sięgają pływy. Nie znam dokładnie przypadku kości ze Spenwell, ale i one wyznaczają zapewne jakąś granicę. Granice mają duże znaczenie. Zauważ, że nawet współcześnie wielką wagę przywiązujemy do podziałów przestrzennych. Mówimy: „Zachowaj dystans”. Ludy prehistoryczne z pewnością wiedziały, na czym to polega.

– Podobnie jak ty – wyrzuca jej Peter, z lekka rozgoryczony.

Ruth kieruje na niego wzrok.

– Nie mówimy o mnie.

– Jesteś tego pewna?

Dotarli do pierwszego wystającego z ziemi dębowego pała. Peter w zamyśleniu dotyka go dłonią.

– Będziecie je wykopywać?

– Erik nie chce tego robić.

– Pamiętam te protesty, które podniosły się, gdy przenosiliśmy krąg. Druidzi przykuwali się do pali, a policja starała się ich odciągnąć.

– No tak. – Ruth także pamięta tamte wydarzenia. Jakby działa się wczoraj. – Z drugiej jednak strony dzięki temu, że krąg został wydobyty z ziemi, nasza wiedza ogromnie się poszerzyła. Ustaliliśmy na

przykład, jakiego rodzaju siekier używano do wyrębu pni. Znaleźliśmy nawet szczątki lin, za pomocą których ciągnięto kłody.

- To były liny skręcone z włókien kapryfolium, prawda?
- Masz dobrą pamięć.
- Pamiętam każdy szczegół tamtego lata.

Widząc, że Peter się jej przygląda, odwraca wzrok. Patrzy na morze, tam gdzie w oddali przełamują się fale i szarą toń pokrywa biel. Zręcznie rzucony kamień odbija się od tafli dwa, trzy razy.

Spogląda na Petera, a ten śmieje się szeroko i opuszcza ręce.

- Zawsze ci to dobrze wychodziło – mówi Ruth.
- Żadna sztuka.

Milkną na moment i patrzą, jak fale przybliżają się do ich stóp. Za każdym razem odczuwa się pokusę, żeby zaczekać chwilę dłużej, i zwykle kończy się to brodzeniem w wodzie, myśli Ruth. I co ciekawe, nie zawsze pada się ofiarą tej najgroźniejszej fali – spienionej i walącej z hukiem o brzeg. Niepozorne falki nadciągające nie wiadomo skąd, które wytracają impet w bezpiecznej, zdawałoby się, odległości, dopadają nas znacznie częściej, pewnie przez zaskoczenie.

- Peter – odzywa się w końcu – dlaczego przyjechałeś?
- Powiedziałem ci, zbierać materiały do książki.

Ruth nie odwraca wzroku. Wiatr unosi tumany piasku. RzUCA w nich deszczem ziarenek. Ruth przeciera oczy i czuje na ustach słony smak. Peter także ociera twarz. Kiedy znowu spogląda na Ruth, ma zaczerwienione oczy.

- Ja i Victoria... rozstaliśmy się. No i chyba... po prostu chciałem wrócić.

Ruth bierze głęboki oddech, co przypomina westchnienie. Myśli sobie, że w pewien sposób tego się właśnie spodziewała.

- To przykre – mówi wreszcie. – Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałeś?
- Nie wiem.

Peter mówi pod wiatr, więc ledwie można go zrozumieć.

- Chyba chciałem, żeby wszystko było znowu tak jak dawniej.

Po paru minutach zawracają w stronę domu.

W połowie drogi łapie ich deszcz. Mocno zacina, niemal prosto w twarz. Ruth nisko opuszcza głowę i nie zauważa, że zbaczają w prawo, na północ. Orientuje się dopiero wtedy, gdy spostrzega przed sobą kryjówkę obserwatorów ptactwa. Nigdy tu nie była, ale pamięta ją z mapy. Domek stoi na kamienistej mierzei, niemal na granicy zasięgu pływów. Chyba tylko najwięksi miłośnicy ptaków zapuszczają się tak daleko na bagna.

- Ruth!

Oślepiąca deszczem podnosi wzrok i spostrzega Davida, który stoi obok chaty, z workiem zawierającym najprawdopodobniej śmieci. Przypomina jej się, jak Nelson nakazywał podwładnemu, by ten pozbierał opakowania walające się w pobliżu innego domku dla miłośników ptaków – wtedy, gdy pierwszy raz się spotkali.

- Jak się miewasz? – pyta Ruth. – Małe sprzątanie?
- Tak jakby – David ma zachmurzoną twarz. – Nigdy się nie nauczą. Wszędzie stoją tabliczki, a oni i tak rzucają śmieci gdzie popadnie.

Ruth wyraża współczucie, a potem przedstawia Petera, który podchodzi do nich i wyciąga dłoń.

- David jest strażnikiem rezerwatu ptaków – mówi Ruth, ale nie wyjaśnia, kim jest Peter.

- To musi być ciekawa praca – stwierdza jej towarzysz.
- O tak – mówi David z nagłym ożywieniem. – To cudowne miejsce dla ptaków, szczególnie zimą.
- Znam je sprzed lat, uczestniczyłem w wykopaliskach – wyjaśnia Peter – i wciąż mam tamte dni w pamięci. Tak tu się człowiek czuje samotnie i spokojnie.

David patrzy zaciekawiony najpierw na Ruth, potem na Petera i mówi:

- Widziałem auto policyjne przed twoim domem, Ruth.
- Zgadza się – wzdycha. – Pomagam im w śledztwie, jako ekspert.
- Ktoś zabił jej kota – wtrąca Peter ku irytacji swojej towarzyszkii. – Policja podejrzewa, że to wiąże się w jakiś sposób ze sprawą.

David wygląda na przejętego.

- Zabili twojego kota? Jak to się stało?

Rzucając Peterowi niemiłe spojrzenie, Ruth wyjaśnia krótko:

- Ktoś podciął mu gardło. Policja uważa, że to może mieć związek ze śledztwem.
- Mój Boże, to okropne!

David wykonuje taki gest, jakby chciał dotknąć jej ręki, ale tego nie robi.

- Rzeczywiście, niesamowicie to przeżyłam. Ja... tak bardzo ją lubiłam.
- No pewnie. Dotrzymywała ci towarzystwa.

David mówi to takim tonem, jakby rozumiał, jakie to ważne – nie być samemu.

- To prawda.

Zapada niezręczna cisza. Przez kilka minut stoją na deszczu, aż w końcu Ruth stwierdza:

- No, pora wracać.
- Masz rację – mówi David, spoglądając kątem oka na horyzont. – Nadchodzi przyływ.
- Kiedyś o mało nie utonąłem na tych bagnach – dodaje Peter gawędziarskim tonem, jakby chciał znowu nawiązać rozmowę. – Morze odcięło mi drogę powrotną.

- Może tak się zdarzyć – odpowiada David. – Jak to mówią, przyływ jest szybszy od galopującego konia.

- No to ruszajmy galopem – wtrąca Ruth. Ma już dosyć ich obu.
- Dziwny gość, dobrze go znasz? – pyta ją Peter, gdy są już w pewnym oddaleniu.
- Niezbyt. Dopiero od niedawna mamy ze sobą jakiś bliższy kontakt. Dlatego... – Ruth patrzy wymownie na Petera – ...wolałabym, żebyś nie zdradzał mi szczegółów mojego życia.

Peter śmieje się.

- Chciałem być tylko miły. Rozumiesz? Nic poza tym.

Ruth ma już w zanadru odpowiedź, gdy nagle rozlega się sygnał telefonu. Przeczuwa, że to Nelson.

Przychodzi esemes. Krótki i zwięzły. „Aresztowałem Malone'a. Jego odciski palców są na listach. HN”.

## ROZDZIAŁ 15

- Musimy coś zrobić – mówi Erik. – Policja potrzebuje podejrzanego, więc próbuje zrobić Cathbada. Nie możemy im na to pozwolić.

- Podobno znaleźli jego odciski palców na listach – stwierdza cicho Ruth.
- Odciski, mówisz! A co za problem sfalszować taki dowód? Myślisz, że to byłoby dla nich za

trudne?

Ruth nie odpowiada, więc Erik wstaje i zdenerwowany krąży po jej pokoju. Są na uniwersytecie. Zaczął się kolejny semestr i Ruth ma za dziesięć minut konsultacje ze studentami. Mimo to Erik, który od pół godziny pomstuje na policję, nie zbiera się do wyjścia.

– A tak w ogóle to co te listy mają wspólnego z całą sprawą? Nawet jeżeli je napisał, wcale nie znaczy, że jest mordercą. Absolutnie nic go nie łączy ze sprawą tej zaginionej dziewczynki. Zupełnie nic.

Ruth przypomina sobie fotografię z kuchni Hendersonów. Jest więc jednak jakaś nić, która łączy Cathbada z rodziną Scarlet, w dodatku całkiem wyraźna. Czy to go czyni mordercą? Odciski palców na listach. Czy one rzeczywiście potwierdzają, że je napisał? A treść? Cathbad zna się na mitologii i archeologii, jego zainteresowanie Słonymi Błotami

jest wręcz fanatyczne. Trzeba przyznać, że wszystko to stawia go w kręgu podejrzanych. Ale jaki miałby motyw? Czy byłby w stanie zabić małą dziewczynkę i kpić sobie w najlepsze z policji, fabrykując poszlaki? A Lucy Downey? Czy ją też miałby zamordować?

– Sama już nie wiem – odpowiada. – W każdym razie nie więcej z tego rozumiem niż ty.

I tu nie jest do końca szczerą. Po otrzymaniu esemesa Ruth zadzwoniła do Nelsona. Miał wyłączony telefon, ale oddzwonił jeszcze tego samego wieczoru. Peter poszedł już do siebie, a ona właśnie zabierała się do pracy.

Nelson mówił podekscytowanym, niemal radosnym głosem.

– Znaleźliśmy jego odciski w bazie danych. Okazuje się, że był już w przeszłości kilkakrotnie zatrzymywany; demonstracje, tego typu sprawy. Dlatego zarządziłem ponowne sprawdzenie jego odcisków. Potwierdzenie dostałem godzinę temu. I mamy ślad łączący go ze Scarlet.

– Przyznaje się do czegoś?

– Nie.

Nelson śmieje się cierpko.

– On twierdzi, że to jakaś zмова, policja się na niego uwzięła i tak dalej. Ale nie może się wyprzeć znajomości z Hendersonami. Tak się składa, że jest ojcem ich najstarszej dziewczynki.

– Co takiego?

– Właśnie tak. Zna Delilah Henderson od czasów szkolnych. On studiował w Manchesterze, ona mieszkała w sąsiedztwie. Byli parą i tak przyszła na świat Madeleine. Najwyraźniej byli ze sobą przez jakiś czas, jednak potem ona odeszła z innym.

– Z Alanem Hendersonem?

– Nie, z kimś innym. Alan to późniejsza historia. W każdym razie porzuciła Malone'a i twierdzi, że od tamtej pory nie utrzymywali kontaktu. Nie wiedziała nawet, że mieszkają blisko siebie.

– Ale on ją musiał widzieć w telewizji, kiedy zaginęła Scarlet.

– Malone nie ma telewizora. Chyba mu szkodzi promieniowanie, powoduje skażenie przestrzeni czy coś w tym rodzaju. Komórki także nie ma, bo też promieniuje. Po prostu czubek.

– Myśli pan, że to choroba psychiczna?

– A gdzie tam. To szczwany lis.

– Na jak długo możecie go zatrzymać?

– Dwadzieścia cztery godziny. Ale zwrócę się z prośbą o przedłużenie.

– A prasa zostanie powiadomiona o sprawie?

– Jeśli tylko się uda, to nie.

Ktoś jednak poinformował media, bo tego samego wieczoru Ruth usłyszała w programie radiowym o



dziewiątej, że „w związku z zaginięciem czteroletniej Scarlet Henderson policja zatrzymała jednego z mieszkańców wioski”. Włączyła telewizor i na ekranie zaraz pojawił się Nelson. Jego twarz, posępna i odpychająca, wypełniała cały ekran.

– Starszy inspektor Harry Nelson, jak dotąd bez sukcesów w śledztwie w sprawie Scarlet Henderson, był dzisiaj nieuchwytny dla dziennikarzy – komentował prezenter.

Jakby na potwierdzenie tych słów Nelson przemknął obok kłębiącego się tłumu reporterów i wpadł prosto na schody

prowadzące do komisariatu. Ruth patrzyła z przejęciem, choć nie przyznałaby się do tego. Czowała coś w rodzaju dumy, że wie, co kryje się za tymi drzwiami – zna ciasny pokoik, w którym Nelson przegląda zebrane dowody, z niecierpliwością woła, by mu podano kawę, i kolejny raz spogląda na uśmiechniętą buzię Scarlet Henderson, której zdjęcie wisi na ścianie.

– Zatrzymany to najprawdopodobniej czterdziestodwuletni Michael Malone, laborant z Uniwersytetu Północnego Norfolku.

Boże, wiedzą nawet, jak się nazywa. Teraz dopiero rozpęta się piekło, myśli Ruth.

I rzeczywiście. Już rano musiała się wylegitymować, wchodząc na teren uczelni. Wpuszczający ją policjant nakazał, by nie szła do skrzydła, gdzie mieści się wydział chemii. Oczywiście podsyciło to tylko jej ciekawość i natychmiast skierowała się w zakazaną stronę, jednak drzwi prowadzące na wydział zostały kompletnie zablokowane, bo stały tam samochody, przyczepy, a nawet przenośna toaleta. Ekipy telewizyjne z kamerami uwijały się wokół, wymachując wielkimi, osłoniętymi gąbką mikrofonami. Każdego, kto zbliżył się do wejścia, witał grad histerycznych pytań. „Zna pani Michaela Malone'a? Proszę o nim coś powiedzieć. Jakim jest...” Ruth rozróżniała akcent francuski, włoski, a może nawet i amerykański. Szybko wycofała się do względnie spokojnego budynku wydziału archeologii.

Erik przybył po godzinie z płonącym wzrokiem i rozwianym włosom.

– Słyszałaś? Słyszałaś?

– Tak.

– I co w tej sprawie zamierzasz zrobić?

– Ja? A co miałabym robić?

– Znasz przecież tego policjanta, tego cholernego neandertalczyka, prawda?

– Znam to za dużo powiedziane...

Erik skupił na niej wzrok.

– Tak mi powiedział Cathbad. Podobno byłaś z tym Nelsonem u niego i zadawaliście mu mnóstwo pytań. Było widać, że coś między wami iskrzyło.

– Bzdury.

Ruth bezwiednie przytacza ulubione słówko Nelsona. Erik zachowuje się tak, jakby jej nie słyszał.

– Nie ma wątpliwości, że ten Nelson robi z Cathbada kozła ofiarnego, a ty mu go, Ruth, podsunęłaś.

Na talerzu.

Słyszając to niesprawiedliwe oskarżenie, Ruth czuje się dotknięta do żywego.

– Nigdy w życiu! To ciebie pytałam, jak on się nazywa, i to ty mi o nim powiedziałaś.

– A ty zaraz sprzedałaś to Nelsonowi.

– I tak by się dowiedział.

– Tak myślisz? Według mnie on jest zupełnie niekompetentny. Nakłonił cię do wydania Cathbada.

Zwyczajnie posłużył się tobą, Ruth.

– A jeżeli Cathbad jest w to rzeczywiście zamieszany? – ze złością odpowiada Ruth. – Nie chcesz,

żeby znaleźli mordercę?

Erik uśmiecha się z politowaniem.

– Ruth, Ruth. On naprawdę cię zauroczył, wiesz? Już nawet myślisz jak policjant.

Rozmowa ta odbyła się przed godziną, ale Ruth i Erik nadal wszystko roztrząsają i nie mogą przestać. Ruth jest wściekła, że Erik uważa ją za naiwną idiotkę, która pozwoliła się wykorzystać cynicznemu gliniarzowi do wrobienia Cathbada w zbrodnię. Ale w głębi ducha czuje się też nieco winna. Bo rzeczywiście podsunęła Nelsonowi myśl o Cathbadzie. Skierowała jego rozumowanie na trop prowadzący do kręgu i wykopalisk, które prowadzono dziesięć lat wcześniej. Jeżeli Cathbad nie ma z tym nic wspólnego, podejrzenia mogą zrujnować mu życie. Może nawet trafić do więzienia za czyny, których nie popełnił. A jeżeli mimo wszystko jest winien?

– Trudno się w tym połapać – mówi po chwili. Erik patrzy na nią chłodno niebieskimi oczami.

– No to spróbuj zrozumieć, Ruthie.

I gdy ona jest przekonana, że gorzej być już nie może, do pokoju wsadza głowę Phil.

– Nie da się was nie podsłuchiwać. Trochę tu głośno. Jak się masz, Eriku?

Wyciąga rękę, a Erik wita się z nim po chwili wahania.

– Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie aresztowali niewinnego człowieka.

– A, chodzi ci pewnie o tego biedaka, laboranta z wydziału chemii. Znasz go?

– Tak. To mój były student.

– Żartujesz? – Phil jest wyraźnie podekscytowany. – Też jest archeologiem?

– Skończył studia doktoranckie w Manchesterze.

– To czemu wylądował tutaj?

Erik wskazuje ręką Ruth, która kuli się za biurkiem, jakby chciała się za nim ukryć.

– Ją zapytaj.

– A co ty masz z tym wspólnego, Ruth?

– Wiesz przecież, że pomagam policji w śledztwie.

– Wiadomo mi tylko o kościach. Proszono cię o ekspertyzę.

Ruth zdaje sobie sprawę, że tak właśnie postrzega ją Phil. Jest specjalistką od kości, czyli od spraw nudnych i mało ważnych, chociaż użytecznych. Nie pcha się na scenę, jak Shona. Zawsze stoi z boku.

– Ruth podała policji nazwisko Cathbada – ze złością oświadcza Erik.

– Cathbada? – Phil zaczyna się gubić.

– Erik zna Michaela Malone'a pod takim właśnie przydomkiem – przejmuje inicjatywę Ruth. – Od dawna są zaprzyjaźnieni.

Phil, całkiem już zbity z tropu, spogląda to na Ruth, to znowu na Erika.

– Naprawdę? – pyta. – Przyjaźnisz się z nim?

– Owszem – syczy Erik. – I zrobię wszystko, by odzyskał dobre imię.

Pędzi do drzwi i wpada na studenta Ruth, uprzejmego Chińczyka o nazwisku Tan, który nie posiada się ze zdumienia, słysząc na wejściu stek norweskich przekleństw.

– Masz gościa, Ruth – mówi Phil. – Zobaczymy się później.

Oby nie, myśli sobie Ruth.

– Proszę wybaczyć – zwraca się do studenta. – Porozmawiajmy o pańskiej dysertacji. Proszę mi przypomnieć, czego dotyczyła.

– Zagadnienia rozpadu – mówi pan Tan.

W drodze do domu Ruth ponownie musi stawić czoło tłumowi reporterów. W wiadomościach nie

podają żadnych nowych szczegółów. „Policja uzyskała zgodę na pozostawienie w areszcie czterdziestodwuletniego Michaela Malone'a z Blakeney na kolejne dwadzieścia cztery godziny”.

Wyłącza radio. Ciągłe odczuwa niepokój w związku z zatrzymaniem Cathbada. W przeciwieństwie do Erika nie uważa, aby Malone był jedynie kozłem ofiarnym, ale nie potrafi też uznać go za mordercę. Mimo to nie jest wykluczone, że to właśnie on jest autorem listów. Erik nawet ich nie czytał. Nie poznał więc ich erudycyjnego, posępnego tonu. „Ona leży tam, gdzie ziemia spotyka się z niebem. Tam gdzie korzenie wielkiego drzewa Yggdrasil dosięgają nowego życia... Stała się idealną ofiarą. Krew na kamieniu. Szkarłat na bieli”.

Przypomina jej się Cathbad w fotelu czarodzieja, z połyskującymi dookoła łapaczami snów. Potrafi go sobie wyobrazić w roli autora listów. Ale żeby uprowadził i zamordował małą dziewczynkę? Jest przecież ojcem przyrodniej siostry Scarlet, więc okrutny postępek wobec małej wydaje się tym bardziej niewyobrażalny. Także wobec Delilah, którą przecież kiedyś kochał.

A sprawa Lucy Downey sprzed lat? Ruth widzi młodego Cathbada w rozwianej, fioletowej opończy, jak wzywa swoich zwolenników, by przeciwstawili się policji oraz ekipie archeologów. Nachodzi ją wspomnienie Cathbada stojącego wewnątrz drewnianego kręgu z uniesionymi rękami oraz morza pieniacego się wokół jego stóp i wszystkich druidów garnących się do swego przywódcy w obawie przed falami. Widząc to przed laty, miała wrażenie, że Cathbad siłą ducha powstrzyma falę, że morze się cofnie, a przecież po chwili i on musiał salwować się ucieczką na wyższy teren i podkasać fioletową szatę. Czy ten właśnie człowiek – imponujący zapaleniec, ale w gruncie rzeczy jakże śmieszny – mógłby stać się mordercą? Zaledwie kilka miesięcy po zamieszeniu przy obronie kręgu uprowadzić i zamordować Lucy Downey?

Gdy Ruth dociera do Słonych Błot, jest już po przyprawie. Ptaki wracają, by szukać pożywienia, a ich białe pióra błyskają w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Widząc to, myśli o Davidzie i o tym, jak zmienił się wyraz jego twarzy, gdy podjął temat ptasich migracji; i o Peterze, który smutno stwierdził, że po prostu pragnął tu wrócić.

Wspomnienia. Petera poznała, gdy nie miała jeszcze trzydziestki. Dostała właśnie pracę na Uniwersytecie Północnego Norfolk, kipiała energią i entuzjazmem. Peter, który prowadził badania historyczne na Uniwersytecie Wschodniej Anglii, dowiedział się pocztą pantoflową o pracach wykopaliskowych. Pewnego dnia przyjechał po prostu z plecakiem i karimatą, by zapytać, czy nie potrzebują dodatkowych rąk do pracy. Droczyli się z nim trochę, że jest mieszcuchem – przecież pochodzi z Wiltshire, na dodatek pięć lat spędził w australijskim buszu. Śmiali się też ze słomkowego kapelusza, którego rondo chroniło przed słońcem jego bledziutką twarz, no i z nieznamości archeologicznej terminologii. Dla niego plejstocen był zawsze „plajtocenem”, a epoka brązu i epoka żelaza

następowały po sobie w dowolnej kolejności. Jednak kręgiem interesował się obsesyjnie, z otwartymi ustami słuchał opowieści Erika na temat ofiar i rytuałów. To on odnalazł pierwszy dębowy pał, który wyłonił się, gdy odpływ morza wypłukał wokół niego piasek. Peter gorączkowo kopał u nasady pala i w trakcie tej pracy zaskoczył go przyływ. Wtedy na ratunek pospieszył mu Erik.

Właśnie tamtego wieczoru uświadomiłam sobie, że go kocham, wspomina Ruth. Zawsze darzyli się sympatią, razem pracowali przy odkrywce i śmieszyły ich te same rzeczy. Magda, żona Erika, wkrótce to zauważyła i tak wszystko organizowała, by jak najczęściej przebywali razem. Któregoś dnia wróżyła jej z ręki i oświadczyła, że w jej życiu niedługo pojawi się wysoki nieznajomy o rudych włosach. Kiedy indziej Ruth skaleczyła się, a Peter pomógł jej przy opatrunku – dotyk jego dłoni przyprawił ją o dreszcze. A gdy

wieczorem siedzieli przy ognisku – tego dnia, kiedy nieomal zatopiła go fala przyływu – spojrzała na Petera i postanowiła: to musi stać się dzisiaj, właśnie dzisiaj. Niewiele brakowało, żeby zginął, więc szkoda trwonić darowany czas. Pamięta uśmiech, który zakwitł wtedy na jej twarzy, bo moment, w którym podjęła tę decyzję, był zarazem podniosły i radosny. W pewnej chwili ich oczy się spotkały. Peter zaproponował spacer i wspólne zbieranie kopru morskiego. Magda zadbała o to, by nikt inny do nich nie dołączył. Poszli razem aż do morza, prowadzeni szumem fal. Szli tak w ciemności, uśmiechając się do siebie, aż trafili prosto w swe objęcia.

A teraz, wchodząc do domu, zastanawia się, czy rzeczywiście chce, aby Peter wrócił do jej życia. Po niedzielnym spacerze dwukrotnie telefonował, ale nie spotkali się ani razu. Mieszka w pobliżu, mogłaby więc w każdej chwili zadzwonić i umówić się na drinka, lecz wie, że tego nie zrobi. Nie ma pewności, co Peter rozumie przez „powrót”. Czy chce wrócić do niej? A jeżeli tak, to czy ona tego chce? Zerwała tę relację i tyle razy wszystko przemyślała, a teraz miałaby zaczynać od nowa? Tylko dlatego ten obecny, nieco zgorzkniały Peter wydaje jej się bardziej atrakcyjny niż tamten nadskakujący chłopak sprzed lat?

W mieszkaniu ponuro tyka zegar, a od strony mokradeł dobiega krzyk mew. Panuje niemal zupełna cisza. Krzemyk, który po śmierci Skierki zrobił się nerwowy, zeskakuje nagle z sofy, czym przyprawia Ruth o palpację serca. Przychodzi jej na myśl, że w tej ciszy czai się jakaś niepokojąca nuta, jakby dom na coś czekał. Kiedy idzie do kuchni, żeby nakarmić Krzemyka, jej kroki dudnią głośno po podłodze. Radio też nie pomaga – odbiór jest tak słaby, że z głośnika dobiegają jedynie trzaski i strzępy słów, jakby ktoś wciskał knebel w usta szamoczącemu się spikerowi. Ruth czuje tak wielki lęk, że wyłącza odbiornik. Zapada cisza – gęsta i ciężka jak nigdy dotąd.

Robi sobie herbatę i zasiada przed komputerem, aby trochę popracować. Ale cisza wciąż ją osacza i napęnia lękiem. Obraca się na krześle. Krzemyk wrócił wprawdzie na sofę, ale nie śpi. Jest czujny, uważny. Spogląda na okno za jej plecami i zapadający zmierzch. Czy dzieje się coś niepokojącego? Zebrawszy się na odwagę, podchodzi do drzwi i gwałtownie je otwiera. Nic. Tylko ptaki zataczają kręgi, lecąc w głąb łąd. Z oddali dobiega szum. Nadciąga przyływu.

Zatrząskuje drzwi i po chwili namysłu zakłada łańcuch. Zaciąga kotarę i wraca do pracy.

Jej myśli jednak krążą ciągle wokół listów. Pamięć odtwarza wciąż te same zdania. „Szukasz Lucy, lecz nie tam, gdzie powinieneś... Szukaj tam, gdzie jest ziemia. Patrz, któredybiegną kursusy i groble”.

Przeciera oczy. Krzemyk wskakuje na stół i wsuwa głowę pod jej dłoń. Bezwiednie głaszcze jego futro. Wie, że czegoś w tej układance brakuje. Zupełnie jakby miała przed sobą skorupy naczyń, kawałki krzemienia i próbki ziemi, ale nie umiała wyciągnąć odpowiednich wniosków i wszystkiego scalić. Jak to powiedział Erik? „Najważniejszy jest kierunek”.

Sięga po mapę Północnego Norfolku. Kreśli linię od Spenwell, gdzie odkryto kości w ogrodzie Hendersonów, do miejsca, w którym na skraju Słonych Błot znaleziono szczątki z epoki żelaza. Na chwilę zapiera jej dech. Kreska, która przecina Spenwell i prowadzi drogą szybkiego ruchu, tworzy niemal linię prostą. Czując ciarki przebiegające po plecach, Ruth ciągnie linię dalej, wzdłuż grobli. Jej koniec niczym strzałka wskazuje na wnętrze kręgu, na świętą ziemię – tak jak się tego spodziewała.

Spogląda na swoje notatki. Pod hasłem „kursusy” zapisała: „Wyglądają jak strzałki wskazujące na święte miejsca. Najdłuższy kursus w Wielkiej Brytanii ma 10 km. Pokazują, gdzie należy szukać”.

Nadal ma wrażenie, że dom czeka w napięciu na coś, co ma się za chwilę zdarzyć. Na zewnątrz jest już zupełnie ciemno i nawet ptaki umilkły. Drżącą ręką sięga po telefon.

– Nelson? Chyba wiem, gdzie pochowali Scarlet.

## ROZDZIAŁ 16

Czekają na odpływ i wyruszają z nastaniem świtu. Kiedy wracają samochodem z ciałem Scarlet ukrytym w zapiętym na zamek policyjnym worku, Ruth wysiada przed domem. Nelson został na parkingu, przy którym kiedyś znaleźli kości. Czekają tam na policjantkę, z którą pojedzie do rodziców dziewczynki, by powiedzieć im o odnalezieniu zwłok. Ruth nie przyłączy się do nich. Wie, że to jawne tchórzostwo, ale na razie wolałaby utopić się w morzu, niż spojrzeć w twarz Delilah Henderson. Nelson ma pewnie takie same odczucia, lecz nie może się uchylić od obowiązku. Na terenie kręgu nie odezwał się słowem ani do Ruth, ani do członków ekipy dochodzeniowej, którzy przybyli na miejsce zbrodni odziani w białe kombinezony. Stał z boku i wyglądał tak ponuro, że nikt do niego nie podchodził.

W drodze powrotnej Ruth prosi kierowcę, by się zatrzymał, bo źle się czuje. Nudności powracają, gdy jest już w domu i słucha wiadomości. „Ekipa policyjna poszukująca czteroletniej Scarlet Henderson odnalazła ciało. Prawdopodobnie są to zwłoki zaginionego dziecka. Policja na razie nie potwierdza tej wiadomości...” Zaginione dziecko. Czyż te słowa mogą oddać grozę, jaką budzi widok drobnej rączki ozdobionej srebrną

bransoletką? Mała dziewczynka odebrana tym, którzy ją kochali: zamordowana, pochowana, zatopiona przez morze. Kiedy zabójca ją tam zakopał? Nocą? A gdyby Ruth sama udała się na poszukiwanie, to czy błędne ogniki doprowadziłyby ją do zabitego dziecka?

Dzwoni do Phila, by go poinformować, że nie przyjdzie do pracy. Jest poruszony, ale mimo to nie zapomina powiedzieć, jak bardzo mu przykro na myśl o rodzicach Scarlet: „Biedni ludzie, aż strach pomyśleć, co czują”. A Ruth cały dzień myśli właśnie tylko o tej tragedii. Dziesięć minut później telefonuje Peter. Czy chce, żeby do niej przyszedł? Odpowiada, że nie, nic jej nie jest. Nie chce widzieć Petera. Woli się z nikim nie spotykać.

Jednak koło południa w Słonych Błotach aż roi się od ludzi. Znowu pada, mimo to wszędzie widać sylwetki osób przeszukujących piaszczystą okolicę, a w oddali, na morzu, błyszczą światła policyjnych motorówek. Nadciąga kolejna chmara dziennikarzy, skrzeczących jak stado żerujących ptaków. Ruth dostrzega Davida, który stoi przed domem i z pochmurnym obliczem lustruje teren przez lornetkę. Pewnie wzdryga się na myśl o tej inwazji. Przestraszone ptaki odfrunęły, a niebo przykryły ciemne, nisko zwisające chmury. Na szczęście Sammy i Ed wrócili do Londynu, więc Ruth nie musi przejmować się ich wścibstwem. Zaciąga zasłony. Dzięki Bogu dziennikarze nie zwietrzyli jeszcze, gdzie mieszka.

Dzwoni Erik. Mówi pojednawczo, jest wyraźnie poruszony. Ruth wolałaby odegnąć myśl, że los Scarlet obchodzi go nie bardziej niż to, co stanie się ze stanowiskiem archeologicznym.

Ekipa policyjna zawzięcie kopie w samym środku kręgu. W przekonaniu Erika, podobnie jak i Davida, teren ten będzie już na zawsze zbrukany obecnością policjantów. Erik nie mówi jednak tego wprost i po kilku ogólnikowych zdaniach rozłącza się.

Mimo wszystko Ruth nadal jest wstrząśnięta, gdy włącza telewizor i widzi na ekranie poszarzałe w deszczu Słone Błota. „To w tym odludnym miejscu – ciągnie spiker – policja dokonała dziś o świecie dramatycznego odkrycia...” Ani słowa o niej. Dzięki ci, Boże.

Znowu dzwoni telefon. Tym razem to matka. Jeszcze tego brakowało.

- Ruth! Włącz telewizor. Ciągłe pokazują tę straszną okolicę, w której mieszkasz.
- Wiem, mamo.
- Znaleźli ją, biedną kruszynę. Nasza grupa biblijna co wieczór się za nią modli.



- Wiem.
- Tata mówi, że widział na którymś z kanałów twój dom.
- Możliwe.
- Czy to nie jest straszne? Tata mówi, żebyś dobrze pozamykała drzwi i okna.
- Nie zapomnę.
- Biedna dziecinka. Takie śliczne dziecko. Widziałas w wiadomościach jej zdjęcie?

Czy powinna wyznać matce, że to ona znalazła zwłoki dziewczynki? Że widziała dziecięcą rączkę, którą bagno w cudowny sposób uchroniło przed rozkładem, a na niej małą srebrną bransoletkę ozdobioną splecionymi serduszkami? Dodać,

że podobną widziała na ręce Delilah, gdy gawędziły sobie razem w kuchni? Czy powinna powiedzieć, że obserwowała, jak wydobywali ciało, jak mała rączka zwiślała bezwładnie w powietrzu, a potem poruszała się w takt cudzych kroków, jakby w geście pożegnania? Wyznać, że w pewnym sensie zna mordercę, chociaż na razie nie potrafi podać jego imienia? I czy wreszcie powinna powiedzieć o ulubionym kocie, porzuconym w kałuży krwi na progu jej domu? Że może ktoś chciał ją zastraszyć lub dać ostrzeżenie?

Nie, zachowa to wszystko dla siebie. Obiecuje tylko, że zamknie drzwi na klucz i zadzwoni nazajutrz. Czuje się zbyt zmęczona, by zareagować, gdy matka wyraża nadzieję, że dziecko zostało ochrzczone i pójdzie prosto do nieba.

„Kto by chciał się znaleźć w niebie z wszystkimi tymi, pozał się Boże, chrześcijanami?”, mawia zwykle przy takich okazjach Ruth. Przychodzą jej na myśl rodzice dziewczynki. Czy oni mają nadzieję, że zobaczą jeszcze Scarlet, że się z nią spotkają w lepszym świecie? Oby. Życzy im tego z głębi serca.

Nadal pada, co skłania dziennikarzy do odwrotu. Wolno maszerują teraz po New Road, nawet ich komórki milczą. Od rana nie miała niczego w ustach, a teraz nalewa sobie kieliszek wina i włącza radio. „Co śmierć Scarlet Henderson mówi o naszym społeczeństwie...” Wyłącza odbiornik. Nie chce słuchać ludzi, którzy nigdy nie widzieli Scarlet, a teraz opowiadają, czego nauczyła ich jej śmierć, albo że dzieci nie mogą się już bezpiecznie bawić w ogródku i w ogóle nastąpił upadek moralności. Scarlet została uprowadzona, gdy najspokojniej w

świecie bawiła się ze swoimi braćmi bliźniakami koło domu, na prowizorycznej drabince do ćwiczenia wspinaczki. Żaden z chłopców niczego nie spostrzegł. Była z nimi i nagle gdzieś przepadła. Delilah, zajęta opieką nad rozkapryszoną Ocean, nawet nie zauważyła zniknięcia jej siostry. Zorientowała się dopiero trzy godziny później, gdy postanowiła zawołać małą na podwieczorek. Patolodzy będą musieli stwierdzić, kiedy dokładnie nastąpił zgon. Ruth ma nadzieję, że niedługo po porwaniu, gdy mała była jeszcze pełna wrażeń po zabawie z braćmi, zanim w ogóle zdała sobie sprawę z tego, że dzieje się coś złego. Zapadł już zmrok. Nalewa sobie kolejny kieliszek wina. Dzwoni telefon. Podnosi słuchawkę. Peter? Erik? Może matka?

- Doktor Ruth Galloway? – pyta nieznajomy głos, lekko zdyszany.
- Tak.
- Jestem z „The Chronicle”.

To tytuł lokalnej gazety.

- Dowiedziałem się, że brała pani udział w odkryciu zwłok Scarlet Henderson.
- Nie mam nic do powiedzenia.

Rzuca słuchawkę i nie może opanować drżenia rąk. Natychmiast rozlega się kolejny dzwonek, więc zdejmuje słuchawkę z widełek.

Krzemyk wpada nagle do domu wejściem dla kotów, przez co Ruth zrywa się na równe nogi. Daje mu



jeść i chce go wziąć na kolana, ale kociak drży, skrada się po pokoju z nisko opuszczoną głową i nerwowo porusza wąsami.

Wybija dziewiąta. Ruth jest na nogach od czwartej rano i czuje się wyczerpana, a zarazem zbyt podekscytowana, by pójść spać. Nie może się też skupić na czytaniu ani na oglądaniu telewizji. Siedzi tylko w ciemności, obserwuje krążącego po pokoju Krzemyka i słucha, jak deszcz bębni o szyby.

O dziesiątej rozlega się głośnie stukanie i kot czmycha na piętro. Choć wydaje jej się to irracjonalne, Ruth cała dygocze. Zapala światło i rusza do drzwi. Mimo że rozsądek podpowiada jej, że to musi być Peter, Erik albo Shona (która o dziwo jeszcze nie zadzwoniła), to drugi głos, od którego przez cały dzień nie może się uwolnić, szepcze, że za drzwiami czai się coś strasznego. Coś, co podniosło się z piasku i błota. „Piaski nigdy nic nie oddają”.

– Kto tam? – woła, próbując panować nad głosem.

– To ja, Nelson – pada odpowiedź.

Ruth otwiera drzwi.

Policjant wygląda okropnie – jest nieogolony, ma zaczerwienione oczy i przemoknięte ubranie. Bez słowa wchodzi do salonu i sadowi się na sofie. Jego najście wydaje się jednak całkowicie uzasadnione.

– Napije się pan czegoś? – pyta go. – Herbaty? Kawy? Może wina?

– Poproszę kawy.

Gdy wraca z kubkiem, Nelson siedzi pochylony do przodu, z głową wspartą na rękach. W jego gęstych, ciemnych włosach widać srebrne nitki. Czyżby posiwał w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

Stawia przed nim kawę.

– Było okropnie? – pyta nieśmiało.

Nelson wydaje tylko jęk i pociera twarz dłońmi.

– Koszmarnie – odzywa się wreszcie. – Delilah wyglądała tak, jakby uszło z niej życie. Upadła tam, gdzie stała, potem zwinęła się w kłębek, płakała i wołała bez przerwy swoją Scarlet. Nie trafiały do niej żadne słowa. No bo co można było powiedzieć? Mąż próbował ją objąć, jednak mu nie pozwoliła. Judy, moja asystentka, bardzo się starała, ale i ona niewiele mogła zdziałać. Jezu. Już wcześniej miałem okazję przekazywać tragiczne wieści, choć tego doświadczenia nie da się z niczym porównać. W piekle nie byłoby gorzej.

Znów milknie na kilka chwil, marszczy brwi i pociąga z kubka kilka łyków. Ruth kładzie dłoń na jego ramieniu i również się nie odzywa, bo co można w takiej sytuacji powiedzieć?

W końcu Nelson mówi:

– Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy z tego, jak mocno wierzyła w szczęśliwy powrót Scarlet. My wszyscy... po tych dwóch miesiącach... pewnie już się pogodziliśmy z myślą o śmierci małej. W wypadku Lucy też tak było, nadzieja stopniowo znikwała. Ale Delilah, naiwna, ciągle jeszcze wierzyła w to, że któregoś dnia jej córeczka wróci. „Ona nie umarła, ona nie umarła”, powtarzała bez końca. Wtedy musiałem jej powiedzieć wprost: „widziałem ją”, a potem, Chryste, nie zostało mi nic innego, jak poprosić ich o dokonanie identyfikacji zwłok.

– Poszli oboje?

– Chciałem, żeby Alan pojechał sam, ale Delilah uparła się, że ona też musi. Chyba do chwili, gdy ujrzała ciało córeczki, miała jeszcze nadzieję, że to nie Scarlet. A kiedy ją zobaczyła, zasłabła. To właśnie wtedy osunęła się na ziemię.

– Czy wiecie już, od kiedy... mała nie żyje?

– Nie. Trzeba poczekać na protokół z sekcji zwłok. – Nelson wzdycha i pociera oczy. – Wyglądała tak, jakby umarła zupełnie niedawno – nieoczekiwanie przybiera swój zwykły służbowy ton.

– To z powodu torfu. Jest naturalnym środkiem konserwującym – mówi Ruth.

Na pewien czas znów pogrążają się w zadumie. Ruth rozmyśla o bagnach, które przechowały drewniany krąg, a teraz stanęły na straży kolejnej tajemnicy. Czy gdyby jej nie znaleźli, Scarlet pozostałaby tam na setki, tysiące lat, podobnie jak szczątki ludzi z epoki żelaza? Czy wydobyliby ją kiedyś zdumieni archeolodzy, dla których stałaby się ciekawostką, obiektem naukowych spekulacji, zaś kulisy tego dramatu na zawsze zniknęłyby w pomrokach dziejów?

– Dostałem kolejny list – przerywa ciszę Nelson.

– Co takiego?

Inspektor wyjmując z kieszeni pomięty kawałek papieru.

– To kopia. Oryginał poddawany jest badaniom – wyjaśnia.

Ruth nachyla się i czyta:

Nelson,

szukasz, ale nie znajdujesz. Trafiasz na kości zamiast ciał. Wszelkie ciało to jakby trawa. Wiesz o tym z poprzednich

listów. Męczą mnie Twoja nieporadność i ślepotą. Mam Ci wysłać mapę? Wytyczyć drogę do Lucy i Scarlet? Im bliżej kości, tym lepsze mięso. Nie zapominaj o kościach.

Ze smutkiem.

Ruth spogląda na Nelsona.

– Kiedy to przyszło?

– Dzisiaj. Wysłane pocztą.

– Czyli wtedy, kiedy Cathbad był już pod kluczem?

– Tak – Nelson podnosi wzrok. – Nie znaczy to jednak, że nie mógł wszystkiego zorganizować.

– Myśli pan, że to on?

– Niewykluczone. Ale ten list równie dobrze mógł przysłać ktoś inny.

– Stylem się nie różni – stwierdza Ruth, oglądając zadrukowaną kartkę. – Jest nawiązanie do Biblii, ten sam ton, odniesienie do wzroku. Autor zaznacza, że pisze po raz kolejny: Wiesz o tym z poprzednich listów.

– Tak, też to zauważyłem. Jakby ktoś dokładał starań, żeby ten list upodobnić do poprzednich.

Ruth wraca do zdania: „Wytyczyć drogę do Lucy i Scarlet”. Przypomina sobie, jak poprzedniego wieczoru wytyczała na mapie linię od Spenwell do miejsca pochówku w Słonych Błotach i dalej – do kręgu. Przechodzi ją dreszcz. Mogłoby się wydawać, że autor listu stał przy niej i patrzył, jak kreśli linię prowadzącą do Scarlet. I do kości. „Pamiętaj o kościach”. W liście jest o nich sporo. A przecież kości są jej specjalnością. Czy autor kieruje te słowa do niej?

– Im bliżej kości, tym lepsze mięso – czyta na głos. – Brzmi strasznie, kojarzy się z kanibalizmem.

– To takie przysłowie – wtrąca Nelson. – Sprawdziłem.

– Nadal myśli pan, że to robota Cathbada?

Nelson wzdycha, przeczesuje palcami włosy, które sterczą w nieładzie.

– Nie wiem, w każdym razie nie mam wystarczających dowodów, żeby go oskarżyć. Ani śladów DNA, ani motywu, ani zeznań. Dokładnie przetrząsnęliśmy jego przyczepę, i nic. Potrzymam go, aż

dostanę protokół z sekcji zwłok. Jeżeli na ciele Scarlet znajdę jego DNA, jest skończony.

Ruth spogląda na Nelsona. Może przez potargane włosy i ogólne wrażenie zaniedbania wydaje jej się młodszy i jakiś taki... kruchy.

– Ale nie jest pan przekonany, że on to zrobił?

Nelson spogląda na nią.

– Nie jestem.

– To w takim razie kto?

– Nie mam pojęcia. – Nelson znów ciężko wzdycha. Jego głos przywodzi na myśl jęk. – Na tym właśnie polega problem. Długie godziny śledztwa, zaangażowanie znacznych sił policyjnych, tyle poszukiwań, przesłuchań, a ja ciągle nie mam najmniejszego pojęcia, kto zabił te dziewczynki. Nic dziwnego, że media żądają mojej głowy.

– Dziś wieczorem dzwoniли do mnie z „The Chronicle”.

– Sukinsyny! Skąd się dowiedzieli? Dołożyłem wszelkich starań, żeby pani nazwisko nie pojawiała się w kontekście śledztwa.

– No cóż, kiedyś musiało to nastąpić.

Tylko kto im pomógł, zastanawia się Ruth. Erik? Shona? Peter?

– Będą teraz zatruwać pani życie – ostrzega Nelson. – Mogłaby się pani gdzieś przenieść na kilka dni?

– Do Shony, mojej przyjaciółki.

Już mówiąc te słowa, Ruth zaczyna się bać długich wieczornych rozmów z Shoną, która będzie próbowała wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji. Jedyne wyjście to przesiadywać w pracy do późna.

– Dobrze. Ja wysłałem żonę i dzieciaki do mojej mamy. Do czasu, aż minie najgorszy okres.

– A kiedy to będzie?

– Nie wiem.

Nelson spogląda na nią, a z jego ciemnych oczu wзира głęboki smutek. Na zewnątrz słychać deszcz i wiatr, ale wydaje się, że są gdzieś daleko, a pokój – ta niewielka wypełniona światłem przestrzeń – jest wszystkim, co istnieje, że poza nim nie ma już nic.

Nelson wciąż patrzy na nią.

– Nie chcę wracać do domu – mówi wreszcie.

Ruth wyciąga rękę i kładzie mu na dłoni.

– Nie musisz – mówi.

Ruth budzi się z powodu panującej ciszy. Wiatr i deszcz ustały, zapanował spokój. Ma wrażenie, że słyszy pohukiwanie sowy, a z bardzo daleka dobiegają ciche westchnienia fal.

Na niebie świeci jasny księżyc. Przez rozchylone zasłony wydobywa z mroku zmiętą pościel, porozrzucane części garderoby i postać śpiącego Nelsona, który ciężko oddycha, z ręką na piersiach Ruth. Kobieta delikatnie odsuwa jego ramię i wstaje, by włożyć piżamę. Nie może uwierzyć, że położyła się do łóżka nago. Wydaje jej się to nawet bardziej nieprawdopodobne niż sam fakt, że spała z Nelsonem, położyła dłoń na jego dłoni i dotknęła ustami jego warg. Pamięta krótkie wahanie Harry'ego, jego głęboki oddech i to, jak ją ku sobie przyciągnął. Przywarli do siebie w namiętym pocałunku, wciąż nienasyceń, przy akompaniamencie bębniącego w szyby deszczu. Nadal pamięta szorstkość jego skóry, zdumiewającą miękkość warg i bliskość ciała.

Jak mogło do tego dojść? Przecież prawie go nie zna. Jeszcze dwa miesiące temu miała go za

typowego gburowatego policjanta. Wie jednak ponad wszelką wątpliwość, że ostatnio połączyła ich szczególna więź. Widzieli razem, jak wydobyto z piasku ciało Scarlet. Uczestniczyli w cierpieniu jej najbliższych. Wcześniej analizowali wspólnie listy. Czuli obecność zła czającego się w ciemności. Myśleli o Lucy Downey, obawiali się, że wkrótce odnajdą także jej zwłoki. Dlatego w tamtej chwili, przygniecenemu ciężarem tych doświadczeń, zapragnęli ukoić ból duszy zespoleniem ciał. Może to już się nigdy nie powtórzy, ale ubiegłej nocy... ubiegłej nocy nie mogli postąpić inaczej.

Mimo wszystko, myśli Ruth, zakładając najlepszą piżamę (nie pokaże mu się przecież w tej szarej, z nogawkami obejmującymi stopy), lepiej będzie, jak Nelson szybko stąd wyjdzie. Prasa już o niej wie. A ostatnią rzeczą, jaka powinna dotrzeć do mediów, jest to, że oficer śledczy prowadzący sprawę Scarlet Henderson wylądował w łóżku z panią ekspert od kości. Spogląda z góry na Nelsona. We śnie wydaje się znacznie młodszy, niż jest w rzeczywistości. Jej uwagę przyciągają ciemne rzęsy i surowe usta, które teraz zyskały łagodny wyraz. Ruth drży, lecz nie z powodu zimna.

- Nelson? – potrząsa nim. Mężczyzna natychmiast się budzi.
- Co się stało?
- Będzie lepiej, jak już pójdziesz.

Słychać jęknięcie.

- Która godzina?
- Prawie czwarta.

Przez moment patrzy takim wzrokiem, jakby się zastanawiał, z kim ma do czynienia, ale potem jego twarz rozjaśnia uśmiech. Zaskakująco miły, widziała u niego taki może ze dwa razy.

- Dzień dobry, doktor Galloway.
- Dzień dobry, inspektorze Nelson – odpowiada. – Lepiej się zacznij ubierać.

Gdy Nelson sięga po rzeczy, Ruth zauważa tatuaż na jego ramieniu, niebieski napis dookoła tarczy lub czegoś, co ją przypomina.

- Co to za tatuaż?
- Morscy. Tak kibice nazywają moją ulubioną drużynę, Blackpool. Dałem go sobie zrobić, gdy miałem szesnaście lat. Michelle strasznie się nie podoba.

No i proszę. Przywołał jej imię. Michelle, idealna żona, wciąż obecna w tle ich rozmowy zeszłego wieczoru, teraz się zmaterializowała. Jakby nagle weszła do pokoju. Zajęty wkładaniem spodni Nelson chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobił. Może ciągle mu się to zdarza, zastanawia się Ruth.

W ubraniu wydaje się kimś innym. Policjantem, obcym człowiekiem. Nelson podchodzi do niej, siada na skraju łóżka i bierze ją za rękę.

- Dziękuję – mówi.
- Za co?
- Za to, że jesteś.
- Ja tylko spełniam obywatelski obowiązek.

Harry uśmiecha się szeroko.

- Należy ci się medal.

Ruth obserwuje, jak Nelson wyciąga spod łóżka telefon komórkowy. Ma poczucie, jakby przestała uczestniczyć w tej scenie, jakby wszystko rozgrywało się na ekranie. Ale nie ogląda przecież tego rodzaju filmów. Woli dokumentalne.

- Przeprowadzisz się do przyjaciółki? – pyta inspektor, nakładając kurtkę.
- Tak. Myślę, że tak.
- No to będziemy w kontakcie. Jakby cię te pismaki zaczęły napastować, daj mi znać.
- Dobrze.

W drzwiach odwraca się jeszcze i posyła uśmiech.

- Do widzenia, doktor Galloway.

Wychodzi.

## ROZDZIAŁ 17

Ruth nie może zasnąć, wstaje więc i bierze prysznic. Patrząc, jak woda spływa po jej ciele, myśli o Nelsonie i zastanawia się, czy ta kąpiel nie jest próbą symbolicznego obmycia się, usunięcia śladów jego dotyku, zapachu, obecności. Takiego oczyszczenia z pewnością oczekiwaliby od niej rodzice. Przyjęcia chrztu, ponownych narodzin. Przychodzi jej do głowy zwrot zapamiętany z dzieciństwa, z czasów, gdy chodziła do kościoła: obmyć się we krwi Baranka. Dostaje gęsiej skórki. Teraz słowa te aż nazbyt kojarzą jej się z listami wysyłanymi do Nelsona. Zastanawia się nad ostatnim, w którym mowa jest o kościach i ciele. Czy ten fragment był przeznaczony dla niej?

Wyciera się energicznie i przechodzi do sypialni. Zdejmuje pościel (dalszy ciąg symbolicznego oczyszczenia?), a potem szybko zakłada spodnie i polar. Następnie wyciąga torbę i zaczyna pakować ubrania. Zastosuje się do rady Nelsona i na kilka dni przeniesie się do Shony. Zadzwoi do niej z uniwersytetu.

Gdy pakuje pocziwą, choć niezbyt piękną szarą piżamę, myśli o Harrym. Czy przespał się z nią tylko po to, żeby wyrzucić z pamięci koszmar, w którym musiał uczestniczyć – odkopywanie zwłok Scarlet? Niemożliwe, żeby Ruth wpadła

mu w oko. Przecież w domu czeka na niego seksowna żona o blond włosach, idealna kandydatka na miss. A on? Czy naprawdę jej się podoba? Prawdę mówiąc, tak. Gdy tylko zobaczyła go na korytarzu uczelni, uznała, że jest atrakcyjny. Może dlatego, że z trudem wpasowywał się w otoczenie, jakby się w nim nie mieścił. Stanowił przeciwieństwo uniwersyteckich mydlaków w rodzaju Phila i Petera, a nawet Erika. Nelson nie umiałby godzinami przesiadywać nad zakurzonymi książkami. Jego żywiołem jest działanie. Ekscytują go bagna, przesłuchiwanie świadków, ryzykowna jazda samochodem. A sypianie z obcymi kobietami? No cóż, może także to. Coś jej mówi, że epizod z minionej nocy nie był pierwszym przypadkiem niewierności wobec żony. W jego porannym zachowaniu dostrzec można było ślad rutyny – ubrał się szybko i nawet nie zapytał, czy jeszcze kiedyś się spotkają. Ale w łóżku był delikatny, niemal nieśmiały i zadziwiająco czuły. Zapamiętała, jak głęboko oddychał, gdy pierwszy raz dotknęła jego ust, jak szeptał jej imię, całował ją, najpierw delikatnie, potem mocniej, niemal gwałtownie, przywierając do niej całym ciałem.

Przestań o tym myśleć, nakazuje samej sobie, taszcząc torbę po schodach. Było, minęło. Drugiego razu nie będzie. Bo niby jak? Przecież on jest żonaty, a poza tym prawie nic ich nie łączy. Tylko szczególny zbieg okoliczności, który sprawił, że przez chwilę chcieli być razem. Teraz wrócą do swoich ról – policjanta i biegłej, do kontaktów służbowych.

Krzemyk mruczy, płacząc się wokół jej kostek, a ona myśli, co z nim począć. Przecież nie zabierze go do Shony. Taka

zmiana byłaby dla niego okropna, zwłaszcza że niedawno odeszła Skierka. Najlepiej będzie poprosić Davida, żeby przychodził go karmić. Co prawda kiedyś się jej zwierzył, że nie lubi kotów, bo zabijają ptaki, ale przecież chodzi tylko o kilka dni. Tym bardziej że po wyjeździe weekendowiczów jest jedyną osobą, którą może prosić o pomoc.

Dopiero szósta. Robi sobie kawę i grzanekę (pierwszy posiłek od dwunastu godzin; jeśli tak dalej pójdzie, to ani się spostrzeże, a będzie mogła nosić czterdziestkę), a potem siada przy oknie, by obserwować wschód słońca. Niebo jest ciągle czarne, ale na horyzoncie pojawia się nieśmiała złota kreska – świta. Nastąpił odpływ i nad bagnami ściela się poranna mgła. Wczoraj o tej porze ruszali z Nelsonem przez mokradła.

O siódmej idzie do Davida. Jest przekonana, że sąsiad wstaje o świcie, by podziwiać poranne trele. Jest już jasno, zapowiada się pogodny, rześki dzień. Niebo jest czyste, jakby splukane wczorajszym deszczem. Dzisiaj nic nie odstraszy dziennikarzy. Nelson ma rację, trzeba się ewakuować.

David długo nie otwiera, ale gdy wreszcie uchyla drzwi, jest już na szczęście kompletnie ubrany. Ma na sobie nieprzemakalny strój i wygląda, jakby właśnie skądś wrócił.

– Przepraszam za tak wczesne najście – mówi Ruth – ale muszę wyjechać na kilka dni. Czy mógłbyś w tym czasie karmić Krzemyka?

David wygląda na zaskoczonego.

– Krzemyka? – powtarza.

– Tak, mojego kota. Zgodziłbyś się zaglądać do mnie przez kilka dni i dawać mu jedzenie? Byłabym naprawdę wdzięczna.

David sprawia wrażenie, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Ruth – mówi – czy ty brałaś udział w tym wczorajszym spektaklu na bagnach?

Spektaklu? To określenie jakoś nie bardzo pasuje do dramatycznych wydarzeń, które działy się wczoraj w Słonych Błotach. To nie był żaden spektakl – wszystko zdarzyło się naprawdę.

– Tak – rzuca krótko. – To ja odnalazłam ciało.

– Mój Boże! – David wygląda na wstrząśniętego. – Okropne. Rozumiem, dlaczego chcesz wyjechać.

– Dziennikarze deptali mi wczoraj po piętach. Planuję się gdzieś zaszyć na kilka dni.

– Dziennikarze.

Oblicze Davida pochmurnieje.

– To hołota. Widziałaś ich wczoraj? Tratowali trzciniowiska, śmiecili, a nawet rzucali niedopałki. Myślisz, że dzisiaj znowu się zjawią?

– Niestety tak.

– No to muszę iść na obchód.

David jest posępny. Ruth uznaje, że najwyższa pora przypomnieć się ze swoją prośbą. Podaje klucze.

– To jak będzie z kotem? Jedzenie jest w kuchni. Jedna puszka dziennie, a do tego garść chrupek. I nie pozwól mu wyłudzić więcej. Na spacer wychodzi sobie sam. Ma specjalną kłapkę w drzwiach. Swoje namiary zostawię na stole.

David bierze od niej klucze.

– Jedzenie. Kłapka w drzwiach. Namiary. Zrozumiałem. No dobra. OK.

Ruth ma nadzieję, że zapamiętał.

Prawie nie ma ruchu na drodze, więc na uniwersytet dociera w rekordowo krótkim czasie. Parkingi są puste. Wydaje się, że dziennikarze, podobnie jak pracownicy naukowcy, nie zaliczają się do rannych ptaszków. Wystukuje kod na klawiaturze elektronicznego zamka i z poczuciem ulgi zaszywa się w swoim



gabinecie. Wreszcie choć przez chwilę poczuje się bezpieczna.

Po kilku filiżankach kawy i sporządzeniu paru stron notatek do wykładów słyszy pukanie do drzwi.

– Proszę – mówi.

Jest przeświadczona, że zobaczy podekscytowanego ostatnimi wydarzeniami Phila, ale w drzwiach stoi Shona. Ruth nie kryje zdziwienia. Shona niezwykle rzadko zapuszcza się w te rejony, jakże odległe od wydziału filologicznego, na którym pracuje.

– Ruth! – Shona podchodzi i przytula ją. – Właśnie się dowiedziałam, co wczoraj przeżyłaś. To ty odkryłaś ciało tej biednej dziewczynki.

– Kto ci powiedział? – dopytuje się.

– Erik. Spotkaliśmy się na parkingu.

No, to już się rozniosło po całym kampusie, natychmiast przyszło jej na myśl. Raptem zdaje sobie sprawę z tego, jaką naiwnością było sądzić, że na uczelni może czuć się bezpieczna.

– Tak, to ja znalazłam zwłoki. Przykryte warstwą torfu, dokładnie pośrodku kręgu.

– O, Boże.

Shona uczestniczyła w pracach wykopaliskowych prowadzonych przed dziesięciu laty, więc zdaje sobie sprawę z wyjątkowego znaczenia tego miejsca kultu.

– Czy Erik wie, gdzie ją znaleźliście? – pyta Shona, sadowiac się na krześle.

– Tak. Myślę nawet, że przejął się tym bardziej niż samym odkryciem. Policja przekopuje całe stanowisko. Odwieczna harmonia tej świętej ziemi ulega zaburzeniu.

Ruth sama się dziwi goryczy, jaką ocieka jej wypowiedź.

– A po co dalej kopią?

– Pewnie myślą, że znajdą też zwłoki drugiej dziewczynki, Lucy Downey.

– Tej, która zaginęła dawno temu?

– Dokładnie dziesięć lat temu. Tuż po zakończeniu prac badawczych na terenie kręgu.

– Czy policja uważa, że obie zamordowała ta sama osoba?

Ruth mierzy Shonę wzrokiem. Widzi zatroskanie malujące się na delikatnej twarzy przyjaciółki, ale również ślad jakiejś niezdrowej ekscytacji, którą od razu rozpoznaje, bo sama także ją w sobie nosi.

– Nie mam pojęcia, co kombinują policjanci.

– Myślisz, że oskarżą tego faceta od druidów?

– Cathbada? Zlituj się, Shona. Nie wiem.

– Erik mówi, że ten gość jest niewinny.

– Tak – zgadza się Ruth i zachodzi w głowę, co jeszcze Erik zdążył Shonie opowiedzieć.

– A jakie jest t w o j e zdanie? – nie daje za wygraną przyjaciółka.

– Skąd mam to wiedzieć – mówi z poczuciem, że powtarza tę formułkę po raz setny. – Nie wygląda mi na mordercę. Zawsze robił wrażenie nieszkodliwego dziwaka, takiego od pacyfizmu i ekologii. Ale policja musi chyba mieć jakieś dowody, bo inaczej nie mogliby go przymknąć.

– Ten inspektor Nelson wygląda na naprawdę twardego skurwiela.

Ruth myśli o Harrym. Widzi nad sobą jego twarz. Zupełnie jakby ktoś wyświetlił kolorowy film. Czuje dotyk szorstkiego policzka.

– Aż tak dobrze go nie znam – mówi. – Posłuchaj, Shona. Chciałabym cię prosić o przysługę. Mogłabym u ciebie pomieszkać przez kilka dni? Bo widzisz, dziennikarze zwietrzyli już, że mam związek z tą sprawą. Pewnie zaczną mnie nachodzić w domu, więc chciałabym się gdzieś ukryć na jakiś czas.

– Oczywiście – odpowiada przyjaciółka bez chwili wahania. – Będiesz bardzo mile widziana. I

wiesz co? Zamówimy sobie kolację, a do tego parę butelek. Taki babski wieczór. Trzeba na chwilę zapomnieć o świecie i trochę wyluzować. Co ty na to?

Ruth nie wie dlaczego, ale babski wieczór w towarzystwie Shony nie sprawia jej takiej przyjemności, jak się spodziewała. Po pierwsze, jest bardzo zmęczona i po kilku kieliszkach pinot grigio powieki same zaczynają jej opadać. Po drugie, chyba po raz pierwszy w całym swym dorosłym życiu nie jest głodna. Zazwyczaj uwielbia zamawiać jedzenie do domu – przykryte srebrną folią kartoniki, aromatyczne frykasy, atmosfera niespodzianki – bo nigdy nie wiadomo, jak będzie wyglądało zamówione danie. Przeważnie ubóstwia tę całą otoczkę. Jednak dzisiaj po zaledwie kilku łykach cudownie pachnącej pieczonej kaczki o chrupiącej skórce – odsuwa talerz. Woń sosu sojowego przyprawia ją o mdłości.

- Co się stało? – pyta z pełnymi ustami Shona. – Wsuwaj, tyle tego przywieźli.
- Przepraszam – mówi – ale jakoś nie mam apetytu.
- Musisz jeść – namawia ją Shona, jakby miała przed sobą nastoletnią anorektyczkę, a nie czterdziestolatkę z wyraźną nadwagą. – Albo się przynajmniej napij. – Wino płynie do kieliszka Ruth. – No co ty, odpreż się, dziewczyno.

Shona mieszka w szeregowcu na obrzeżach King's Lynn. Niedaleko stąd do centrum, miejska okolica stanowi zupełne przeciwieństwo Słonych Błot. Dlatego po przyjeździe na miejsce Ruth została w samochodzie, żeby posłuchać przez chwilę głosów ulicy i pooddychać czosnkowo-kminkowymi oparami z pobliskiego hinduskiego baru.

- No nie stój tutaj – powiedziała w końcu Shona.
- Jeszcze ci założą blokady. Tam za rogiem jest przecież parking.

Ruth wprowadziła się do pokoju gościnnego (Iśniąca podłoga, sosnowe łóżko, egipska pościel bawełniana, widoczki z Paryża i Nowego Jorku). Wreszcie mogą się rozluźnić, pomyślała. Nikt nie wie, gdzie jestem. Tu się uspokoję, zjem coś dobrego i wypiję kieliszek. A jutro będę jak nowo narodzona.

Rzeczywistość jednak okazuje się mniej różowa. Ruth ciągle czuje się nieswojo. Wciąż zerka na telefon, choć nie czeka na żadną rozmowę. Martwi się, że David zapomni nakarmić Krzemyka. Tęskni za swoim domkiem i nostalgicznym krajobrazem Słonych Błot. Niemal pada ze zmęczenia, a mimo to czuje, że nie zaśnie w nocy. W jej umyśle bez przerwy wyświetla się ten sam film dozwolony od lat osiemnastu, wspomnienia ostatnich dni: poranna wędrówka przez mokradła, odkrycie zwłok Scarlet, mała, zwisająca bezwładnie ręka, Nelson u drzwi – nieogolony z czerwonymi oczami, dotyk jego ciała...

Ciągle ma jakieś skojarzenia. Nastrojowa muzyka dobiegająca z głośników niesie wspomnienie deszczu i przytłumionych głosów znieruchomiałych nagle ptaków. Blask świec nasuwa myśl o błędnych ognikach migocących zdradliwie w oddali i prowadzących nieroztropnych wędrowców na pewną śmierć. Wśród książek, obok tomów Szekspira, dostrzega T.S. Eliota i od razu myśli o listach dotyczących Lucy Downey. „My co byliśmy żywi, umieramy teraz”.

- Sądzisz, że on się na to odważy? – pyta Shona, dolewając wina do kieliszka Ruth.
- Co takiego? – Ruth zupełnie zgubiła wątek.
- No, porzucić Annę. Myślisz, że Liam od niej odejdzie?

A gdzie tam, myśli Ruth. Tak samo jak Nelson nigdy w życiu nie zostawi Michelle.

- Może. A zresztą nie wiem. Jesteś pewna, że właśnie tego byś chciała?
- Nie mam pojęcia. Jeszcze pół roku temu powiedziałabym, że tak. Ale dzisiaj? Prawdę mówiąc, chyba by mnie to przeraziło. Wbrew pozorom związek z żonatym facetem stwarza pewien komfort.

– Naprawdę?

– Tak, bo zawsze można sobie wytłumaczyć, że byłoby idealnie, gdyby nie żona. I jeśli coś układa się nie po naszej myśli, nie szukamy winy w sobie. Poza tym taki układ jest dość ekscytujący i nie ma ryzyka, że dopadnie nas nuda.

– Masz w tej dziedzinie jeszcze jakieś doświadczenie?

O ile Ruth się orientuje, Liam jest pierwszym żonatym kochankiem Shony, a ona zachowuje się tak, jakby była weteranką pozamałżeńskich podbojów. Nelson w spódnicy, cynicznie myśli Ruth.

Niespodziewanie na twarzy Shony pojawia się czujność. Dolewa sobie wina i robi plamę na modnej trzcinowej macie.

– No, może zdarzyło się raz albo dwa – mówi, siląc się na obojętność. – Jeszcze zanim cię poznałam. A teraz, na miłość boską, napij się, bo wyraźnie zostajesz w tyle.

Ruth słusznie przypuszczała, że nie będzie mogła zasnąć. Próbuje czytać o przygodach inspektora Rebusa i Siobhan Clarke, tylko że on ma twarz Nelsona, a Siobhan staje się nią samą. W końcu włącza laptopa i chce popracować, ale mimo że wypita mniej niż Shona, nie potrafi skupić myśli na mezolitycznych pochówkach. Groby, rytuały pogrzebowe, zwłoki, kości – myśli ponuro – dlaczego archeologia ciągle zajmuje się śmiercią?

Bierze łyk wody, odwraca poduszkę i zamyka oczy z mocnym postanowieniem, że zaśnie. Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt siedem... Ile jest kopalni krzemienia w hrabstwie Norfolk? Ciekawe, czy David pamięta o Krzemyku? Oby kocisko nie upolowało jakiegoś rzadkiego ptaka... Skierka w tekturowym pudełku... Rączka Scarlet wystająca spod plandeki... Dziewięćdziesiąt sześć, dziewięćdziesiąt pięć... „My co byliśmy żywi, umieramy teraz”... Dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt trzy... Nigdy nie odejdzie od żony... Dlaczego Peter wrócił, a Shona nie może zapomnieć o Liamie? Czy Cathbad ciągle kocha Delilah? Dlaczego miejsca pochówku z epoki żelaza położone są w jednej linii, która prowadzi wprost do grobu Scarlet... Dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt jeden...

Sygnał esemesa brzmi jak wybawienie. Łapie komórkę. Kto napisał? Zielonkawy ekran świeci w ciemności. Nadawca nieznany.

„Wiem, gdzie jesteś”.

*Niebo aż huczy od dźwięków. Głuche odgłosy, szelesty, wielkie ptaki nawołują się i krzyczą. Ona wie, że jest dzień, bo okno zostało zamknięte. Nic nie widzi, jedynie słyszy, co dzieje się na zewnątrz. Jest przerażona i kuli się w kącie pod kocem.*

*On od dawna się nie pokazuje, a ona jest głodna i przestraszona bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Bierze ostatni łyk wody i w ciemności szuka wzrokiem resztki chleba sprzed kilku dni, która powinna gdzieś tu być. Zastanawia się, czy umrze, jeżeli on nie przyniesie jedzenia. Może on sam już nie żyje?*

*Od dawna do niej nie przychodzi, a ona ma wyschnięte usta. Wiaderko w kącie zaczyna brzydko pachnieć.*

*Wolno przeszukuje pomieszczenie, chce znaleźć chleb. Przez szpary wokół wjazdu sączy się światło, a ona ma ochotę krzyknąć, ale powstrzymuje ją strach. Kamienne mury są wilgotne i omszałe, pod palcami jej dłoni wydają się idealnie gładkie. Teraz sięga już wyżej. Aż do miejsca, gdzie ściana jest sucha i kruchy się jak chleb. Dlaczego może tam dosięgnąć? Czyżby urosła? On tak twierdzi. I mówi, że aż za bardzo. O co mu chodzi? Za bardzo, żeby co?*

*Sięga najwyżej jak może i pociąga za wystający kamień, który zostaje jej w dłoniach, a ona, zdziwiona i zaskoczona, przewraca się. Siedzi na podłodze i sprawdza kciukiem krawędź kamienia. Jest ostra i kaleczy skórę. Zlizuje krew. Coś podobnego czuje, gdy dotyka ustami metalowego kubka, ale krew jest słonawa i ma dziwny mocny smak. Zlizuje ją do ostatniej kropelki.*

*Zanosi kamień do narożnika pomieszczenia, gdzie jest klepisko. Kopie nim dziurę, umieszcza w niej kamień i zasypuje go ziemią. Potem udeptuje to miejsce tak długo, aż nie pozostaje żaden ślad i tylko ona wie, co tam schowała.*

*Wreszcie ma swój sekret. Jest zadowolona.*

## ROZDZIAŁ 18

Całkowicie wyczerpana zasypia w końcu około drugiej nad ranem. Przez kilka godzin po prostu siedziała, słuchając bicia serca, i wpatrywała się w esemesa. Kilka słów, które ją zmroziły. Kto mógł je przysłać? Może to on – autor listów, morderca? Kto zna miejsce jej pobytu? I numer komórki? Czyżby ktoś – czuje się tak, jakby miała zaraz dostać torsji – kogo znała?

Wie, że musi zatelefonować do Nelsona, ale wolałaby nie robić tego w środku nocy. Poprzedni dzień zatarł ostrość wcześniejszych zdarzeń. Wolałaby uniknąć wrażenia, że mu się narzuca. Zastanawia się, co jest gorsze – zostać zamordowaną we własnym łóżku czy dać mężczyźnie fałszywe wyobrażenie o sobie? Żałuje, że jej podświadomość nie jest bardziej wyzwolona.

Budzi się po kilku godzinach w pozycji siedzącej, cała zeszywniała. Telefon spadł na podłogę, podnosi go drżąca ręką. Żadnych nowych wiadomości. Z westchnieniem zakopuje się w pościeli. Jest tak zmęczona, że śmierć wydaje jej się wybawieniem – zasnąć na zawsze.

Kiedy znowu się budzi, za oknem widzi żółtawy poranek, a Shona stoi przy łóżku z filiżanką herbaty.

– Spałaś jak susał – mówi wesołym tonem. – Już dziewiąta.

Ruth z wdzięcznością sączy herbatę. Od lat nikt jej nie podał filiżanki do łóżka. Za dnia, siedząc w gustownym pokoju Shony, Ruth traci poczucie zagrożenia. Co więcej, odczuwa przyływ sił witalnych. Wstaje, bierze prysznic i ubiera się tak, by czuć się pewnie (czarny kostium, biała koszula i drapieżne kolczyki). Następnie schodzi na dół, gotowa stawić czoła wszystkim przeciwnościom. Siedzi w samochodzie i już chce ruszać do pracy, gdy odzywa się telefon. Kolczyki, które miały dodać jej odwagi, niewiele pomagają – paraliżuje ją strach, serce wali, a dłonie lepią się od potu.

– Cześć, Ruth. Tu Nelson.

– Ach, to ty. Cześć.

Ale jej serce nadal tłucze się jak oszalałe.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jutro zwalniamy Malone'a.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Sekcja zwłok nie wykazała śladów jego DNA na ciele Scarlet. Jest oskarżony tylko o pisanie listów, to wszystko. Jutro stanie przed sądem i myślę, że zwolnią go za kaucją.

– Czy nadal jest podejrzanym w tej sprawie?

Nelson śmieje się, chociaż wcale nie jest mu do śmiechu.

– No cóż, nie mamy wprawdzie nikogo innego, ale też nie znaleźliśmy choćby najcieńszej nici łączącej go z zabójstwem. Brak nam podstaw do przedłużenia aresztu.

– Co on teraz zrobi?

– Nie wolno mu stąd wyjeżdżać. Gdzieś się przyczai. Może nawet dostanie ochronę policyjną z powodu nadmiernego zainteresowania mediów.

Nelson ma w głosie taką pogardę, że Ruth mimo woli się uśmiecha.

– Co wykazała... sekcja zwłok?

– Śmierć przez zadławienie. Jakby coś jej wetknięto do gardła. Ręce miała skrupowane jakąś roślinną plecionką.

– Roślinną?

– Zdaje się, że było to kapryfolium połączone z, pewnie cię to ucieszy, jemiolą.

Ruth wraca myślami do listów i wzmianki na temat jemioli. Czy to dowodzi, że ich autor jest mordercą? Że to jednak Cathbad? Myśli też o linach, na których ciągnięto pale tworzące krąg. One również były splecione z kapryfolium. Przypomniał jej o tym Peter.

– Ciało leżało w ziemi jakieś sześć tygodni – mówi Nelson. – Trudno to ocenić dokładnie ze względu na wpływ torfu. Brak oznak przemocy na tle seksualnym.

– To już coś – rzuca z wahaniem Ruth.

– Tak – przyznaje Nelson z goryczą. – To już coś. Będziemy mogli wydać zwłoki rodzinie. Bardzo im na tym zależy.

Nelson wzdycha, a Ruth wyobraża go sobie za biurkiem, jak z charakterystycznym grymasem na twarzy przegląda akta, robi notatki i stara się omijać wzrokiem fotografię Scarlet.

– No dobrze – ton głosu Nelsona gwałtownie się zmienia. – A co u ciebie? Mam nadzieję, że pismaki nie przesładują cię telefonami.

– Nie, ale w nocy dostałam dziwnego esemesa.

Opowiada mu o wiadomości, którą otrzymała. Wyobraża sobie, jak Nelson, zniecierpliwiony, wznosi oczy ku niebu. Ile jeszcze kłopotów przysporzy mu ta kobieta?

– Zlecę komuś tę sprawę – mówi. – Podaj mi numer. Ruth dyktuje.

– Możecie namierzyć konkretną komórkę?

– Oczywiście. Każdy telefon wysyła podczas połączenia unikalny identyfikator numeryczny. Można powiedzieć, że zgłasza się do najbliższej stacji przekaźnikowej. Mając ten numer, możemy namierzyć komórkę, z której dzwoniło. Z tym że jeżeli gość jest sprytny, to pewnie dawno się jej pozbył.

– Myślisz, że to... on?

– Kto go tam wie. Ale musimy dać ci ochronę. Jak długo będziesz u tej przyjaciółki?

– Jeszcze nie wiem.

Wypowiadając te słowa, Ruth czuje przyływ tęsknoty za domem, własnym łóżkiem, kotem i ponurym pejzażem trzęsawisk.

– Poślę kilku ludzi, żeby mieli na oku i mieszkanie Shony, i twój dom. Spróbuj się nie martwić. Myślę, że on jest za sprytny, żeby wyjść z ukrycia.

– A jest sprytny?

– Mnie, jak widać, przechytrzył, prawda?

– Dorwiesz go – odpowiada, ale w jej głosie jest więcej przekonania niż w sercu.

- Chciałbym, żeby media podzielały twoje zdanie. Trzymaj się, kochanie. Rozłączając się, Ruth myśli: k o c h a n i e ?

Na uniwersytecie od razu wpada na Petera. Czeką przed jej gabinetem, podobnie jak kiedyś Nelson, który z szorstką, nieprzystępną miną stał obok ugrzecznionego Phila. Jednak Nelson, wchodząc wtedy do pokoju, zachowywał się z taką pewnością siebie, jaką okazuje profesjonalista wkraczający pomiędzy amatorów, a Peter wygląda na zdenerwowanego i przywiera do ściany, gdy tylko przechodzi jakiś student (co, nawiasem mówiąc, nie zdarza się często, bo jest wczesna pora).

- Ruth! - Robi krok w jej stronę, by się przywitać.
- Peter. Co ty tu robisz?
- Chciałem z tobą pogadać.

Ruth wzdycha bezgłośnie. Ostatnią rzeczą, jakiej tego ranka potrzebuje, są zwierzenia Petera na temat rodziny oraz wywoływanie wspomnień z czasów prac wykopaliskowych na terenie kręgu.

- No to wchodź - mówi mało uprzejmie.

W pokoju Peter skupia wzrok na ograniczniku do drzwi, który ma kształt kota.

- Pamiętam, jak ci go kupiłem. Fajnie, że jeszcze go masz.
- Przydaje się - ucina Ruth. Nie powie mu przecież, że zatrzymała ogranicznik z powodów sentymentalnych, bo to nieprawda. A przynajmniej - niezupełna prawda.

Peter zajmuje fotel dla gości.

- Ładny pokój - oznajmia, patrząc na Indianę Jonesa. Przed dziesięcioma laty nie miała aż takiej pozycji, która dawałaby jej prawo do własnego gabinetu.

- Trochę ciasny.

- No to powinnaś zobaczyć mój pokój na UCL. A w dodatku dzielę go z archiwistą, który ma problemy z zachowaniem higieny osobistej. Z biurka mogę korzystać tylko w poniedziałki i czwartki.

Ruth śmieje się. On zawsze umie ją rozśmieszyć, przyznaje niechętnie. Peter też ma uśmiech na twarzy i przez moment przypomina siebie sprzed lat. Ale zaraz na powrót przybiera smutną minę.

- Straszne te wydarzenia w Słonych Błotach - mówi. - Że też ty musiałaś odnaleźć zwłoki tej małej Scarlet.

- No właśnie.

- Skąd wiedziałaś, gdzie szukać?

Ruth podnosi nagle wzrok. Co za dziwne pytanie. Wszyscy inni myślą, że to policja wpadła na ten trop.

- Miałam przecucie - mówi wreszcie. - Spojrzałam na mapę i narysowałam linię łączącą oba miejsca pochówku, to że Spenwell i odnaleziony przeze mnie grób z epoki żelaza, z kręgiem. Pale, które ci pokazywałam, wytyczają groble, a zarazem wskazują drogę. Pomyślałam o kursusach, tajemnych szlakach prowadzących do najważniejszych punktów topograficznych w okolicy. I uprzytomniłam sobie, że ta grobla jest jednocześnie kursusem.

- To właśnie on doprowadził cię do ciała?

- Tak.

- Uważasz, że to wszystko jest nieprzypadkowe? To znaczy, że ktoś z rozmysłem pogrzebał tę małą, wykorzystując swoją wiedzę na temat grobli oraz kursusów, czy jak je tam zwiesz?

- Nie kursusów, tylko kursusów. No, nie wiem. Policja podejrzewa, że morderca zna się być może na archeologii.



– Naprawdę?

Peter milknie na chwilę i najwyraźniej zastanawia się nad tą informacją. Potem podnosi wzrok i dodaje:

– Przypomniało mi się, że Erik zarządził na najbliższy tydzień prace wykopaliskowe na terenie grobli.

– A policja wyraziła zgodę?

– Tak. Ustalił to z twoim znajomym, tym Nelsonem. Mogą kopać pod warunkiem, że będą się trzymać z dala od samego kręgu. Poza tym muszą oczywiście pokazać policji wszystko, co znajdują.

Erik rozmawiał z Nelsonem, którego tak nie lubi, a na dodatek mu nie ufa. I Nelson wydał zgodę. Ruth ma w głowie mętlik – kotłują się w niej różne sprzeczne przypuszczenia na temat powiązań i zależności pomiędzy znanymi jej osobami, a także wspomnienia.

– Kiedy rozmawiałeś z Erikiem? – pyta w końcu.

– Wczoraj. Byliśmy razem na lunchu.

– Naprawdę?

Ruth próbuje to sobie wyobrazić. Erik zawsze lubił Petera i akceptował go jako partnera Ruth, ale żeby się umawiali na pizzę?

– Dokąd poszliście?

– Na sushi, Erik sam wybrał restaurację.

Czyli nie pizza.

– Wspominał coś o Cathbadzie? Michaelu Malonie?

– Tyle tylko, że to pomyłka policji. Był bardzo poruszony. W kółko gadał o państwie policyjnym. Wiesz, że z niego jest stary hipis.

Erik zdecydował się pójść do Nelsona po zgodę na prowadzenie wykopalisk. Bo przecież nic, a b s o l u t n i e nic nie może stanąć na przeszkodzie pracom badawczym.

– Mają zamiar zwolnić Cathbada – mówi Ruth. – Pewnie będzie o tym w dzisiejszych wiadomościach.

Nelson nic nie wspominał, że ma to zachować w tajemnicy.

– Naprawdę? – ożywia się Peter. – Zwolnią go bez postawienia zarzutu?

– Może wniosą jakieś oskarżenie. Nie wiem.

– No, jak to, Ruth? Kto jak kto, ale ty nie wiesz?

– Ano nie wiem – ucina Ruth, poirytowana bez powodu.

– Przepraszam.

Peter wygląda na skruszzonego, ale nie jest mu z tym do twarzy.

– No, a jak tam Shona? – rzuca nagle z werwą.

– Dobrze. To znaczy bez zmian. Ciagle tylko opowiada, że ma dosyć mężczyzn i woli zostać zakonnica.

– Z kim teraz kręci?

– Z wykładowcą. Żonatym.

– I co, obiecał odejść od żony?

– Oczywiście.

Peter wzdycha.

– Biedna Shona.

Może pomyślał o własnym małżeństwie, bo jakoś głębiej zapadł się w fotel i zmarkotniał.

– Zawsze byłem przekonany, że zostanie przykładną żoną i urodzi dziesięcioro dzieci. Że wyjdzie z niej stare katolickie wychowanie.

Ruth myśli o dwóch aborcjach Shony. Buntownicze deklaracje niezależności przed, całe morze łez po.

– Nie – mówi. – Dzieci nie ma.

– Biedna Shona – mówi znowu Peter i jeszcze głębiej zapada się w fotel. Trzeba go będzie wyciągać dźwigiem.

– Peter – odzywa się Ruth, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Masz do mnie jakąś sprawę? Jestem bardzo zajęta.

Gość wygląda na urażonego.

– Chciałem tylko sprawdzić, jak sobie radzisz. I zapytać, czy nie wyskoczylibyśmy wieczorem na drinka?

Ruth oczami wyobraźni widzi kolejny babski wieczór: wino pinot grigio, Liam, kolacja z dowozem do domu i tajemnicze esemesy.

– OK – odpowiada. – Z przyjemnością.

Idą do restauracji w King's Lynn, niedaleko pubu, gdzie Ruth jadła lunch z Nelsonem. Lokal jest dość pretensjonalny: menu drobnym druczkiem, jasne drewniane podłogi, kwadratowe talerze, ławy pełne migocących świec. Polując na samotnego małża w bezkresie białej porcelany, Ruth pyta Petera:

– Jak znalazłeś ten lokal? Jest wspaniały – dodaje czym prędzej.

– Rekomendacja Phila.

No to wszystko jasne.

Jest stosunkowo wcześnie, więc w restauracji są oprócz nich tylko dwie pary: trzydziestoparolatki, którzy najwyraźniej nie mogą się doczekać, aż wskoczą do łóżka, i starsi państwo, którzy przez cały wieczór nie zamieniają ani słowa.

– A niech mnie, po co ci ludzie przyszedli do restauracji, zamiast wynająć sobie pokój? – pyta Ruth, gdy młoda kobieta przy sąsiednim stoliku zaczyna zlizywać wino z palców towarzyszącego jej mężczyzny.

– Pewnie są w związkach małżeńskich.

– Czemu tak myślisz?

– Bo gdyby sami byli małżeństwem, toby nie rozmawiali ze sobą, a już na pewno by sobie oszczędzili tych publicznie okazywanych czułości – odpowiada Peter ściszym głosem. – Spójrz na tamtych starszków. Pięćdziesiąt lat w udanym stadle i nie mają sobie nic do powiedzenia.

Ruth ma ochotę zapytać, czy i jego małżeństwo tak właśnie wyglądało. Ale wystarczy poczekać, myśli sobie, a Peter i tak podejmie temat. Milczenie nigdy nie było jego mocną stroną.

O, już się zaczyna – Peter wzdycha i pociąga łyk przesadnie drogiego czerwonego wina.

– Zupełnie jak Victoria i ja. Staliśmy się sobie obcy. Wiem, że to wyświechtane powiedzenie, ale trafia w sedno. Po prostu skończyły się nam tematy do rozmów. Któregoś ranka zdaliśmy sobie sprawę, że oprócz Daniela nic nas nie łączy. To znaczy lubimy się. Nawet się przyjaźnimy, ale to, co najważniejsze, gdzieś nam umknęło.

Z nami było tak samo, ma ochotę wtrącić Ruth. Pamięta, jak spoglądała na Petera – inteligentnego, uprzejmego, przystojnego Petera – myśląc sobie: I to wszystko? To ma mi wystarczyć? Ten miły facet, który jest dla mnie jak powietrze, nawet wtedy, gdy mnie dotyka?

Ale Peter znów spogląda na świat przez różowe okulary.

– A nas tyle łączyło – mówi z rozmarzeniem. – Archeologia, historia, książki. Victoria nie jest intelektualistką. Jej najpoważniejsza lektura to magazyn „Hello”.

– Traktujesz ją z wyższością – zarzuca mu Ruth.

– Och, nie zrozum mnie źle – pospiesznie wtrąca Peter. – Victoria jest cudowną kobietą. Ciepłą i serdeczną. (Przybrała na wadze, myśli Ruth). – Lubię ją bardzo i obojgu nam zależy na Danielu, ale nasze małżeństwo się rozpadło. Tylko ze sobą mieszkamy, dzielimy się obowiązkami i wychowaniem syna, rozmawiamy o tym, kto na drugi dzień odbiera Daniela i kiedy dostarczą zakupy z Teseo.

– A o czym chciałbyś dyskutować? O architekturze doby renesansu? A może o młodzieńczych wierszach Roberta Browninga?

Peter uśmiecha się szeroko.

– O właśnie. My przecież na takie tematy rozmawialiśmy, prawda? Zapomniałaś już o tych nocach przy ognisku, kiedy się zastanawialiśmy, czy człowiek z neolitu był myśliwym i zbieraczem, czy może rolnikiem? Twierdziłaś, że kobiety mogły się trudzić polowaniem i nawet skradałaś się do owcy, żeby pokazać, jak podchodziły zwierzynę.

– I walnęłam jak długa w owczą kupę – dorzuca rzeczowym tonem Ruth. Nachyla się do Petera. Chce mu to jasno uzmysłowić. – Posłuchaj, Peter. Tamte prace wykopaliskowe to historia sprzed dziesięciu lat. Wtedy było tak, a teraz jest inaczej. Byliśmy razem i było super, ale to już nie wróci. Nie cofniesz czasu.

– Naprawdę? – pyta Peter, wpatrując się w nią. W blasku świec jego oczy są bardzo ciemne, niemal czarne.

– Jestem tego pewna – oświadcza łagodnie.

Peter patrzy na nią w milczeniu przez kilka minut, a potem się uśmiecha. Ale już inaczej – bardziej czarująco, a zarazem smutniej.

– Oblejmy to – mówi i pochyla się, by napełnić jej kieliszek.

Ruth nie upija się wprawdzie, jednak z pewnością ma we krwi więcej alkoholu, niż zezwalają przepisy.

– Tylko jedź ostrożnie – mówi Peter, kierując się w stronę nowiutkiego alfa romeo. Kryzys wieku średniego?

– Będę uważać.

Ruth cieszy się, że nie musi wysilać wzroku na zwodniczej New Road, która tonie w ciemnościach pośród bagien. Do Shony ma tylko pięć minut samochodem, więc powinna sobie poradzić. Jedzie wolno, trzymając się innych, jadących pewniej samochodów. W radiu ktoś dyskutuje o Gordonie Brownie. „On chce wrócić do dawnych czasów”. Chyba nie tylko on, myśli Ruth, skręcając w ulicę, gdzie mieszka Shona. Chociaż

w rozmowie tego nie okazywała, w rzeczywistości podziela tęsknotę Petera za przeszłością. Myśl, aby do niego wrócić, by nie czekać już na chodzący ideał, ma w sobie coś kuszącego. Peter, realnie patrząc, to najlepsza partia jej życia, może nawet na niego nie zasłużyła. Więc co ją powstrzymuje? Czyżby mgliste wyobrażenie Victorii i Daniela? A może Nelson? Wie, że z tamtej nocy z Nelsonem nic nie wyniknie, ale mimo wszystko pójdzie do łóżka z Peterem, choć znajome i kojące, byłoby zaledwie namiastką tych emocji, które czuła wtedy, gdy kochała się z Harrym.

Parkuje obok hinduskiego baru i rusza w stronę domu Shony. Odruchowo sprawdza odebrane esemesy. Jest tylko jeden:

„Wiem, gdzie jesteś”.

## ROZDZIAŁ 19

Pogrzeb Scarlet Henderson odbywa się w ponure i deszczowe piątkowe popołudnie. Ruth przypomina sobie fragment tradycyjnej pieśni: „Tańczyłem w piątek, gdy zasnuły się niebiosy”. Niebo najwyraźniej oplakuje Scarlet Henderson; deszcz nie ustaje przez cały poranek.

– Pogrzeb w piątek przynosi pecha – mówi Shona, wyglądając przez okno salonu na ulicę zalewaną potokami deszczu.

– Daj spokój – wybucha Ruth. – A który pogrzeb przynosi szczęście?

Niepotrzebnie tak naskoczyła na Shonę, która próbuje przecież okazać jej pomoc w trudnej chwili. Deklaruje nawet, że pójdzie na pogrzeb, ale Ruth woli iść sama. Czuje, że w pewnym sensie jest to winna tej małej dziewczynce, której nigdy nie poznała za życia. A także Delilah i Alanowi. I może również Nelsonowi? Może. Nie rozmawiała z nim od kilku dni. Wszystkie serwisy informacyjne pokazywały scenę zwolnienia Cathbada, w której przewijała się postać Nelsona, oświadczającego z kamienną twarzą, że sprawdzane są nowe poszlaki. Nie może się oprzeć wrażeniu, że to kłamstwo, a podobnie myśli chyba większość dziennikarzy.

Nowoczesny, przysadzisty kościół na przedmieściu Spenwell jest wypełniony po brzegi. Z trudem wciska się do jednej z tylnych ławek. Gdzieś na przodzie dostrzega Nelsona. Włożył ciemnoszary garnitur, patrzy wprost przed siebie. Towarzyszy mu dwóch postawnych mężczyzn, zapewne policjantów. Jest też i policjantka. Ruth widzi, jak kobieta szuka w torebce chusteczki i zastanawia się, czy to jest Judy, która uczestniczyła w przekazaniu tragicznych wieści rodzicom małej.

Pojawia się mała trumna, której towarzyszą wciąż zszokowani śmiercią córki Delilah i Alan. Chryzantemy ułożone są w słowo „Scarlet”; przerażone rodzeństwo w ciemnych ubraniach spogląda szeroko otwartymi oczami, w których maluje się strach; wysokie głosy intonują śpiew: „Na chwałę niebios”. Można odnieść wrażenie, że wszystko to ma jeden cel – poruszyć serca zgromadzonych ludzi. Ruth czuje, że wzbierają w niej łzy, lecz nie pozwala im popłynąć. Jakież miałyby prawo oplakiwać Scarlet?

Zdenerwowany pastor w białych szatach rzuca kilka ogólnikowych stwierdzeń o aniołkach, niewinności i wyrokach Bożych. Potem, ku zaskoczeniu Ruth, do pulpitu podchodzi Nelson. Czytając, zaczyna się i w ogóle nie podnosi wzroku.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”\*

\* Ewangelia według Świętego Jana 11,25, cytata za Biblią Tysiąclecia.

Ruth ma nieodparte skojarzenia z listami w sprawie Lucy Downey. Ich autor odnalazłby w tym czytaniu wszystkie ulubione przez siebie wątki: życie, śmierć, obietnicę żywota wiecznego i spowijającą wszystko atmosferę kojącego mistycyzmu. Czy to Cathbad pisał tamte listy? A jeżeli tak, to po co? Aby frustrować policjantów? Ruth nie ma wątpliwości, że Cathbad nie lubi policji – co więcej, nie cierpi też archeologów – ale czy to wystarczający powód? A w ogóle to gdzie on teraz jest? Czy planował tu przyjść, żeby pocieszyć dawną ukochaną i swoją córkę – najstarsze dziecko Delilah – płaczącą cicho i wtuloną we włosy matki?

Uroczystość wreszcie dobiega końca, a biała trumna przejeżdża tak blisko, że Ruth mogłaby jej dotknąć ręką. Przed oczami znowu ma obraz zwisającej dziecięcej rączki, tak sugestywny, że przez chwilę odnosi wrażenie, iż ręka wysuwa się z trumny, jakby prosiła o pomoc. Zamyka oczy i wizja znika.

Rozbrzmiewa końcowa pieśń, ludzie powstają.

Deszcz ustał, ale w powietrzu wisi chłodna, lepka wilgoć. Trumna odjeżdża, odprowadzana przez najbliższych. W kremacji weźmie udział tylko rodzina. Pozostali żałobnicy odprężają się nieco: rozmawiają, zakładają płaszcze, ktoś zapala papierosa.

Ruth trafia na znaną już z widzenia policjantkę o miłej, piegowatej twarzy i oczach zapuchniętych od łez.

Przedstawia się, a z twarzy policjantki można wyczytać, że ją kojarzy.

- A tak. Szeff mówił mi o pani. Jestem Judy Johnson. Z wydziału dochodzeniowo-śledczego.
- To pani przekazywała... – Ruth przerywa, niepewna, czy powinna kończyć.
- Tak, to ja ich zawiadomiłam. Mam za sobą specjalne szkolenie, a poza tym ludzie wolą usłyszeć takie wieści z ust kobiety, zwłaszcza kiedy chodzi o dziecko.
- Nelson... to znaczy inspektor Nelson, mówił mi, że dobrze się pani wywiązała z tego zadania.
- Miło, że tak mnie ocenia, ale nie wiem, czy w takich okolicznościach rozmowę w ogóle można uznać za udaną.

Milkną na chwilę, gdy karawan rusza spod kościoła. Nelson wsiada do jednego z samochodów, nie rozgląda się.

- Proszę spojrzeć na tych państwa.

Judy wskazuje wychodzącą wolno z kościoła siwowłosą parę.

- To rodzice Lucy Downey. Zna pani tę sprawę?
- Coś słyszałam. A skąd oni znają Hendersonów?
- Kiedy zaginęła Scarlet, pani Downey zgłosiła się do Delilah Henderson, oferując swoją pomoc. To bardzo mili państwo. Tym trudniej pogodzić się z tym, co ich spotkało.

Ruth patrzy, jak sympatyczna para mija tonące w wilgoci samochody. Matka Lucy Downey ma siwe włosy i lekko się garbi. Jej mąż sprawia wrażenie bardziej energicznego. Otacza żonę ramieniem, jakby miał w zwyczaju zawsze ją chronić. Co ci ludzie muszą czuć, uczestnicząc w pogrzebie Scarlet, skoro nigdy nie było im dane pożegnać własnej córki? Może na dnie ich serc tli się jeszcze nadzieja, że Lucy żyje?

- Czy mogę panią podwieźć do domu? – pyta Judy.

Ruth spogląda na nią i myśli o powrocie do domu Shony; o jej trosce połączonej z ciekawością; o nocy spędzonej w gustownie urządzonej sypialni.

- Dziękuję – odpowiada. – Mam tu samochód. Pojadę do siebie.

Tak też robi. Kieruje się wprost na New Road. Wie, że nie uniknie powrotu do Shony, bo musi zabrać od niej swoje rzeczy, ale teraz chce tylko jednego – pojechać do domu. Mokra droga wygląda szaro i posępnie pod zawieszonym nisko niebem, ale ona i tak odczuwa wielką radość. Parkuje tam gdzie zawsze – przy połamanym płocie, i otwiera drzwi, wesóło przywołując Krzemka. Pewnie na nią czekał, bo od razu przybiega z kuchni. Jest trochę nastroszony, ponieważ czuje się oszukany. Bierze go na ręce i wdycha świeży, przyjemny zapach jego futerka.

Dom jest w takim stanie, w jakim go zostawiła. Zauważyła, że David odbierał jej pocztę, układając ją w równy stos. Krzemek jest najwyraźniej w formie, więc musiał być karmiony jak należy. Pusta butelka po białym winie nadal stoi na stole, obok kubka, z którego pił kawę Nelson. Poduszki z sofy leżą na podłodze. Rumieniąc się, podnosi je i wyklepuje, żeby nadać im pierwotny kształt.

Poczta nie zawiera niczego ciekawego: rachunki, monity z biblioteki, ulotka z teatru, gdzie była przed sześciu laty, prośby o wsparcie organizacji charytatywnych, pocztówka z Nowego Jorku od przyjaciela.

Nie otwiera większości kopert i idzie do kuchni, by zrobić sobie herbatę. Krzemyk wskakuje na blat i głośno miauczy. Widać, że nabrał złych nawyków.

Ruth stawia go na podłodze, ale on natychmiast znowu wskakuje na blat.

– Głupie kocisko. Co ty wyprawiasz?

– Koty nie są głupie – stwierdza czyjś głos za jej plecami. – Drzemią w nich potężne mistyczne moce.

Ruth podrywa się zaskoczona i ogląda za siebie. W drzwiach kuchni stoi jakiś człowiek i nonszalancko się uśmiecha. Ubrany jest w ubłoconą pelerynę narzuconą na dzinsy i kurtkę moro.

Cathbad.

Ruth robi krok w tył.

– Jak się tu dostałeś? – pyta.

– Wślizgnąłem się, kiedy ten człowiek przyszedł karmić kota. Nie zauważył mnie. Umieję być niewidzialny, nie słyszałaś? Od jakiegoś czasu obserwowałem ten dom. Wiedziałem, że wrócisz. To miejsce cię przyciąga, prawda?

Jego słowa budzą w niej tak wielki niepokój, że przez chwilę stoi bez ruchu, całkiem osłupiała. Cathbad obserwował jej dom. Przypuszcza, i nie myli się, że Słone Błota odgrywają w jej życiu bardzo ważną rolę. Co jeszcze o niej wie?

– Co tutaj robisz? – mówi wreszcie, próbując opanować drżenie głosu.

– Chciałbym porozmawiać. Poczęstujesz mnie ziołową herbatą? – Równocześnie wskazuje stojący na stole kubek. – Kofeina to trucizna.

– Nie tylko, że nie poczęstuję cię herbatą – Ruth czuje narastające wzburzenie – ale domagam się, żebyś natychmiast opuścił mój dom.

– Nic dziwnego, że się denerwujesz – uspokaja ją Cathbad. – Byłaś na pogrzebie? Biedne dziecko. Mała, nie rozkwitła jeszcze duszyczka. Siedzę tu i staram się przesłać Delilah pozytywne myśli.

– Na pewno jest ci za to szalenie wdzięczna.

– Nie złość się – mówi Cathbad z zadziwiająco przymilnym uśmiechem. – Nie warto się kłócić. Erik mówi, że masz dobre serce.

– Miło z jego strony.

– Mówi też, że rozumiesz naturę Słonnych Błot i samego kręgu. Nie jesteś winna temu, że ci barbarzyńcy go zniszczyli. Pamiętam cię z tamtych czasów. Ciebie i twojego chłopaka. To musiały być dla was szczególne dni, prawda?

Ruth spuszcza wzrok.

– Tak – przyznaje.

– Dla mnie także. Właśnie wtedy po raz pierwszy poczułem się częścią przyrody. Zrozumiałem, że ci prehistoryczni ludzie zbudowali krąg z ważnego powodu. Pomimo upływu stuleci mogłem doświadczać jego niezwykłej mocy. Przez krótką chwilę, zanim zniknął na zawsze.

Ruth przypomina sobie, co ją zawsze denerwowało w druidach, nawet przed laty. Traktowali krąg jak swoją własność. Uważali się za jedynych prawowitych spadkobierców jego budowniczych. Wszyscy jesteśmy ich następcami, cisnęło się jej na usta, i to miejsce należy do nas wszystkich. Ruth nadal nie może zrozumieć, co Cathbad robi w jej domu.

– Czego chcesz? – rzuca.

– Porozmawiać – ponownie wyjaśnia jej intruz. Pochyliła się i bierze na ręce Krzemyka, który mruczy z zadowoleniem, co strasznie denerwuje Ruth.



- To bardzo mądry kot – ocenia Cathbad. – Stara dusza.
- Wcale nie jest taki wyjątkowy. Moja kotka była mądrzejsza – oświadcza.
- Tak. Przykro mi z powodu tego, co się z nią stało.
- Skąd wiesz? – pyta Ruth. – Skąd wiesz, co się jej przytrafiło?
- Od Erika. A czemu pytasz? Myślałaś, że ja to zrobiłem?

Sama już nie wie, co powinna sądzić. Czy we własnej kuchni została osaczona przez zabójcę Skierki, czy może... przez dzieciobójcę? Przygląda się Cathbadowi, który stoi z Krzemymkiem na rękach. Ma przyjazny, choć nieco urażony wyraz twarzy. Niby nie wygląda na mordercę, ale z drugiej strony jak właściwie miałby wyglądać morderca?

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – mówi. – Policja oskarżyła cię o pisanie tych listów.

Twarz Cathbada z miejsca pochmurnieje.

- Policja! Ten sukinsyn Nelson wziął się na mnie. Zaskarżę go z powodu nieuzasadnionego aresztowania.

- No więc napisałeś te listy?

Cathbad uśmiecha się i delikatnie stawia kota na podłodze.

- Sama dobrze wiesz, że nie – odpowiada. – Przecież je czytałaś.

- A skąd o tym...?

- Ten Nelson jest głupszy, niż myśli. Wygadał się. Ciągłe bredził o jakichś archeologicznych terminach. Tylko jedna osoba mogła mu zwrócić na nie uwagę. Zwłaszcza że się przyjaźnicie, prawda? Między wami przepływa jakaś szczególna energia. – Ruth milczy. Może Erik przesadza, mówiąc, że Cathbad ma zdolności magiczne, ale na pewno większość jego przypuszczeń jest trafna. – Znam cię – ciągnie Cathbad poufałym tonem i sadowi się na blacie. – Nie uszło mojej uwadze, jak dziesięć lat temu zakochałaś się w tym rudowłosym chłopaku. I od tamtej pory wiem, jakie są u ciebie objawy tego stanu. W Eriku też się podkochiwałaś, co?

- Co też strzeliło ci do głowy!

- Na pewno tak było. Szczerze ci współczuję, bo cóż mogłaś wskórać, kiedy był przy nim i żona, i kochanka.

- Kochanka? O czym ty mówisz?

- Ta piękna dziewczyna z szalowymi włosami. Jak z renesansowego obrazu. Primavera czy jakoś tak. Pracuje na uniwersytecie. Pamiętam, że sympatyzowała z naszymi poglądami. Uczestniczyła w protestach. Do czasu, gdy zaczęły się poważne zadymy.

- Shona? – szepcze Ruth. – To nieprawda.

- Ejże.

Cathbad patrzy na nią, przechylając głowę, a Ruth pospiesznie szuka w pamięci. Shona i Erik zawsze się lubili. Nawiązując do portretu Waterhouse'a, Erik nazwał ją „Panią z Shalott”. Ruth ma przed oczami scenę, jak kadr z filmu: Shona bawi się szpakowatą kitką Erika. „Prawdziwy koński ogon – mówi przy tym. – Jesteś jak wikiński koń pociągowy”. I lekko muska dłonią jego policzek.

Cathbad uśmiecha się zadowolony.

- Chcę, żebyś oczyściła mnie z zarzutów – mówi.

- Przecież policja nie wniosła oskarżenia.

- No, nie. O morderstwa mnie nie oskarżyli, ale jeżeli nie znajdą zabójcy, to wszyscy i tak będą podejrzewać mnie, nie rozumiesz? Ludzie będą mnie zawsze kojarzyli ze śmiercią tych dwóch dziewczynek.

- A ty ich nie zabiłeś? – Ruth zbiera się na odwagę.
- Cathbad cały czas nie spuszcza oczu z jej twarzy.
- Nie, i chcę, żebyś odnalazła mordercę – mówi.

*Znowu przyszedł. Kiedy ukazuje się jej oczom w otworze wejściowym i schodzi po drabinie, sama już nie wie, czy cieszyć się, czy smucić. Ale jest głodna. Rzuca się na to, co przyniósł – chrupki, kanapki i jabłko – wpycha do ust kolejny kęs, zanim jeszcze zdoła przełknąć poprzedni.*

*- Powoli – słyszy jego głos – bo zwymiotujesz.*

*Nie odzywa się. Prawie nigdy się do niego nie odzywa. Woli mówić, kiedy nikogo nie ma, a przecież w samotności upływa jej większość czasu. Odpowiada wtedy przyjaznym głosem, które rozbrzmiewają w jej głowie i mówią, że zawsze najciemniej jest przed świtem.*

*Przyniósł jej coś dopicia w śmiesznej pomarańczowej butelce. Wypija wszystko do dna, chociaż smak napoju jest dziwny. Przychodzi jej na myśl, czy to przypadkiem nie trucizna, jak jabłko, które wiedźma podała Królownie Śnieżce. Ale jest tak spragniona, że jest jej wszystko jedno.*

*- Przepraszam, że długo nie przychodziłem – mówi. Lecz ona nie zwraca na niego uwagi, tylko zjada ostatni kęs jabłka razem z pestkami. – Przepraszam cię – rozlegają się znowu jego słowa, ale ona ich nie rozumie. Bo „przepraszam” należy do odległej przeszłości, podobnie jak „kochanie” i „dobranoc”. Co właściwie znaczą te słowa? Nie bardzo może sobie przypomnieć. Jednego jest pewna – jeżeli padają z jego ust, to nie wróżą niczego dobrego. Bo on jest niedobry, teraz jest już tego pewna. Kiedyś nie rozumiała, bo on przynosił jej jedzenie, picie i koc do okrycia się w nocy i czasami z nią rozmawiał. Myślała, że jest dobry. Ale skoro trzyma ją w zamknięciu, to widać, że wcale dobry nie jest. Bo inaczej pozwoliłby jej pójść ze sobą, kiedy tak wspina się po drabinie ku niebu. Urosła ostatnio, więc próbowała podskoczyć, by dosięgnąć klapy wjazdu albo zakratowanego okienka, ale nie udało się. Może kiedyś, gdy już będzie wysoka jak... jak to się nazywało... jak drzewo, no właśnie – drzewo. Przeciśnie się wtedy gałązkami przez otwór i sięgnie wysoko, wysoko, tam gdzie śpiewają ptaki.*

*Kiedy nie ma go już przy niej, idzie do kącika, odkopuje kamień i przeciąga sobie po policzku jego ostrą krawędzią.*

## ROZDZIAŁ 20

Gwałtowne pukanie do drzwi budzi Ruth z dziwnych, poplątanych snów. Z trudem zwleka się po schodach, ciągle jeszcze rozespana. W progu stoi Erik w wojskowej kurtce moro i żółtym kapeluszu rybackim.

- Witam, witam – mówi podniesionym głosem, niczym natrętny przedstawiciel agencji turystycznej.
- Zaprosisz mnie na kawę?

Ruth opiera się o framugę. Kto tu zwariował, on czy ona?

– Erik – mówi do niego cicho – co ty tu robisz?

Gość patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Kopiemy – odpowiada. – Dzisiaj ruszają prace.

No oczywiście. Wykopaliska Erika. Te, na które zgodził się Nelson. Ich celem jest rozwiązanie zagadki grobu z epoki żelaza i tajemniczej grobli. Powinny rozstrzygnąć, czy Słone Błota kryją jeszcze jakieś tajemnice.

– Nie wiedziałam, że to dzisiaj – mówi Ruth w drodze do kuchni. Erik idzie za nią i zaciera ręce. Wstał już pewnie wiele godzin temu. Ruth pamięta jego zwyczaj, by w pierwszym dniu prac obejrzeć wschód słońca, a w ostatnim – zachód.

– Tak – rzuca Erik niedbałym tonem. – Nelson postawił warunek, że mamy zacząć po pogrzebie, a ten odbył się bodajże wczoraj, jeśli się nie mylę?

– Owszem. Byłam na nim.

– Ty? – Erik spogląda na nią zdziwiony. – A po co?

– Sama nie wiem – odpowiada, nastawiając wodę. – Czuję się w pewien sposób z tym wszystkim związana.

– Niepotrzebnie – mówi Erik, zdejmując rybackie nakrycie głowy. – Czas, żebyś porzuciła te detektywistyczne mrzonki i skupiła się na archeologii. W tym jesteś naprawdę dobra. Szczerze mówiąc, byłaś jedną z moich najlepszych studentek.

Na początku tej przemowy Ruth poczuła się lekko dotknięta, pod koniec jednak zrobiło jej się cieplej wokół serca. Ale i tak nie zamierza mu odpuścić.

– Archeolodzy są w rzeczy samej detektywami – mówi. – Zawsze to powtarzałeś.

Erik zbywa jej uwagę wzruszeniem ramion.

– My działamy inaczej, Ruthie. Nie zapominaj o tym. Pomogłaś policji swoją wiedzą fachową, ale teraz daj już spokój, bo popadniesz w obsesję.

– W obsesję? O czym ty mówisz?

– Na pewno nie wiesz? – uśmiecha się irytująco, z wyższością, całkiem jak Cathbad. Czyżby rozmawiali na jej temat?

– Nie – odpowiada krótko i odwraca się, żeby nalać kawy. Wkłada również chleb do tosterka. Nie ma zamiaru kopać o pustym żołądku.

– Biedna mała nie żyje – mówi Erik łagodnym głosem. Jego akcent sprawia, że słowa brzmią jak kołysanka. – Została pochowana i odpoczywa w pokoju. A ty już lepiej odpuść.

Ruth patrzy na niego. On siedzi koło okna i uśmiecha się do niej. Słońce rozświetla jego jasne włosy, nadając mu przyjazny, wręcz dobroduszny wygląd.

– Pójdę się ubrać – oznajmia Ruth. – A ty pij kawę.

Gdy Ruth pojawia się przy wykopaliskach, prace trwają już od dłuższego czasu. Sznurkiem rozpiętym na kółkach zaznaczono teren pod planowane trzy wykopy – tam gdzie spoczywały szczątki z epoki żelaza oraz w dwóch miejscach wzdłuż ścieżki na grobli. Archeolodzy i pomocnicy, którzy zgłosili się na ochotnika, pieczołowicie zdejmują torf, wycinając kwadraty o dwuipółcentymetrowym boku. Po zakończeniu wykopalisk ułożą darń z powrotem.

Od czasu prac na terenie kręgu Ruth wie, że kopanie na podmokłych terenach jest trudne i ryzykowne. Po pierwsze, rów poza granicą przypluwów co noc wypełnia się wodą, więc tak naprawdę trzeba go codziennie kopać od nowa, po drugie, przypluw może zaskoczyć przy pracy. Erik wystawiał zawsze

jednego „wartownika od przyptywów”. Bywa, że woda nadchodzi wolno i po cichu, bezszelestnie skrada się po płaskich mokradłach, a innym znów razem ląd zamienia się w morze, zanim ktokolwiek się spostrzeże. Takie szybkie przybory wody mogą odciąć drogę ucieczki w mgnieniu oka.

Również prace prowadzone na granicy mokradła i suchego lądu przynoszą niespodzianki. Chociaż Erik dokładnie wszystko zaplanował, to jednak wierzchnia warstwa gruntu może się w nocy przesunąć, a wtedy nic nie jest pewne. Poza tym archeolodzy szybko się irytują, gdy nie mogą ufać współrzędnym.

Ruth zastaje Erika pochylonego nad najdalej położoną odkrywką. Z powodu niestabilności gruntu jest ona wąska, a brzegi umocniono workami z piaskiem. Dwóch mężczyzn stoi na dnie wykopu i spogląda nerwowo w jego stronę. Jednym z nich jest Bob Bullmore, antropolog i biegły sądowy.

Ruth klęka obok Erika, który skrupulatnie bada jeden z pali.

- Chcesz go wyjąć? – pyta go.
- Ani myślę, jednak boję się, że fale go oblużą, jeżeli będzie bardzo odsłonięty.
- Więc nie chcesz dotrzeć do jego podstawy?
- Jeżeli się tylko da. Ale popatrz, wygląda na przepiłowany.

Ruth ogląda kłodę. Ciągłe przybływy i odpływy zdarły miękkie zewnętrzne warstwy drewna, pozostawiając twardy rdzeń, który jest poszarpany i wygląda groźnie.

- Wydaje się, że to ten sam gatunek drewna, który posłużył do budowy kręgu – zauważa Ruth.

Erik spogląda na nią.

- Tak, będziemy musieli poddać te pale datowaniu.

Ustalanie wieku drewna, czyli dendrochronologia, może być zaskakująco precyzyjne. Drzewu przybrywa jeden słój na rok – szerszy, gdy rok jest wilgotny, węższy, kiedy opadów jest mniej. Tworząc wykres przyrostów rocznych, archeolog może precyzyjnie odtworzyć zmienną historię rozwoju drzewa. Fachowo mówi się o „analizie krzywej przyrostu pierścieni drzewa” (Peter zawsze się podśmiewał z namiętnych terminów opisujących proste czynności). Analiza krzywej przyrostu połączona z metodą węgla radioaktywnego pozwalają ustalić, w którym roku i w jakiej jego porze ścięto drzewo.

Ruth zamierza przyłączyć się do prac w miejscu, gdzie odkryto prehistoryczne szczątki ludzkie. Żywi współczucie dla tej dziewczyny, którą nakarmiono jemiolą, skrępowano i pozbawiono życia. Wyczuwa pewną wspólnotę losów między nią a Lucy i Scarlet. Nie może się oprzeć wrażeniu, że rozwiązując zagadkę dziewczyny z epoki żelaza, rzuci światło na losy dwóch pozostałych ofiar.

Ale przede wszystkim nie posiada się z radości, że znów może kopać. Podobnie jak wtedy, gdy pomagała Nelsonowi w przygotowaniu grobu dla Skierki, czuje, że prosta fizyczna praca pozwala uwolnić się od stresów i rozterek. Ruth zbiera ziemię kielnią, pracuje rytmicznie, nie zważając na strzykanie w kręgosłupie, i stara się nie naruszyć struktury poszczególnych warstw. Po wczorajszych opadach podłoże jest grząskie, lepkie i przesiąknięte wodą.

Poprzedniego wieczoru Cathbad wyszedł od niej, gdy obiecała, że pomoże mu oczyścić się z zarzutów. Była gotowa obiecać mu wszystko, byleby zostawił ją w spokoju. Ciarki ją przechodziły na widok jego czarnoksiężskiej peleryny i uśmiechu pełnego poczucia wyższości. Mimo to nawet podczas pracy wciąż nie może uwolnić się od jego słów: „Szczepie ci współczułem, bo cóż mogłaś wskórać, kiedy była przy nim i żona, i kochanka”.

Czy Erik i Shona naprawdę byli wtedy kochankami? Shona jest bardzo atrakcyjna, a Ruth doskonale wie, że nie ma mężczyzn nieczułych na kobiece wdzięki (wystarczy spojrzeć na Nelsona i Michelle). Ale Erik miał żonę nie tylko piękną, ale także dzielącą jego pasję. Ruth myśli o

Magdzie, którą zawsze lubiła i podziwiała. Żona Erika była dla niej niemal jak przybrana matka, która w odróżnieniu od matki rodzonej nigdy nie mawiała z wyrzutem, że się za nią modli, ani nie kupowała jej bzdurnych prezentów na gwiazdkę. Magda ma oczy błękitne jak morska toń, popielatoblond włosy, zmysłowe kształty opięte swetrem i jasnymi džinsami, a do tego gustowną nordycką biżuterię na szyi i rękach. Z lektur Ruth zapamiętała Freję, boginię myśliwych i muzyków. Freja nosiła święty naszyjnik i miała niezwykły dar przekonywania – taka właśnie jest Magda. Łatwo ją sobie wyobrazić jako wiecznie młodą boginię, dzierżącą świętą kądziel, władną przerwać nić życia. Czy Erik byłby skłonny ryzykować dla Shony utratę tego wszystkiego?

Czy to objaw zazdrości?, pyta samą siebie, nie przestając zdejmować kielnię kolejnych warstw podłoża.

Nie jest to zazdrość o podłożu seksualnym. Zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest w jego typie, a jednak on uważa ją za kogoś ważnego. Czyż na stronie tytułowej *Ruchomych piasków* nie umieścił dedykacji: „Dla Ruth, mojej ulubionej uczennicy”? A teraz okazuje się, że to nie ją lubił najbardziej.

Ruth zbyt energicznie wbija kielnię, co powoduje małe osunięcie gruntu. Pracująca obok dziewczyna w dredlokach obrzuca ją zaskoczonym spojrzeniem.

– Ruth! – rozlega się wołanie.

Ruth z ulgą spogląda w górę, by odpędzić natrętne, nieprzyjemne myśli. Ponieważ stoi na dnie odkrywki, widzi przybysza od dołu: turystyczne buty, nieprzemakalne spodnie, wreszcie kurtka w brązowym kolorze. David.

David klęka na brzegu wykopu.

– Co tu się dzieje? – pyta.

Ruth odgarnia ze spoconego czoła kosmyk włosów zasłaniający jej oczy.

– Prowadzimy prace poszukiwawcze. Badamy miejsce pochówku z epoki żelaza i groblę rytualną.

– Groblę?

– Te wystające z ziemi pale, które mi pokazywałeś. Podejrzewamy, że to rytualna grobla z epoki brązu. Coś w rodzaju szlaku prowadzącego do kręgu.

Ruth spuszcza wzrok. Ma nadzieję, że David nie skojarzy jej z przekazaniem archeologom informacji o palach. I rzeczywiście David koncentruje się na czymś innym.

– Nie podchodźcie tylko do chaty dla ornitologów. Tej najdalej położonej. Gniazduje tam niezwykle rzadka sowa długoucha.

Ta nazwa brzmi tak, jakby David sam ją wymyślił, ale ona słyszy w jego głosie autentyczne zaniepokojenie.

– Dopilnuję, żeby nikt się nie zbliżał do tej chaty – uspokaja go. – Odkrywki biegną na południe.

David zbiera się do odejścia, ale wciąż wygląda na zaniepokojonego. Ruth woła za nim:

– Aha, i dziękuję za opiekę nad Krzemymkiem. Moim kotem.

Prawdę mówiąc, to planowała kupić mu bombonierkę lub inny drobiazg. Na twarzy Davida niespodziewanie zakwita uśmiech.

– Nie ma za co. Jakby jeszcze kiedyś było trzeba, zaopiekuję się nim.

David spogląda w stronę parkingu. Podążając za jego wzrokiem, Ruth zauważa, że przy wjeździe na teren rezerwatu ptaków zatrzymuje się znajomy ubłocony mercedes. Z auta wysiada Nelson, ubrany w dzinsy i znoszony kapelusz firmy Barbour, a potem rusza w stronę odkrywki. Ruth bezwiednie wyciera umorusane ręce o spodnie i próbuje przygładzić włosy.

– Witaj, Ruth.

Ponieważ ma już dość spoglądania na ludzi z dołu, gramoli się z wykopu.

– Cześć.

– Niezły cyrk, co? – mówi Nelson, spoglądając z dezaprobatą na tłum pracujących zapamiętałe archeologów. Akurat wtedy dziewczyna w dredłokach piskliwym głosem intonuje jakąś ludową piosenkę. Nelson się krzywi.

– Nikt tu nie działa na własną rękę – mówi Ruth. – Zresztą sam wydałeś zgodę na prace wykopaliskowe.

– No tak, staram się zaprząć do pomocy, kogo się tylko da.

– Znaleźliście coś na terenie kręgu?

– Nic, zupełnie nic.

Nelson w ciszy spogląda gdzieś daleko poza wyznaczone kołkami miejsca pod wykopy oraz zgrabnie usypane hałdy ziemi – w stronę morza. Jest pewna, że Scarlet myśli o tamtym poranku, kiedy znaleźli ciało.

– Widziałem cię wczoraj na pogrzebie – mówi.

– Tak – potwierdza Ruth.

– Dobrze, że poszłaś.

– Czułam taką potrzebę.

Nelson chce coś jeszcze dodać, gdy nagle tuż obok słyszą znajomy głos mówiący z obcym akcentem.

– Witam, nadkomisarzu...

To Erik.

Na ile Ruth się orientuje, Erik zawyżył rangę, ale Nelson nie protestuje. Wita się z Norwegiem dość przyjaźnie, a po wymianie kilku słów z Ruth obaj panowie oddalają się, pochłonięci rozmową. Nie wiedzieć czemu Ruth czuje narastającą irytację.

Gdy nadchodzi pora obiadowa, jest już znużona i ma wszystkiego dosyć. Najchętniej wymknęłaby się niepostrzeżenie do domu, żeby napić się herbaty i wziąć gorącą kąpiel. Niespodziewanie czyjeś szczupłe dłonie przesłaniają jej oczy.

– Zgadnij, kto to?

Ruth wyswobadza się z uścisku. Poznała zapach perfum. To Shona.

Przyjaciółka siada na trawie obok niej.

– No i jak? – pyta z uśmiechem. – Znaleźliście coś ciekawego?

Shona wygląda jak zwykle bardzo efektownie, chociaż (a może właśnie: dlatego że) wcale o to nie zabiega. Długie włosy upięła w niedbały kok, ma na sobie podniszczone džinsy i puchatą srebrną kurtkę, która tylko podkreśla szczupłość jej

sylwetki. Wyglądałabym w czymś takim jak kołdra na dwóch nogach, myśli Ruth.

– Tylko jakieś monety, nic szczególnego – odpowiada.

– A gdzie Erik? – pyta Shona, zdaniem Ruth trochę zbyt bezceremonialnie.

– Rozmawia z Nelsonem.

– Tak? – Shona unosi brwi. – Myślałam, że oni się nie znoszą.

– Też tak sądziłam, ale najwyraźniej znaleźli wspólny język.

– Ach, ci mężczyźni – stwierdza lekkim tonem Shona i ciaśniej otula się kurtką. – Potworny ziąb. Ile tu jeszcze będziesz?

– Właśnie chciałam pojechać do domu na filizankę herbaty.



- No to na co czekamy?

## ROZDZIAŁ 21

W drodze do domu Ruth zmagą się ze swoim sumieniem. Shona bardzo ładnie wobec niej postąpiła, pozwalając jej u siebie zamieszkać, choć prośba o taką pomoc musiała ją zaskoczyć. A ona nawet jej nie podziękowała, tylko ulotniła się, zostawiając wiadomość na automatycznej sekretarce. Musi jeszcze wrócić po rzeczy. Shona od wielu lat jest jej sprawdzoną przyjaciółką. Gdy Ruth zerwała z Peterem, to właśnie ona wyciągnęła do niej pomocną dłoń i pozwoliła się wypłakać, a w dodatku wypila z nią hektolitry białego wina. Spędzały razem całe wieczory, śmiejąc się, rozmawiając i płacząc. A nawet pojechały razem na wakacje do Włoch, Grecji i Turcji. I po tym wszystkim miałyby narazić ich przyjaźń na szwank, z powodu złośliwych plotek Cathbada?

- Przykro mi, że tak uciekłam bez pożegnania – mówi wreszcie. – Widzisz, po pogrzebie chciałam wrócić do siebie.

Docierają do domu. Otwiera Shonie drzwi.

- Nie ma sprawy – zapewnia ją Shona. – Doskonale cię rozumiem. Ten pogrzeb musiał być okropny.

- Tak – odpowiada Ruth, nastawiając wodę. – Straszne przeżycie. Rodzice Scarlet byli ledwo żywi. A na dodatek ta trumienka... Omal mi serce nie pękło.

- Nic dziwnego – mówi Shona, siadając i zdejmując srebrzystą kurtkę. – Nie ma nic gorszego niż utrata dziecka.

Wszyscy tak mówią, myśli Ruth. Może to i prawda. Nie istnieje większe nieszczęście, niż odprowadzić na cmentarz własne dziecko. To zupełnie wbrew naturze. Na moment powraca do niej obraz rodziców Lucy Downey, jak pod rękę odchodzą po zakończonym pogrzebie. Czy z nimi życie nie obeszło się jeszcze okrutniej? Stracili córkę, a nie mogą jej nawet pożegnać.

Ruth robi herbatę i kanapki, a potem obie siedzą w milczeniu. Na dworze rozpadało się na dobre, co tylko ją utwierdza w postanowieniu, żeby dziś nie wracać na miejsce wykopalisk.

W końcu mówi do Shony:

- Widziałam wczoraj Cathbada.

- Kogo?

- Michaela Malone'a. No wiesz, tego, którego policja zatrzymała w związku z morderstwem Scarlet.

- Jezu! Gdzie go widziałas?

- Tutaj. Przyszedł ze mną porozmawiać.

- Jasna cholera, Ruth – Shona aż drży. – Ja chyba bym padła ze strachu.

- Niby dlaczego? – pyta Ruth, choć w nocy sama spała z nożem pod poduszką. – W końcu nie oskarżyli go o to zabójstwo, przecież wiesz?

- No tak. Ale mimo wszystko. Czego chciał?

- Twierdził, że pragnie odzyskać dobre imię.

- Co za bezczelność.

- Też tak myślę – stwierdza Ruth, która z niezrozumiałych względów czuje się mile połączona.

- I jaki jest ten Cathbad?

Ruth spogląda na Shonę.

- Nie pamiętasz go? A on ciebie pamięta doskonale.

– Co takiego? – Shona wyjęła grzebień i rozpuściła włosy. Spogląda na przyjaciółkę w osłupieniu.  
– Nie pamiętasz go z wykopalisk na terenie kręgu? Był przywódcą druidów. Zawsze nosił taką obszerną fioletową pelerynę. Do dziś pamięta, że z nimi sympatyzowałaś i uczestniczyłaś w protestach.

Na twarzy Shony pojawia się uśmiech.

– Cathbad... No tak. To był taki nieszkodliwy gość.

– Erik twierdzi, że Cathbad posiada magiczną moc.

W tym momencie Shona wybucha głośnym śmiechem.

– Poczcwiwy stary Erik!

– Cathbad twierdzi, że miałaś z nim romans.

– Co takiego?

– To, co słyszysz. Twierdzi, że między tobą a Erikiem coś było, dziesięć lat temu, podczas prac wykopaliskowych.

– Cathbad! Co on tam wie!

– A jaka jest prawda?

Shona nie odpowiada, tylko zawija włosy w ciasny kok i z powrotem wsuwa kłujące grzebień, raniąc sobie przy tym palce. Nie patrzy na Ruth, ale ona zna już odpowiedź.

– Shona, jak mogłaś to zrobić Magdzie? – pyta.

Shona jest zaskoczona gwałtowną reakcją przyjaciółki.

– A ty co się tak nagle o nią troszczysz? Nie masz pojęcia, jak było, a mnie oceniasz. Może pogadamy o tobie i Peterze? Jest żonaty, nie dotarło do ciebie?

– Peter i ja... wcale nie... – jąka się Ruth. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi – rzuca nieskładnie. W głębi duszy czuje jednak, że Shona ma rację. Jej zachowanie trąci hipokryzją. Czy myślała o Michelle, gdy wciągała do łóżka Nelsona?

– Czyżby? – z przekąsem pyta Shona. – Uważasz, że jesteś doskonała, co? Miłość, nienawiść czy poczucie osamotnienia, to wszystko nie ma do ciebie przystępu? A to wcale nie jest takie proste. Ja się w Eriku po prostu zakochałam – dodaje zupełnie innym tonem.

– Naprawdę?

Shona odzyskuje werwę.

– Tak, i to na zabój! Przecież pamiętasz, jaki on był. Nigdy przedtem nikogo takiego nie spotkałam. Uważałam go za mądrego i charyzmatycznego faceta. Byłam dla niego gotowa zrobić wszystko. Kiedy powiedział, że mnie kocha, poczułam się najszcześniejszą kobietą na ziemi.

– Wyznał ci miłość?

– Tak! Dziwi cię to? Myślisz pewnie, że jego małżeństwo z Magdą było idealne. Oprzytomnij, Ruth, każde z nich ma co chwilę jakiś skok w bok. Nie słyszałaś o tym młodym chłopaczku, którego Magda sobie przygruchała, gdy wrócili do Szwecji?

– Nie wierzę.

– Ruth, ależ ty jesteś naiwna! Magda ma dwudziestoletniego kochasia imieniem Lars. Naprawia saunę, a potem wskakuje do jej łóżka. I nie on jeden. Erik nie pozostaje więc dłużny i robi to, na co ma ochotę.

Ruth wygląda przez okno, aby zatrzeć obraz Magdy w objęciach dwudziestoletniego kochanka. Słone Błota niemal zniknęły w szarudze.

– Myślałaś, że byłam dla niego pierwsza? – pyta Shona z goryczą. – W całej Anglii nie brakuje studentek i doktorantek, które mogą się chwalić, że spały z wielkim Erikiem Anderssenem. To jest niemal

wpisane w tok studiów.

Ale nie moich, myśli Ruth. Erik traktował mnie jak przyjaciółkę, koleżankę, obiecującą studentkę. W jego słowach nigdy nie było żadnych erotycznych podtekstów.

– Skoro wiedziałaś, że taki jest – pyta w końcu – po co z nim poszłaś do łóżka?

Shona wzdycha. Nie czuje już gniewu i uszło z niej całe powietrze, zupełnie jak z puchatej kurtki, która leży sflaczała na podłodze.

– Miałam oczywiście nadzieję, że ze mną będzie inaczej. Tak jak inne naiwne, byłam przekonana, że mnie Erik kocha naprawdę. Mówił, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżywał, że jest gotów zostawić Magdę, że się pobierzemy, będziemy mieć dzieci...

Urywa i zagryza wargę.

Raptem Ruth przypomina sobie pierwszą aborcję Shony, kilka miesięcy po zakończeniu prac wykopaliskowych nad kręgiem.

– Tamto dziecko... – zaczyna.

– Było Erika – dopowiada Shona znużonym głosem. – I chyba wtedy ostatecznie sobie uświadomiłam, że żadnych deklaracji nie składał na poważnie. Kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, po prostu się wściekł i zaczął naciskać, żebym zrobiła sobie skrobankę. A ja miałam nadzieję, że się ucieszy z dziecka.

Ruth nie odpowiada. Przypomina sobie, jak Erik mówił o swoich dorosłych dzieciach, że trzeba dać im wolność, pozwolić żyć po swojemu. No cóż, małństwu odmówił prawa do życia. Jako zagorzała zwolenniczka prawa kobiet do decydowania o sobie, Ruth nie potępia Shony za to, co zrobiła. Jednak potępia Erika – za wiarołomstwo, hipokryzję, za jego...

– Biedna Ruth – mówi Shona z dziwnie obojętnym uśmiechem. – Pewnie trudno ci się z tym pogodzić. Tak bardzo go zawsze podziwiałaś.

– Tak – potwierdza ochryłym głosem. – Rzeczywiście.

– Nie podlega dyskusji, że jest wielkim archeologiem – mówi dalej Shona – i mimo wszystko zostaliśmy przyjaciółmi. We troje, z Magdą – kończy ze śmiechem. – Widocznie taki już jest.

– Widocznie – powtarza po niej.

Shona wstaje i podnosi kurtkę. W drzwiach jeszcze się odwraca.

– I nie miej wielkich pretensji ani do mnie, ani do niego – mówi.

Po wyjściu Shony Ruth siada za stołem. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego cała drży. Czy to aż takie niezwykle, że dwoje dorosłych ludzi miało romans? No, racja, Erik był żonaty, ale tak to już bywa, Ruth sama wie o tym aż za dobrze. Dlaczego więc czuje się zawiedziona, zła, z d r a d z o n a ?

Wychodzi na to, że aż do dzisiaj była w Eriku zakochana. Doskonale pamięta dzień, gdy jako magistrantka spotkała go

w Southampton. On wtedy rozbił jej spójny obraz świata, poukładał wszystkie kawałki po swojemu i nadał jej myśleniu zupełnie nowy kształt. Zmieniły się jej poglądy na wszystko: na archeologię, krajobraz, przyrodę, sztukę, stosunki międzyludzkie. Do dziś pamięta, jak powiedział: „Każdy człowiek chce po prostu żyć, oszukać śmierć, osiągnąć nieśmiertelność. Na przestrzeni wieków zawsze tak było. I właśnie dlatego upamiętniamy śmierć pomnikami w taki sposób, by nas przetrwały”.

Czy wielki apetyt na życie daje Erikowi prawo, żeby robić to, na co aktualnie ma ochotę?

Kiedy poznała Magdę, była naprawdę zadowolona. Już myślała, że Erik nie spotka odpowiedniej kobiety, aż tu nagle zjawiła się Magda. Sposób, w jaki siebie traktowali, zawsze budził jej podziw, bo tak

bardzo odbiegał od napuszonej oficjalności, jaką niezmiennie odczuwało się między jej rodzicami. Było dla niej nie do pomyślenia, żeby Erik i Magda mówili do siebie „mamusiu, tatusiu” albo jeździli w niedzielne popołudnia do centrum ogrodniczego. Oni prowadzili takie ciekawe życie – uprawiali wspinaczkę i żeglarsstwo; zimą oddawali się czytaniu i pisaniu, a latem prowadzili prace wykopaliskowe. Ruth ma ciągle w pamięci drewnianą chatę nad jeziorem w Norwegii, posiłki na pokładzie jachtu, gorące kąpiele, kolacje i rozmowy przy winie. Rozmowy. Taki obraz Erika i Magdy zapamiętała. Często rozmawiali, czasem się sprzecali, ale nigdy nie lekceważyli swoich argumentów. Wiele razy przysłuchiwała się, jak z kieliszkiem wina w rękę, pod rozgwieżdżonym niebem Pół nocy próbowali dopasować elementy

swoich jakże odmiennych teorii, by stworzyć nową jakość – możliwie kompletny opis świata. W ich relacji nie zdarzyło się to, o czym wspominał Peter: „Skończyły nam się wspólne tematy”.

Ruth nie jest naiwna. Wie, że na własny użytek stworzyła z Magdy i Erika wyidealizowany obraz rodziców, i dlatego czuje teraz taki zawód. Jeżeli jeszcze do tego podkochiwała się w Eriku, to mamy już klasyczny freudowski przypadek. A najbardziej denerwuje mnie to, że uważałam samą siebie za kogoś wyjątkowego, myśli, patrząc na zalane deszczem bagna. Nawet jeżeli nie podobała się Erikowi, to miał ją za wybitnie uzdolnioną studentkę. Podczas prac na terenie kręgu bez przerwy wspominał o niej. „Ruth to zrozumie, nawet jeżeli nikt poza nią nie da rady”, co miało sugerować, że jest między nimi wyjątkowe porozumienie. Mawiał, że tylko ona ma „archeologicznego nosa”, czyli to coś, czego nie da się wyuczyć. Aprobata w oczach Erika dała jej moc przetrwania wielu trudnych lat, uodporniła na lekceważącą obojętność Phila,niosła pocieszenie, gdy zrealizowanie pomysłu na książkę okazywało się ponad jej siły.

Wie, że to dziecinne, jednak lubi sobie przypominać dowartościowujące opinie Erika, sięga więc po jego książkę, *Ruchome piaski*. Otwiera ją na stronie tytułowej i widzi, co tam napisał, czarno na białym: „Dla Ruth, mojej ulubionej studentki”.

Dłuższą chwilę przygląda się dedykacji. Nagle odnosi wrażenie, że na ścianie pokoju widzi wielki rozmazany czarny cień – poznaje charakterystyczne rogi, ogon i kopyta. Po omacku, zataczając się, podchodzi do biurka, gdzie przechowuje kopie listów dotyczących Lucy Downey. Drżącymi rękami przegląda je wszystkie, aż trafia na dwa napisane odręcznie.

Kładzie je obok dedykacji. Nie ma wątpliwości – to ten sam charakter pisma.

## ROZDZIAŁ 22

Bardzo długo stoi niezdolna do najmniejszego ruchu. Prawie nie oddycha. Jej ciało paraliżuje przenikliwy chłód. Myśl, Ruth, myśl. Oddychaj. Czy to możliwe, że Erik napisał te listy? Że jest nie tylko hipokrytą i notorycznym uwodzicielem, ale również mordercą?

Najgorsze, że już prawie w to uwierzyła. Erik jest przecież prawdziwym fachowcem w dziedzinie archeologii. Zna się na nordyckich legendach i rytuałach z epoki neolitu, a także na symbolice krajobrazu. Przypomina sobie jego melodyjny głos, który tak zawsze lubiła, i historie, które opowiadał przy ognisku – o duchach wodnych, istotach zdolnych zmieniać kształty i o różnych mrocznych siłach. Przechodzi ją zimny dreszcz, gdy wracają do niej słowa, które wypowiedział tego ranka: „Ta biedna mała nie żyje. Została pochowana i odpoczywa w pokoju”. Brzmiały niemal identycznie jak zdania z listów.

Czy to możliwe? Gdy zaginęła Lucy Downey, Erik mieszkał jeszcze w Anglii. Zaginęła wkrótce po

zakończeniu wykopalisk na terenie kregu. Mógł więc osobiście wysłać pierwsze listy. Dopiero osiem lat później wyjechał do Norwegii. Ale czy mógł też wysłać ostatnie listy, te dotyczące Scarlet Henderson? Przecież do Anglii wrócił dopiero w styczniu. A list,

który pokazał jej Nelson, był z listopada ubiegłego roku. „Wciąż pamięta”, skomentował wtedy Nelson. Czy Erik mógł wysłać ten list osobiście, czy może zrobił to jego współnik?

To czyste szaleństwo, myśli Ruth i zeszywniała schyla się, żeby pogłaskać Krzemyka, który mruczy i łasi się do jej nóg. Erik nie zdołałby napisać takich ociekających złem, szyderczych, wręcz perwersyjnych listów. Przecież znany jest z humanitarnych akcji – jako pierwszy zazwyczaj udziela wsparcia strajkującym górnikom albo ofiarom klęsk żywiołowych. Potrafi okazać niezwykłą czułość i troskliwość – jakże ją pocieszał na wieść o tym, że Peter się żeni, albo jak współczuł Shonie po śmierci ojca. Ale z drugiej strony aprobuje rytuał składania ofiary (czy nie tym samym jest chrześcijańska komunია święta?); radzi jej, by po rozstaniu z Peterem wzięła sobie kochanka (od razu ci ulży); pocieszając Shonę po śmierci ojca, jednocześnie sypia z nią i namawia do usunięcia ich wspólnego dziecka. Erik jest amoralny, powszechnie uznane normy postępowania go nie dotyczą – i to właśnie czyni go atrakcyjnym. Ale czy również oznacza, że jest zdolny popełnić niewyobrażalną zbrodnię?

A jeżeli napisał listy, to czy zamordował również obie dziewczynki? Zamyślona daje Krzemykowi jedzenie i dopiero po chwili zauważa, że karma wysypuje się na podłogę. Kocisko czym prędzej pędzi do miski. Ruth przypomina sobie rozmowę z Erikiem na temat zwłok z epoki żelaza. Zapytała go wówczas: „Kto mógł zrobić taką okropną rzecz? Zabić dziecko dla jakiegoś rytuału?”. A Erik spokojnym głosem odpowiedział: „Spójrz na to w inny sposób. Może tak było lepiej? Oszczędzono tej małej rozczarowań związanych z dorastaniem”. Uśmiechnęła się na te słowa, ale równocześnie przeszedł ją dreszcz. Czyżby Erik zabił obie dziewczynki, aby im oszczędzić rozczarowań związanych z dorastaniem?

Ma już dosyć tych rozmyślań. Chwyta płaszcz, torebkę i mimo deszczu wychodzi. Musi porozmawiać z Shoną. Kiedy jednak dociera na miejsce, Shony jeszcze nie ma. Ocieężała siada na progu, jest zbyt zmęczona, by sobie przypomnieć, że ma klucz. Siedzi i patrzy na ludzi robiących zakupy w Tesco Express. Przychodzi jej do głowy, że to musi być cudowne – nie mieć innych zmartwień i myśleć tylko o tym, czy na kolację zrobić kotlety, czy może kielbaski, i czy wystarczy ziemniaków na frytki. Jej własne życie nabrało tak ciemnych i ponurych barw, że gdyby było filmem, na pewno nie oglądałaby go nocą. Kiedy to się stało? Gdy znaleźli zakopane w torfie ciało Scarlet Henderson? Gdy po raz pierwszy ujrzała stojącego na uniwersyteckim korytarzu Nelsona? A może gdy jako studentka pierwszego roku dostała informację: opiekun naukowy – Erik Anderssen?

Kiedy wreszcie pojawia się Shona – długonoga, w srebrzystej kurtce, idąca rozkołysanym krokiem, z torbą firmy Thresher i wypożyczonym filmem DVD – wygląda tak niewinnie, że Ruth nabiera przekonania, iż jej podejrzania są fałszywe. Ona nie może być w to zamieszana. Jest jej drogą i oddaną przyjaciółką, trochę tylko szaloną i roztrzępaną. Ale kiedy Shona dostrzega Ruth, wydaje się przestraszona jak lis przydybany w podmiejskim ogródku. Jednak prawie natychmiast na jej oblicze powraca czarujący uśmiech. Wskazując na torbę i DVD, mówi:

- Szykuje się babski wieczór. Przyłączysz się?
- Musimy porozmawiać.

Teraz Shona jest już przestraszona nie na żarty.

- Dobrze – mówi, otwierając drzwi. – Wchodź.

Ruth nie pozwala jej nawet spokojnie zdjąć płaszcza.

- Czy Erik pisał te listy?

– Jakie listy? – pyta zdenerwowana Shona.

Ruth lustruje pokój: lśniąca podłoga, modne dywaniki, zdjęcia w ozdobnych ramach, patchworkową narzutę na sofę, stos najnowszych powieści na stole, półki pełne zaczytanych klasyków – od Szekspira po T.S. Eliota. Wreszcie skupia wzrok na Shonie.

– Boże – mówi – to ty mu pomogłaś, prawda?

Shona rozgląda się, jakby chciała uciec, i znowu staje się podobna do lisa w potrzasku. Nagle zrezygnowana opada na sofę i zakrywa twarz rękoma. Ruth podchodzi do niej.

– Maczałaś w tym palce? – mówi. – Przecież sam nie wpadłby na to, żeby cytować T.S. Eliota, no nie? A ty się znasz na literaturze. I katolickie wychowanie pewnie też ci trochę pomogło. On wymyślał to, co wiąże się z archeologią i mitologią, a ty całą resztę. Niezły duecik. Co?

– To wcale nie było tak – mówi Shona z rezygnacją.

– Nie? A jak?

Shona patrzy na nią. Włosy opadają jej na oczy, w których widać łzy, ale Ruth to nie wzrusza. Przerabiała to już wiele razy i więcej nie da się nabrać.

– To przez Nelsona – mówi Shona.

– Co takiego?

– Erik go nienawidzi – Shona trze oczy grzbietem dłoni. – Więc pisał te listy, żeby utrudnić mu pracę, sprowadzić na fałszywy trop. Chciał go w ten sposób ukarać.

– Za co? – szepcze Ruth.

– Za Jamesa Agara. To był student Erika. Z Manchesteru. W czasie rozruchów w związku z podwyżką podatków grupa studentów zaatakowała policjanta, co ten przyplacił życiem. James miał bardzo luźne związki z tą grupą. Był niewinny, ale Nelson go zrobił.

– Kto ci to powiedział? Erik?

– Tajemnica poliszyneła. Wszyscy o tym wiedzieli. Nawet policja. Nelson potrzebował kozła ofiarnego, więc wziął się na Jamesa.

– Nie zrobiłby tego – mówi Ruth, a chwilę później zastanawia się, czy aby na pewno.

– Och, wiem, że go lubisz. Erik nawet twierdzi, że Nelson zupełnie ci zawrócił w głowie.

– Co ty nie powiesz? – Wbrew najlepszym chęciom kąśliwość tej uwagi dotyka ją do żywego. – A tobie Erik nie zawrócił w głowie, co?

– To prawda – przyznaje Shona zmęczonym głosem. – Miałam obsesję na jego punkcie i byłam gotowa zrobić dla niego wszystko.

– Nawet pomogłaś mu napisać listy.

Shona patrzy na nią i rzuca wyzywająco:

– Tak, nawet to.

– Ale dlaczego? Przecież tu chodzi o dochodzenie w sprawie zabójstwa. Najprawdopodobniej pomogłaś w ten sposób mordercy.

– To Nelson jest mordercą – odcina się Shona. – James Agar zmarł w więzieniu rok po aresztowaniu. Popełnił samobójstwo.

Ruth przypomina sobie wiersz Cathbada zatytułowany *Pamięci Jamesa Agara*. Widzi twarz Nelsona, który czyta nagryzmołone przez Cathbada linijki. Przychodzi jej na myśl zamknięta szafa w przyczepie Cathbada.

– A Cathbad? – pyta wreszcie. – Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Shona wybucha lekko histerycznym śmiechem.



- Nie domyśliłaś się? Był listonoszem.

## ROZDZIAŁ 23

Nelson miał trudny dzień. Ale prawdę mówiąc, jego życie to prawie nieprzerwany ciąg potyczek o zachowanie stanowiska, prób skłonienia do wysiłku coraz bardziej zrezygnowanych kolegów oraz przekonania Michelle, że nie wraca do domu, bo właśnie próbuje złapać mordercę. Wmówił sobie, że wczorajszy pogrzeb Scarlet to najgorsze, co mogło się zdarzyć, i teraz może już być tylko lepiej. Musiał patrzeć na białą trumnę, na przestraszone rodzeństwo Scarlet ubrane w czarne stroje, a także po raz kolejny był zmuszony spojrzeć w oczy rodzicom Lucy Downey z poczuciem, że bardzo ich zawiodł. A na koniec przyszło mu jeszcze wobec całego zgromadzenia odczytać słowa o zmartwychwstaniu i życiu. W tłumie żałobników dostrzegł Ruth i zastanawiał się, czy ona także sobie pomyślała, że autor listów byłby z tego zadowolony.

Myśl o Ruth nie daje mu spokoju. Wie, że nie powinien był iść z nią do łóżka. Zachował się nieprofesjonalnie i niemoralnie. Zdradził Michelle, którą przecież kocha. Prawdę mówiąc, zrobił to już wcześniej dwa razy, pociesza się jednak, że były to nic nie znaczące epizody. Czy wobec tego historia z Ruth to coś poważniejszego? Ona nie jest nawet w jego typie. Ale tamta noc, trzeba przyznać, była wyjątkowa. Przez moment wydawało mu się, że Ruth rozumie go tak, jak Michelle nigdy by nie umiała. Sprawiała wrażenie, że nie tylko go rozumie, ale też wybacza mu i oddaje się z zaufaniem, które jest wręcz rozczulające. Dlaczego tak postąpiła? Co w nim widzi? Daleko mu przecież do niej intelektualnie. Ona pewnie gustuje w zniewieściałych profesorach, specjalizujących się w ceramice z epoki żelaza, a nie w prostych policjantach mówiących z północnym akcentem.

Dlaczego się więc z nim przespała? To ona wykonała pierwszy krok, powtarza sobie Nelson po raz setny. Wina nie leżała wyłącznie po jego stronie. Może jedynie przypuszczać, że Ruth, podobnie jak on, poczuła się przytłoczona tym wszystkim – odnalezieniem zwłok Scarlet, wizytą u rodziców dziewczynki. Jedyną ucieczką okazał się prosty, niewysublimowany seks. Musi jednak przyznać, że chyba jeszcze z nikim nie było mu tak dobrze.

Nie ma pojęcia, jak właściwie z nimi jest. Ona nie zalicza się przecież do tych kobiet, które robią cklive sceny, chodzą za facetem, obiecują wierność do grobowej deski i błagają, żeby odszedł od żony. Od tamtej pory rozmawiał z nią kilkakrotnie przez telefon i za każdym razem odnosiła się do niego z sympatią, lecz mówiła spokojnym, raczej oficjalnym tonem, mimo że bez wątplenia trudne przeżycia nie dawały jej spokoju. Robi to na nim wrażenie. Jest twarda, jak on sam. Kiedy odwiedził ją wczoraj na terenie odkrywki, była wręcz chłodna. Przyglądał się jej i odniósł wrażenie, że praca pochłania ją bez reszty. Początkowo nie zauważyła nawet jego obecności. Sam się sobie dziwi, ale miał wtedy ochotę, by na niego spojrzęła, pomachała ręką, wyskoczyła z wykopu, podbiegła i zarzuciła mu ramiona na szyję. Oczywiście nie uczyniła ani jednej z tych rzeczy. Po prostu dalej robiła swoje, podobnie zresztą jak i on. Tak się powinien zachować rozsądny, dorosły człowiek.

Nawet nieźle mu się rozmawiało z tym Erikiem Anderssenem. To typowy stary hipis, o wiele już za stary na kitkę i skórzane bransoletki. Jednak powiedział Nelsonowi kilka ciekawych rzeczy. Okazuje się, że pod Słonymi Błotami kryją się resztki prehistorycznego lasu. Dlatego właśnie w wielu miejscach można natrafić na intrygujące pnie i kłody. Znaleźli nawet drewno, które dotarło tu aż z terenów Ameryki Północnej. Anderssen opowiedział mu też o rytuałach. „Weźmy na przykład obyczaje związane z

pochówkiem. Te, które dotyczą samych zwłok, jak też drewnianych trumien oraz kamiennych cmentarzysk”. Nelson poczuł wtedy nieprzyjemny dreszcz na myśl o trumnie Scarlet – niewielkiej drewnianej skrzynce, w której wyruszyła w ostatnią podróż.

Ledwo wrócił z archeologicznej odkrywki, odwiedził go sam szef. Nadinspektor Whitcliffe jest typowym absolwentem akademii policyjnej, który bardzo sobie ceni wyjściowe mundury i eleganckie buty. W jego obecności Nelson czuje się zawsze kiepsko ubrany i nie dość schludny. Podobnie jak przed laty w szkole ma wrażenie, że jego własne stopy i dłonie są monstrualnych rozmiarów. A mimo to nie pozwala Whitcliffowi sobą pomiatać. Uważa siebie za dobrego gliniarza i wie, że jego przełożony jest tego świadom. Dlatego nie ma zamiaru zostać w tym śledztwie kozłem ofiarnym.

– A, to ty, Harry – powiedział Whitcliffe takim tonem, jakby Nelson stawił się właśnie na rozkaz, choć wizyta była całkiem niezapowiedziana. – Poszedłeś się trochę rozejrzeć?

– Sprawdziałem pewien trop. – Nelson za żadne skarby nie dodałby na końcu „nadinspektorze”.

– Musimy pogadać, Harry.

Whitcliffe usiadł obok biurka Harry'ego i dobitnie dał do zrozumienia, kto tu jest przełożonym.

– Powinniśmy wydać kolejne oświadczenie.

– Ale nie za bardzo jest co oświadczać.

– I w tym właśnie problem, Harry – westchnął nadinspektor – że musimy mieć coś ciekawego do powiedzenia. Dziennikarze chcą nam skoczyć do gardeł. Aresztowałeś Malone'a, a teraz go wypuściłeś...

– Za kaucją.

– Zgoda, za kaucją – rzucił z wyraźnym rozdrażnieniem Whitcliffe. – Nie zmienia to jednak faktu, że nie masz wystarczająco mocnych dowodów, aby postawić mu zarzut morderstwa. A innych podejrzanych też nie widać. Obok relacji z pogrzebu tej małej w mediach musi się też ukazać jakiś komunikat, że panujemy nad sytuacją.

Pogrzeb tej małej. Whitcliffe wziął w nim, rzecz jasna, udział. Miał elegancki czarny krawat i z przejęciem wygłaszał w stronę rodziców Scarlet słowa otuchy. Ale dla niego było to kolejne zadanie służbowe, próba ograniczenia rozmiarów porażki. Po powrocie do domu, w przeciwieństwie do Nelsona, nie miał z pewnością ataku nudności.

– Ja panuję nad sytuacją – odparł Nelson – i od miesięcy konsekwentnie prowadzę tę sprawę. Przeczesałiśmy całe Słone Błota, kawałek po kawałku...

– Słyszałem, że podobno pozwoliłeś archeologom na rozpoczęcie wykopalisk.

– A widział ich pan przy pracy? Oni przesiewają każdą garść ziemi. Metodycznie, solidnie, niczego nie przeoczą. Nasza ekipa dochodzeniowa by tego tak dokładnie nie zrobiła. Jeżeli tam jest cokolwiek ciekawego, oni to znajdą.

Whitcliffe uśmiechnął się. Tak pod nosem i z wyrozumiałością. Nelson miał ochotę go uderzyć.

– Widzę, Harry, że stałeś się entuzjastą archeologii.

Nelson chrząknął.

– W tym, co mówią, jest dużo niestworzonych dyrdymałów, ale nie da się ukryć, że tak w ogóle to znają się na rzeczy. Lubię ich styl pracy. Wszystko jak w zegarku. Cenię perfekcyjną organizację.

– A co z tą Ruth Galloway? Wygląda na to, że kobieta się mocno angażuje.

Nelson podniósł wzrok, zaniepokojony.

– Pani doktor Galloway sporo nam pomaga.

– To ona odnalazła zwłoki.

– Stworzyła pewną hipotezę i pozwoliłem, by ją zweryfikowała w praktyce.

– A ma jeszcze może jakąś w zanadrzu? – Whitcliffe znowu się uśmiechnął.

– Wszyscy mamy – powiedział Nelson, podnosząc się z miejsca. – Łatwo jest tworzyć kolejne, ale nam są potrzebne twarde dowody.

Wie, że cierpliwość Whitcliffe'a jest na wyczerpaniu. Będzie więc musiał wydać oświadczenie dla mediów, tylko co u licha ma w nim zawrzeć? Malone był jedynym podejrzanym i przez chwilę zdawało się, że to obiecujący ślad. Pasował, jak by to ujął Whitcliffe, do „profilu przestępcy”. Miał powiązania z rodziną Hendersonów, był typem faceta, który nigdzie nie zagrzewa miejsca na dłużej, no i głowę pełną tych bzdur w stylu New Age – podobnie jak autor listów. A potem znaleźli ciało Scarlet z licznymi śladami DNA. Problem jednak w tym, że ślady te nie zgadzały się z próbkami pobranymi od Malone'a. Negatywny wynik analizy DNA uniemożliwił podążanie tym tropem. Nelson musiał wypuścić Malone'a, oskarżając go jedynie o utrudnianie śledztwa.

Scarlet została skrepowana, zakneblowana i uduszona. Potem zaniesiono jej zwłoki na teren kręgu i pochowano w torfowisku. Czy morderca musiał być świadom tego, że zakopuje ciało w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się rytualny krąg? Ruth stwierdziła, że istnieje ścieżka, rytualna grobla czy jakoś tak, która prowadzi wprost do miejsca pochówku. Czy oznacza to, że morderca chciał ułatwić policji zadanie? Może cały czas przygląda się dochodzeniu i nie może wprost opanować śmiechu? Z doświadczenia Nelson wie, że mordercą jest często ktoś spośród znajomych samej ofiary lub jej rodziny. Jak bliskich znajomych? Czy esemesy do Ruth także wysłał zabójca? Czyżby i ją śledził? Nelson mimo woli czuje, że cierpie na nim skóra. Jest już późno i w dziale dochodzeń nie ma żywej duszy.

Zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli nie znajdą mordercy Scarlet, to cała wina spadnie na niego. Wie też, że media lada moment połączą ten przypadek ze sprawą Lucy Downey. Nie mają oczywiście pojęcia o listach, lecz jeżeli ten szczegół wyjdzie na jaw, jego dni są policzone, co z resztą nie bardzo go w tej chwili martwi. Nie poświęca wystarczająco dużo czasu mediom i to jest jeden z powodów, dla których, wbrew oczekiwaniom Michelle, nie uzyska awansu na szefa policji, choć tak się przykłada do pracy. Nie, nie martwi go to. Chce jedynie odnaleźć zabójcę ze względu na rodziny Scarlet i Lucy. Chce tego drania unieszkodliwić na zawsze. Nie przywróci to wprawdzie dziewczynkom życia, ale przynajmniej sprawiedliwości stanie się zadość. To brzmi trochę jak napuszony cytat z Biblii, jednak jeśli się głębiej zastanowić, we wszystkich działaniach policji chodzi właśnie o sprawiedliwość. Chronić niewinnych, karać tych, którzy zasługują na karę. Święty Harry Mściciel.

Odgłosy z parteru sprowadzają go na ziemię. Słyszy sierżanta z recepcji. Brzmi to jak przepychanka. Może powinien sprawdzić, o co chodzi? Nelson wstaje i rusza do drzwi. Zderza się ze swoją biegłą, doktor Ruth Galloway.

– No, co z tobą? – pyta Nelson, zatrzymując ją oburącz i próbując uspokoić.

– Wszystko w porządku. – Ruth odskakuje jak od zadumionego. Przez chwilę mierzą się nawzajem wzrokiem. Ruth wygląda okropnie – ma zmierzwione włosy i płaszcz założony na lewą stronę. Chryste, myśli Nelson, może ona jest rzeczywiście stuknięta? – Przepraszam – dodaje, zdejmując przemoczone okrycie – ale musiałam przyjść.

– Co się stało? – pyta inspektor spokojnym tonem i wraca za biurko.

W odpowiedzi Ruth rzuca na biurko książkę i kartkę papieru. Nelson natychmiast spostrzeża, że to kopia jednego z listów. Książka z niczym mu się nie kojarzy, ale Ruth wskazuje na pierwszą stronę, gdzie widać odręczny wpis.

– Zobacz! – mówi przynaglającym tonem.

Aby ją uspokoić, patrzy posłusznie. Potem jeszcze raz.

- Kto to napisał? – pyta cicho.
- Erik. Erik Anderssen.
- Jesteś pewna?
- Oczywiście. A poza tym jego kochanka to potwierdza. To on pisał te listy.
- Jaka kochanka?
- Shona. Moja... koleżanka z uniwersytetu. Oni są parą. Właściwie to byli. Potwierdza, że on to pisał, z jej pomocą.

- O Boże. Ale dlaczego?
- Bo on cię nienawidzi. Za Jamesa Agara.
- Jamesa Agara?
- Wiesz, tego studenta oskarżonego o zabójstwo policjanta.

Wielu rzeczy się spodziewał, lecz nie tego. James Agar. Zamieszki wywołane podwyżką podatku. Tłumy nacierają na policję z pięciu stron, w powietrzu chmura gazów łzawiących, wokół transparenty. Policjanci próbują utrzymać zwarty szyk, studenci jednak pluja im w twarz. Widzi uliczkę, gdzie znaleziono zwłoki Stephena Naylora. Miał za sobą dwa miesiące służby, dwudziestodwulatek, zadźgany kuchennym nożem. James Agar trzymał w ręku zakrwawiony nóż, ale zachowywał się tak, jakby go chwycił zupełnie bezwiednie.

- James Agar był winny – mówi Nelson bezbarwnym głosem.
- W więzieniu popełnił samobójstwo – dodaje Ruth. – Erik obwinia ciebie. James był jego studentem. On uważa, że wrobiłeś Agara.
- Bzdury. Były dziesiątki świadków. Agar był winny bez cienia wątpliwości. Chcesz powiedzieć, że Anderssen napisał listy, cały ten... stek ohydnych bzdur... z powodu jakiegoś studenta?
- Tak twierdzi Shona. Mówi, że Erik z nienawiści próbował ci przeszkodzić w rozwiązaniu zagadki zniknięcia Lucy Downey. Uznał, że w ten sposób skieruje śledztwo na ślepy tor, podobnie jak nagrania wysłane w sprawie Kuby Rozpruwacza z Yorkshire sprawiły, że policja podjęła fałszywy trop.

- Chciał, żeby morderca uniknął kary?
- On ciebie uważa za mordercę.

Ruth mówi to wszystko możliwie obojętnym głosem, by nie zdradzić własnej opinii. Nagle Nelsona ogarnia gniew i myśli sobie, że Ruth, Erik i Shona to jedna uniwersytecka klika, która się nawzajem wspiera, jak to zawsze bywa z lewakami, i bierze stronę przestępców, zamiast policji.

- I ty pewnie się z nim zgadzasz – mówi z goryczą.
- Ja tamtej sprawy zupełnie nie znam – wyjaśnia słabym głosem. Rzeczywiście robi wrażenie przemęczonej. Nelson zauważa, jak bardzo jest blada i roztrzęsiona. Spuszcza więc trochę z tonu.
- A co z Malone'em? – pyta. – Tym wierszokletą od żałoby po Agarze. Pamiętasz? Napisał o nim wiersz i dał mi go do przeczytania, gdy poprosiłem o próbkę charakteru pisma.
- Cathbad był przyjacielem Jamesa Agara – wyjaśnia Ruth. – Studiowali razem w Manchesterze.
- Miał coś wspólnego z listami?
- Tak, wysyłał je. Erik pisał listy z pomocą Shony, a Cathbad wysyłał je z różnych miejsc. Pamiętasz?

Sam mówił, że jest listonoszem.

- A te ostatnie? Anderssen był chyba za granicą.
- Erik przekazywał je mailem do Cathbada, a ten wszystko drukował i wysyłał pocztą.
- Rozmawiałaś z Anderssenem?
- Nie – Ruth spuszcza wzrok. – Poszłam do Shony, a od niej do ciebie.

– A dlaczego nie wprost do Anderssena?

Ruth spokojnie patrzy Nelsonowi w oczy.

– Bo się go bałam – wyjaśnia.

Nelson nachyla się do Ruth i kładzie dłoń na jej dłoni.

– Ruth, myślisz, że Anderssen zabił Lucy i Scarlet? A Ruth odpowiada tak cicho, że ledwo ją słyszeć.

– Tak.

*Znowu słyszy hałas, lecz tym razem nie jest zaskoczona. Kuca i chwyta kamień, gotowa rzucić się w stronę wjazdu, gdy tylko zostanie uchylona kłapa. Kiedy on schodzi w dół, niosąc jedzenie, ona wpatruje się w jego potylicę. Kiedy on uklada na ziemi talerze, ona myśli, które miejsce będzie najlepsze. Czubek głowy, tam gdzie włosy robią się coraz rzadsze? Kark, czerwony i okropny? Odwraca się i spogląda na nią, a ona myśli o twarzy, o miejscu między oczami, o okropnych, rozchylonych ustach, o paskudnej grdyce na szyi.*

*Ogląda ją, czego ona bardzo nie lubi. Zagląda do buzi, maca mięśnie ramion, obraca ją dookoła, a potem ogląda stopy – jedną i drugą.*

– Rośniesz – mówi. – Potrzebujesz nowych ubrań.

*Ubranie. To słowo o czymś jej przypomina. Kojarzy się z zapachem, tak. Delikatnym i miłym zapachem. Z czymś miękkim i jedwabistym, muskającym jej twarz i gładkim w dotyku. Ale on mówi o tych ubraniach, które teraz ma na sobie: długiej drapiącej bluzce i spodniach, z których nagle wyrosła. Nogawki odslaniają łydki – blade jak gałązka pod korą. Wyglądają tak, jakby miały jej nie udźwignąć. Wszystko jest jednak w porządku. Cały czas się rusza, chodzi po pomieszczeniu albo dookoła, drepcze w miejscu. Wie, że już niedługo będzie musiała naprawdę uciekać.*

*Obcina jej paznokcie śmiesznym czerwonym scyzorykiem, który wyciąga z kieszeni. Też by chciała taki mieć. Gdyby miała, toby mogła... Ale kręci się jej w głowie, musi więc przestać myśleć.*

– Nie przejmuj się tymi hałasami z zewnątrz – uspokaja ją. – To tylko takie... zwierzęta.

*Zwierzę. Kucyk, pies, kot, królik, pajaczek z wierszyka. Nie odzywa się, bo w kieszeni wyczuwa kamień. Lubi się nim leciutko ranić.*

*Spogląda na nią.*

– Dobrze się czujesz? – pyta.

*Nie odpowiada. Zwiesza głowę, żeby go nie widzieć. Ma długie włosy, pachnące kurzem. Czasami obcina jej włosy tym samym scyzorykiem. Przypomina to bajkę o kimś, kto uciekł przez okno, spuszczając się na włosach. Ale czy ona ma wystarczająco długie włosy, by zrobić z nich drabinkę? Chyba nie. To się zdarza tylko w bajkach. A uciezki? Też tylko w bajkach?*

*Więc milczy. A kiedy on odchodzi, pomieszczenie wypełnia cisza. Aż dudni. Aż boli ją głowa.*

## ROZDZIAŁ 24

Ruth siedzi w biurze Nelsona, przed nią stoi kubek lurowatej kawy. W pokoju o wysokim suficie panuje chłód. Wciąż ma na sobie workowate spodnie wojskowe, które zakłada zawsze do prac wykopaliskowych, lecz w domu niepotrzebnie zdjęła gruby sweter. Wydaje jej się, że upłynęło kilka dni. Jej płaszcz jest zbyt cienki i nadal mokry. Żałuje, że nie wzięła sztormówki albo ciepłej kurtki. Bierze w dłonie plastikowy kubek. Przynajmniej jest ciepły.

Nelson wyszedł, żeby wysłać policjantów, którzy zaarrestują Erika. *A r e s z t u j ą E r i k a*. Te słowa brzmią nieprawdopodobnie; Erik jest podejrzany o morderstwo, a Ruth przyczynia się do jego zatrzymania. To jakieś szaleństwo, koszmar. Ma wrażenie, że jeszcze kilka minut temu siedziała w swoim domu, przygotowywała się do wykładów, narzekała na matkę, słuchała Radio 4, a teraz raptem jest świadkiem jakiegoś dramatu z morderstwem i zdradą w rolach głównych. Czuje się, jakby wcisnęła niewłaściwy guzik na pilocie do telewizora. Wiele by teraz dała, żeby się z powrotem przełączyć na nudny program o planowaniu upraw.

Nelson wpada do pokoju w towarzystwie Judy, policjantki, którą Ruth poznała na pogrzebie.

– Dobrze – mówi, chwytając kurtkę – no to chodźmy. Ja pojedę w pierwszym wozie z sierżantem Cloughem. Ruth, ty w drugim z Judy. Pod żadnym pozorem nie wolno ci wysiadać, rozumiesz?

– Tak – odpowiada Ruth lekko nadąsanym głosem. Chce uświadomić Nelsonowi, że nie podlega jego rozkazom.

Samochody ruszają w ciemnościach. Ciągłe pada. Lekki deszczyk mieni się w świetle reflektorów.auta wyjeżdżają z King's Lynn i podążają nadbrzeżną drogą, mijając opustoszałe parkingi dla przyczep turystycznych oraz hoteliki z pozamykanymi okiennicami. Ruth opiera czoło o zimną szybę i przypomina sobie pierwsze wrażenia z Norfolku, kiedy przyjechała tu latem z namiotem i śpiworem. Z okien samochodu Magdy i Erika późnym popołudniem oglądała Słone Błota w pełnej krasie, nie kończące się piaszczyste plaże i cienką niebieską wstążkę morza na linii horyzontu. Czyż mogła sobie wtedy wyobrazić takie zakończenie? Siedzi oto w pędzącym radiowozie i jedzie, by swojego niegdysiejszego mentora oskarżyć o morderstwo...

Wóz Nelsona zatrzymuje się przed niepozornym nadmorskim hotelikiem. Choć nazywa się on Sandringham, to jednak jakiegokolwiek podobieństwo do królewskiej rezydencji o tej samej nazwie istnieje tylko w bujnej wyobraźni właściciela. Budynek jest przykładem typowego nadmorskiego kiczu, jak zauważa Ruth. Zasłony z sieci, krasnale w ogródku, witraż nad głównym wejściem. Nelson i sierżant wchodzą po obłożonych dziwaczными płytkami schodach, a Clough z impetem naciska dzwonek. Na tablicy widnieje napis: „Pensjonat Sandringham – noclegi ze śniadaniem, pokoje z łazienkami i kolorową telewizją. Domowe obiady. Wolne miejsca”.

Ruth kuli się w drugim samochodzie. Co sobie pomyśli Erik, kiedy zajrzy przez szybę i zobaczy ją w środku? Czy uzna, że go zdradziła? Bo ona, pomimo okoliczności, uznaje swoje postępowanie za zdradę. Oddała przecież Erika w ręce Nelsona. Czuje się jak Judasz.

Dochodzi dziesiąta i już tylko w jednym oknie pensjonatu pali się światło. Na piętrze, dokładnie nad głównym wejściem. Ruth przypomina sobie, jak Erik mówił, że jest jedynym gościem – w końcu luty to nie wakacje. Czy to jego pokój? Czy pracuje w nim właśnie nad artykułem o „systemie upraw w epoce brązu”?

Ruth dostrzega, że otwierają się drzwi. Staje w nich Nelson. Jest zajęty rozmową z kimś, kto te drzwi otworzył. Ruth wyobraża go sobie w scenie niczym z filmu sensacyjnego, jak wymachując legitymacją i krzyząc: „Stać! Policja!”, taranuje drzwi. Ale rzeczywistość nie spełnia jej oczekiwań. Drzwi zamykają się, a Nelson i Clough powoli wracają do samochodu.



Nelson wsuwa głowę przez okno. Opiera rękę o framugę drzwi, bardzo blisko Ruth, a ona z trudem tłumi szaloną potrzebę dotknięcia jego dłoni.

- Wyjechał – mówi Nelson.
- Na dobre? – pyta Judy, odwracając się na przednim siedzeniu.
- Na to wygląda. Pokój jest pusty. Zostawił tylko czek z należnością.

Przez moment Ruth odczuwa niewytłumaczalną radość z tego, że Erik nie uciekł bez uregulowania rachunku. Potem uświadamia sobie, że jest on być może mordercą, a to chyba coś gorszego od niepłacenia za mieszkanie.

- I co teraz? – pyta Judy.
- Nelson patrzy na Ruth.
- Co pani myśli, doktor Galloway?

Ruth unika jego wzroku.

- Sądzę, że może być u Shony.

Dom Shony tonie w ciemnościach. Ruth przypuszcza najpierw, że jej przyjaciółka dokądś poszła (z Erikiem?), ale po kilku minutach ubrana w szlafrok Shona otwiera drzwi. Jest rozczochrana i na odległość widać, że lekko wstawiona.

Tym razem do drzwi podchodzi Judy. Może właśnie przy tego rodzaju okazjach, podobnie jak do rozmów o utracie bliskiej osoby, częściej oddelegowywane są funkcjonariuszki. Policja uchodzi za mniej światłą część społeczeństwa, za swoistych neandertalczyków.

Shona robi krok w tył, aby wpuścić Judy. Ruth, która jest teraz sama w samochodzie, zaczyna drżeć. Aż podskakuje, gdy od strony pasażera otwierają się drzwi. Ukazuje się w nich Nelson.

- Wszystko w porządku?
- Tak – odpowiada, podpierając brodę, aby nie szczerkać zębami.
- Jesteś zziębnięta. Poczekaj.

Zdejmuje grubą kurtkę policyjną i jej podaje.

- Załóż ją.
- A ty?
- Mnie nie jest zimno – wzrusza ramionami. – Zakładaj.

Ruth z wdzięcznością zakłada kurtkę. Pachnie samochodem, ale można też wyczuć lekką woń wody po goleniu, której używa Nelson. A właściciel kurtki, choć w samej koszuli, nie wygląda na zmarzniętego. Przesłupuje tylko z nogi na nogę, niecierpliwie czekając na powrót Judy. Ruth przypomina sobie, jak podczas ich pierwszego spotkania Nelson nieomal biegiem rzucił się w stronę odkrytych kości.

Wreszcie Judy opuszcza dom. Inspektor wychodzi jej naprzeciw. Krótko się naradzają i kobieta wsiada do samochodu.

- Nie ma go – zwraca się do Ruth. – Ona mówi, że wcale go nie widziała. Zaalarmujemy wszystkie jednostki. Szef kazał mi panią zabrać w bezpieczne miejsce.

Ruth patrzy, jak Nelson wsiada do drugiego samochodu. Dał mi kurtkę, myśli sobie, ale już „do widzenia” to nie powie. Nagle czuje się niesłychanie zmęczona.

- Czy ma pani u kogo zamieszkać? – pyta Judy.

Ruth patrzy za siebie, na dom Shony. Pogasty światła. Nie będzie więcej babskich wieczorów z jej udziałem.

- Przyjacieli? – podpowiada Judy. – Może jacyś krewni?
- Tak, mam kogoś – potwierdza Ruth.

Na brzegu morza koło Burnham Ovary stoją w szeregu niewielkie chaty rybackie. Te proste domki o pobielonych ścianach są ciągle wystawione na działanie deszczu i morskiego wiatru. Ruth czeka na progu jednego z nich, słucha odgłosów fal uderzających o falochron i zastanawia się. A jeżeli go nie ma w domu? Wtedy będzie musiała spać na uniwersytecie i o dziewiątej zbudzą ją pan Tan oraz pozostali studenci. W tej chwili taka perspektywa wydaje jej się nawet dość atrakcyjna.

Ruth patrzy za siebie na przyczajone dyskretnie auto policyjne. Zastanawia się, czy sąsiedzi obserwują wszystko zza firanek.

– Ruth!

Słyszając swoje imię, odwraca się w stronę drzwi i na tle rozświetlonego prostokąta dostrzega sylwetkę Petera. Ruth otwiera usta, by opowiedzieć mu o Eriku i Shonie, a także spytać, czy mogłaby u niego przenocować, lecz niespodziewanie wybuchu płaczem. Czuje się wręcz zażenowana swoim głośnym, nieromantycznym łkaniem.

Peter wciąga ją do środka.

– No już dobrze, dobrze – mówi i zamyka drzwi.

## ROZDZIAŁ 25

– Przepraszam – mówi Ruth, siadając na sofie Petera. Jak we wszystkich wynajętych domach meble nie pasują tu do wnętrza. Sofa jest dziwnie niewygodna.

– Co się stało? – pyta Peter, nie ruszając się z progu drzwi wejściowych.

– Lepiej usiądź.

Opowiada mu o listach, Shonie i Eriku, a na koniec o dedykacji, dzięki której rozpoznała charakter pisma autora.

– O Boże – Peter przeciągle wzdycha. – Jesteś pewna?

– Tak – mówi Ruth – i Shona to potwierdza. Pisali listy, bo chcieli utrudnić śledztwo.

– A dlaczego im tak na tym zależało?

– Bo jeden ze studentów Erika został oskarżony o zamordowanie policjanta. Został skazany, a w więzieniu popełnił samobójstwo. Erik obwinia o to Nelsona, policjanta, który prowadzi sprawę Scarlet Henderson.

– Dlaczego?

– Nelson znalazł dowody świadczące na niekorzyść tego studenta. Jamesa Agara.

– I policja poszukuje teraz Erika?

– Tak, ale on gdzieś przepadł.

– A Shona?

– Twierdzi, że nie wie, gdzie on jest.

Peter milczy przez chwilę, po czym z wyrazem zakłopotania na twarzy spogląda na Ruth.

– Czy... czy policja sądzi, że Erik zamordował tę dziewczynkę?

– Biorą pod uwagę taką możliwość.

– A ty co myślisz?

Ruth waha się. Szczerze mówiąc, sama już nie wie. Do niedawna wierzyła we wszechmoc Erika i przyjaźń Shony. Teraz zwątpiła w jedno i drugie.

– Nie jestem pewna – mówi wreszcie – ale nie mogę wykluczyć jego winy. Autor listów dawał

wskazówki, gdzie szukać ciała Scarlet.

– A nie może to być jakiś zbieg okoliczności?

Ruth przywołuje w myślach tajemniczy, zjadliwy ton listów.

– To również niewykluczone. W listach jest tyle odniesień i aluzji, że nietrudno o nadinterpretację.

– Dlaczego Erik miałby zabić?

Ruth wzdycha.

– Kto wie? Może chciał złożyć ofiarę bogom?

– No, w to chyba nie wierzysz?

– Ja nie, ale może Erik wierzył?

Peter znów milknie.

Peter smaży omlety i otwiera butelkę czerwonego wina. Ruth pałaszuje je z apetytem. Ma wrażenie, że lunch z Shoną jadła wieki temu. Oboje sporo wypijają, by zagłuszyć wspomnienia ostatnich zdarzeń.

– A swoją drogą – Peter nie przestaje mówić – ciągle nie mogę uwierzyć, że Erik to zrobił. Zawsze mi się wydawało, że to ktoś szczerze zaangażowany w New Age. Wiesz, taki, co to chce pokoju, wolności i darmowej marychy dla wszystkich. Nie mieści mi się w głowie, żeby taki gość mógł zamordować małą dziewczynkę.

– A jeżeli on naprawdę wierzył w to wszystko, w różne rytuały, a zwłaszcza składanie ofiar? Może uznał za konieczne, by wynagrodzić bogom utratę rytualnego kręgu?

– Inaczej mówiąc, uważasz go za wariata.

Ruth milczy i przechyła kolistym ruchem kieliszek, mieszając czerwone wino.

– Jakie mamy prawo osądzać, co jest szaleństwem, a co nie?

– Cytujesz Erika!

– Tak.

Ruth podwija nogi i siada na stopach. Mimo wszystko zaczyna odczuwać senność.

– Kochałaś go, prawda? – mówi Peter odmienionym głosem.

– Co mówisz?

– Kochałaś się w nim. Zawsze myślałem, że we mnie, a jednak kochałaś się w Eriku. Tylko jego kochałaś naprawdę.

– Nie – protestuje. – Wcale go nie kochałam, łączyła nas przyjaźń. Był moim, nauczycielem. Magda też była mi bliska. Z tobą było inaczej.

– Naprawdę? – Peter przemierza pokój i klęka przed nią. – Naprawdę, Ruth?

– Tak.

Całuje ją i przez chwilę Ruth ma ochotę rzucić mu się w ramiona. Pyta samą siebie, czy byłoby to czymś złym? Odszedł od żony, jest samotny. Komu by zaszkadzili?

– O Boże, Ruth – mruczy Peter z ustami przy jej szyi. – Tak za tobą tęskniłem. Kocham cię.

Tego już za wiele. Ruth prostuje się na sofie i odpycha Petera.

– Nie.

– Co takiego? – Peter siedzi teraz obok i otacza ją ramieniem.

– Ty mnie nie kochasz.

– Ależ kocham. Ślub z Victoria był jednym wielkim nieporozumieniem. My dwoje jesteśmy dla siebie stworzeni.

– To nieprawda.

– Dlaczego?

Ruth bierze głęboki oddech. Wydaje się jej bardzo istotne, aby nie pozostawić niedomówień. Powiedzieć to przekonująco i dobitnie.

– Nie kocham cię – oświadcza. – Czy mogę spać na sofie?

Rankiem budzi się nakryta kurtką Nelsona i kołdrą. Przez zasłony do wnętrza sączy się szara poświata. Komórka pokazuje 7.15. Żadnych nowych wiadomości. Ruth siada – boli ją głowa i pieką oczy. Ile wypła wieczorem? Na podłodze leżą dwie puste butelki. W czasach studenckich pijało się więcej, ale ostatnio wyszła z wprawy. Nie pamięta nawet, kiedy zasnęła. Przypomina sobie tylko, że Peter wybiegł z pokoju, gdy oświadczyła, że go nie kocha. Musiał jednak wrócić, żeby okryć ją kołdrą. Mdli ją.

Wstaje, aby poszukać ubikacji lub prysznic, lecz w drzwiach natyka się na Petera, który niesie filiżankę herbaty.

– Dzięki – mówi, biorąc herbatę. – Okropnie się czuję.

Na twarzy Petera pojawia się uśmiech.

– Ja też. Nie jesteśmy już tacy młodzi, Ruth. À propos, łazienka jest na górze. Pierwsze drzwi po lewej. Ręczniki znajdziesz w szafce do przesuszania bielizny, za sąsiednimi drzwiami.

– Dziękuję – odpowiada. Może wcale nie będzie tak źle.

Nieprzyjemnie jest zakładać po kąpieli ubranie z poprzedniego dnia, ale Ruth przynajmniej trochę się odświeżyła. Zawija głowę w ręcznik i schodzi na dół. W maleńkiej kuchni Peter przygotowuje grzanki.

Ruth siada i szuka w myślach tematu, który poprawiłby atmosferę: czegoś lekkiego i niesztampowego. Może porozmawiać o pogodzie albo o wykopaliskach, a może o tym, co piszą w „The Archers”? Chciałaby podjąć temat, który oderwie Petera od Norfolku i przeniesie do prawdziwego życia, do żony i dziecka.

– Masz przy sobie fotografię synka? – pyta wreszcie. – Nie widziałam go od czasu, gdy był oseskiem.

Peter wygląda na zdziwionego, włącza jednak telefon, najnowszy model, i przesuwa go po stole w stronę Ruth.

– Znajdź sobie. W katalogu „Moje obrazy”.

Ruth niechętnie przegląda zdjęcia. Nienawidzi malutkich ekranów telefonów. Czuje się przy nich jak wielkolud. Od razu trafia na zdjęcie uśmiechniętego, rudego chłopczyka.

– Podobny do mnie? – pyta Peter.

– Tak – odpowiada Ruth, chociaż fotka jest tak mała, że trudno ocenić.

– To przez rude włosy. Z twarzy – cała mama.

Naciska klawisze, by poszukać kolejnych zdjęć. Na większości z nich jest Daniel, choć znajduje ujęcie ze Słonych Błot. Mały, szary prostokąt. Natomiast fotografii Victorii ani śladu.

– Co zamierzasz dalej robić? – zagaduje Peter, stawiając przed nią talerz z grzankami.

– Pójdę do pracy, uporządkuję papiery. Potem być może wyjadę. Na przykład do rodziców.

Kiedy to mówi, ma przed oczami szarą i nudną wstęgę autostrady Mil. A matka na pewno zapyta o Petera.

– Niech mnie licho. Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

Ruth uśmiecha się, ale gdy podnosi wzrok na Petera, jego twarz nagle pochmurnieje. Przez sekundę wydaje się jej kimś obcym.

– Pamiętaj, Ruth – mówi – będę wiedział, gdzie jesteś.

– Faktycznie podejrzewają Erika? – pyta Phil, zamykając za nią drzwi swojego gabinetu. – Ruth, co tu się dzieje?

– Nie wiem do końca – kłamie. – Tylko tyle, że policja go szuka.

Przez całą drogę na uczelnię w głowie huczały jej słowa Petera. „Będę wiedział, gdzie jesteś”. Czy to on wysyłał tamte esemesy? Nigdy nie dawała mu co prawda numeru komórki, ale to żaden problem. Mógł go dostać od wielu osób. Od Erika, Shony, nawet od Phila. Ale dlaczego miałoby mu zależeć na tym, by czuła się przerażona? To wszystko bez sensu, lecz ona nie ma wątpliwości, że nikomu nie może już ufać.

– Co się dzieje, Ruth? – powtarza Phil, bezskutecznie próbując pozbawić swój głos nuty ekscytacji. – Policjanci już tu byli i rozpytywali o Erika. A zanim przyszli, wpadła tu twoja przyjaciółka z anglistyki, Shona.

Wyglądała na zrozpaczoną.

Ruth z łatwością potrafi sobie wyobrazić, jak Shona teatralnie szlocha uczepona ramienia Phila. Może to on jest następny na jej liście żonatych pracowników uniwersytetu.

– Bo chyba nie powiesz mi – Phil przechodzi do scenicznego szeptu – że oni na serio go podejrzewają?

– Nie mam pojęcia – odpowiada znużonym głosem. – Słuchaj, Phil. Chciałam cię prosić o przysługę. Policja radzi mi zaszyć się gdzieś na kilka dni, więc planowałam odwiedzić rodziców w Londynie. Mogłabym wziąć parę dni urlopu? Mam w tym tygodniu zaledwie jeden wykład i jedne ćwiczenia.

Phil jednak ciągle wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Myślisz, że coś ci grozi? Ze strony Erika?

– Przepraszam, Phil. Nie mogę nic więcej powiedzieć. To jak z tym urlopem?

– Zgoda – mówi Phil, a po chwili dodaje: – Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, Ruth?

– Oczywiście – odpowiada ostrożnie.

– Od kiedy chodzisz w policyjnej kurtce?

Planowała wyjechać wcześniej, lecz gdy dociera do Słonych Błot, zapada już zmrok. Tyle miała do zrobienia. Musiała odwołać wykład, umówić się z Philem, żeby zastąpił ją podczas zajęć na temat „Szczątków zwierzęcych w badaniach archeologicznych na terenach podmokłych”, zatelefonować do rodziców z ostrzeżeniem, że przyjeżdża, udawać, że nie dostrzega coraz bardziej dramatycznych esemesów od Shony. Jakby tego wszystkiego było mało, zadzwonił jeszcze Nelson.

– Ruth, wszystko w porządku?

– Może być.

– Judy powiedziała, że podwiozła cię wczoraj w nocy do domu przyjaciela. Nie jedź tam więcej. Musimy ci znaleźć bezpieczne schronienie.

– Jadę do rodziców. Do Londynu.

Cisza.

– Tak, to dobry pomysł.

Nelson wydawał się czymś bardzo zajęty podczas tej rozmowy. Miała wrażenie, że nieomal słyszy szelest przekładanych kartek.

– Znaleźliście już Erika?

– Nie, zapadł się chyba pod ziemię. Ale już my go dorwiemy. Nasi ludzie obserwują pensjonat, dom

jego dziewczyny

i uniwersytet. Zaalarmowaliśmy wszystkie lotniska.

– A pamiętaliście o przyczepie Cathbada?

– O tym też pomyśleliśmy. Dziś rano odwiedziłem naszego przyjaciela Malone'a. Twierdzi, że nie widział Anderssena od kilku dni, ale i jego wzięliśmy pod obserwację.

– Słono musi kosztować ta wasza akcja.

Nelson wybuchnął pustym śmiechem.

– Opłaci się z nawiązką, jak go złapiemy.

Ruth pojechała taksówką na komisariat policji, żeby odebrać samochód, jednak nie zastała Nelsona. Sierżant z recepcji poinformował ją, że „starszy inspektor Nelson prowadzi czynności dochodzeniowe w terenie”. Czy to znaczy, że złapał Erika? Już miała zostawić na komisariacie kurtkę, ale coś jej szepnęło, że lepiej tego nie robić. Bo kurtka przypomina właściciela i w jakiś niewytłumaczalny sposób dodaje odwagi. A poza tym jest bardzo ciepła.

Gdy skręca w New Road, jest już czwarta. Nad morzem gromadzą się złowróżbne, ciemne chmury. Zbiera się na burzę. Wiatr niespodziewanie ucichł i w powietrzu wisi coś niedobrego. Na horyzoncie można dostrzec sinożółtą smugę i nawet ptaki zamilkły.

W domu wita ją spanikowany Krzemyk. Zupełnie o nim zapomniała zeszłej nocy. W kuchni dorwał się do chrupek i wygryzł dziurę w kartonie. Patrzy złowrogo na właścicielkę, gdy ta napełnia mu miskę. Będzie go musiała zabrać do rodziców. Nie ma odwagi ponownie prosić Davida, a nie wie, jak długo zabawi w Londynie. Idzie więc na strych, by znaleźć podróżny kosz swojego kota, i wtedy rozlega się pierwszy grzmot.

Pakuje się szybko, wrzucając do walizki bluzki, spodnie i swetry. Nie ma sensu dobierać garderoby, matka i tak wszystko skrytykuje. Ruth ciągle ma na sobie kurtkę. Powie matce, że w Norfolkku panuje moda na policyjne ciuchy. Dorzuca też kryminał i laptop. Przydałoby się jeszcze posprzątać trochę dom. Wlecze walizkę w kierunku schodów, wywracając przy tym kartonową podobiznę Bonesa. Głowa do góry, Scotty. Odsuwa tekturową podobiznę i pospiesznie schodzi. Już piąta.

Cholera, jak tak dalej pójdzie, to do Londynu dotrze o północy. A drogi będą zakorkowane. Wygląda przez okno. Jest już zupełnie ciemno i ponownie zerwał się wiatr. Podmuchy zamykają i otwierają furtkę, zupełnie jakby bawiło się nią dziecko. Pospiesznie chwyta Krzemyka i nie zważając na jego protesty, zamyka kocisko w koszyku. Trzeba się spieszyć.

A jednak, pomimo pośpiechu, nie może sobie odmówić tej przyjemności – podchodzi do biurka i rzuca okiem na torques z epoki żelaza, od którego zaczęła się cała historia. Sama nie wie, dlaczego to robi. Powinna była oddać naszyjnik Philowi, żeby schował go razem z pozostałymi znaleziskami, ale nie mogła się zdecydować.

Torques pobłyskuje matowo w jej dłoni, pocięty metal wydaje się groźny i piękny zarazem. Dlaczego umieszczono go w grobie? Aby podkreślić status pochowanej dziewczynki czy jako ofiarę przebłagalną dla bogów podziemnego świata, tych, którzy strzegą przejścia – drogi na bagna?

Przez chwilę stoi w zamyśleniu i waży w dłoni ciężki złoty przedmiot.

Nagle jakiś głos stwierdza rzeczowo:

– Pochodzi prawdopodobnie z siedemdziesiątego roku przed naszą erą. Z czasów Icenów.

To Erik.



## ROZDZIAŁ 26

Ruth odwraca się gwałtownie, z walącym sercem. Właśnie wtedy w dom uderza wściekły podmuch wiatru. Rozpętała się burza.

– Brzydka pogoda – mówi Erik, jakby prowadził najzwyczajszą w świecie rozmowę. Ma na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy, w ręku trzyma parasol wywrócony przez wiatr na lewą stronę. Rzuca parasol i uśmiecha się.

– Erik – mówi struchlała i zaskoczona Ruth.

– Cześć, Ruth – słyszy odpowiedź. – Myślałaś, że zniknę bez pożegnania?

Zbliża się do niej. Pomimo uśmiechu w jego niebieskich oczach czai się chłód. Są jak Morze Północne.

– Szuka cię policja – mówi Ruth.

– Wiem – odpowiada z uśmiechem. – Ale tutaj nie przyjdą.

Dlaczego Nelson nie zadbał o ochronę jej domu, myśli zrozpaczona Ruth. Lecz on przecież sądzi, że wyjechała do rodziców i jest bezpieczna. Nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Próbuje wycofać się w stronę drzwi.

– Coś nie tak, Ruthie? Nie ufasz mi?

– Nie.

– Ja ich wcale nie zabiłem.

Bierze do ręki torques i ogląda go uważnie.

– Ja tych dziewczynek nie zamordowałem. Nie jestem Niksem, złym duchem mórz. Na imię mam Erik.

Jego głos hipnotyzuje jak zawsze. Ruth potrząsa głową, by otrzeźwieć. Nie może dać mu się zwieść.

– To ty napisałaś listy, a one wskazały mi drogę do Scarlet.

– Bzdury – rzuca Erik. – Naciągasz fakty, żeby dopasować je do swojej hipotezy. Tak się robi na uniwersytecie.

– A ty nie jesteś pracownikiem uczelni?

– Ja? – uśmiecha się Erik. – Nie, ja jestem mistrzem ciekawych opowieści. Siewcą tajemnic.

Zachowuje się jak zupełny szaleniec, zdaje sobie nagłe sprawę Ruth.

Powoli zbliża się do drzwi. Już kładzie rękę na klamce. Wtem Krzemyk, który zorientował się, że lada moment zostanie sam, zamknięty w koszu, podnosi piekielny wrzask. Erik w mgnieniu oka ocenia sytuację i przyskakuje do Ruth. Chociaż nie jest pewna, co zamierza zrobić, jedno spojrzenie w jego oczy wystarcza, żeby podjęła decyzję. Wybiega w ciemność.

Wiatr jest tak silny, że trudno jej ustać. Podmuchy idą od strony morza przez mokradła, kładąc pokotem wszystko, co napotkają na swej drodze. Deszcz siecze ją po twarzy, jakby chciał, żeby wróciła do Erika, jednak ona twardo brnie przed siebie. Jakoś dociera do samochodu. Do swojej starej, pocziwej renówki. Próbuje namacać klamkę.

– Tego szukasz?

Podnosi wzrok i dostrzega Erika z kluczykami w ręku. Z jego ust nie znika uśmiech. Z rozwianymi siwymi włosami wygląda jak czarodziej. Ale nie jakiś tam Harry Potter, tylko istota utkana z wichury i deszczu. Pan żywiołów.

Ruth rzuca się do ucieczki. Przebiega na drugą stronę New Road, przeskakuje rów z wartko płynącą wodą i znika w ciemnościach spowijających mokradła.

– Ruth!

Słyszy za sobą głos Erika. On również przeskoczył fosę i słyhać, jak przedziera się pośród kłujących traw i krzewin. Ruth nie zatrzymuje się, pada ciężko na błotnisty grunt. Kaleczy dłonie o ostre kamienie. Wciąż jednak brnie do przodu – dysząc, sapiąc, klucząc pośród karłowatych drzew. Nie ma pojęcia, dokąd biec, wie tylko jedno – byle dalej od Erika. Jeśli ją dopadnie, już po niej. Zamorduje ją jak tamte dwie dziewczynki. Bez powodu. Z czystego szaleństwa.

Za plecami słyszy jego kroki. Pomimo wieku jest sprawny fizycznie, o wiele bardziej niż ona. Ale przerażenie gna ją do przodu. Ruth wpada do płytkiego strumyka i dzięki temu wie, że zbliża się do terenów zalewowych w Słonych Błotach. Wiatr wyje jeszcze głośniejsze, a igielki deszczu kłują w twarz. Staje w miejscu. Gdzie Erik? Wokół słyhać tylko wicherę.

Wyczerpana, pada na ziemię. Grunt jest miękki, a trzciny gładzą ją po twarzy. Gdzie jest morze? Jeżeli wejdzie na równiny zalewowe, nie będzie dla niej ratunku. Przyływ jest szybszy od galopującego konia, powiedział kiedyś David. Wycie wiatru podsuwa wyobraźni odgłos dudniących kopyt, łatwo przedstawić sobie siwe grzywy fal sunących przez równinę. Ruth przyczają się w trzcinach i usiłuje zebrać myśli. Musi zadzwonić do Nelsona, wezwać pomoc, ale sięgając do kieszeni, przypomina sobie, że komórkę spakowała do torebki. Zewsząd słyhać huk wiatru, lecz w oddali narasta inny, jeszcze bardziej złowrogi dźwięk. Zbliżające się monotonne wycie.

Zgubiła się na mokradłach, a z oddali nadciąga przyływ.

## ROZDZIAŁ 27

Nelson wraca na komisariat w ponurym nastroju. Doniesienie od postronnego informatora okazało się jedną wielką bzdurą. W którymś z pubów King's Lynn zauważono człowieka o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Erika Anderssena. Gdy jednak Nelson dotarł na miejsce, okazało się, że odbywa się tam wieczór muzyki folkowej i co drugi obecny przypomina Erika – szpakowata kitka, pewny siebie wyraz twarzy i kilka innych szczegółów.

W niedzielny wieczór stoi w korku i groźnym wzrokiem lustruje skąpane w deszczu ulice miasteczka.

– Niech to szlag – mówi nagle do siebie i pospiesznie włącza syrenę. Na jej dźwięk samochody zjeżdżają z drogi, co jak zawsze sprawia mu przyjemność. Teraz już bez przeszkód może mknąć na komisariat.

Chryste, ma nadzieję, że Ruth jest bezpieczna. Powinna być już w drodze do Londynu. Raczej nie obawia się, że Erik spróbuje ją tam odszukać. Osobiście jest przekonany, że poprzedniego wieczoru Anderssen zdołał złapać ostatni samolot, do... jak się to miasto nazywa... do Oslo. Pewnie siedzi teraz w jakiejś knajpce, popija to, co najbardziej lubią Norwegowie, i śmieje się w głos.

Sierżant z recepcji mówi, że Ruth odebrała samochód mniej więcej przed godziną. Nelson zastanawia się. Według jego rachuby to trochę późno. Co ona robiła przez cały dzień? Rozmawiał z nią wczesnym popołudniem i miał nadzieję, że zaraz wyjedzie.

Gdy staje przed drzwiami swojego gabinetu, zatrzymuje go policjantka. Nie zna jej, ale usiłuje wykrzesać z siebie coś w rodzaju uśmiechu. Młoda funkcjonariuszka (coraz młodszy ten personel) jest wyraźnie zdenerwowana.

– Panie inspektorze... ktoś na pana czeka.

– Gdzie? – pyta, by ją trochę ośmielić.

– W pana pokoju. Nie chciał się przedstawić.

Dlaczego, u licha, nie zatrzymaliście go na dole, myśli Nelson z irytacją. Wpada do gabinetu i zaraz rzuca mu się w oczy wielka fioletowa peleryna. Zamyka za sobą drzwi, bardzo gwałtownie.

Zrelaksowany Cathbad siedzi za biurkiem, na miejscu Nelsona. Nogi w zabłoconych adidasach wyłożył na blat. Nelson dostrzega plamę błota na jednej ze swoich wypieszczonych list spraw do załatwienia.

– Nogi z biurka! – krzyczy donośnie.

– Musi pan nauczyć się panować nad gniewem, inspektorze. Pewnie jest pan spod znaku Barana, co? – mówi Cathbad, ale posłusznie stawia stopy na podłodze.

– A teraz wynocha z mojego krzesła! – dyszy ciężko Nelson.

– Nic do nas nie należy na tym marnym świecie, – odparowuje Cathbad, lecz dość szybko podnosi się z miejsca.

– Pojawileś się, żeby mi tu wciskać New Age i te wasze bzdury?

– Ależ skąd, przyszedłem przekazać pewne informacje na temat Erika Anderssena – odpowiada Cathbad rzeczowym tonem. – A ponieważ chciałem się nimi podzielić osobiście, dlatego wykorzystując moment nieuwagi pańskich... strażników... pozwoliłem sobie wejść do gabinetu.

Nelson zaciska pięści na samą myśl o policjantach przydzielonych do obserwowania Cathbada. To miał być skuteczny dozór. Co ci idioci robili? Pewnie zamiast czuwać na plaży w Blakeney, zaszyli się w samochodzie, ze strachu przed nocnym chłodem. Patałachy!

– A co to za informacja? Jeżeli chcesz mi donieść, że Anderssen jest na wieczorze muzyki folkowej, to marnujesz tylko czas.

Cathbad puszcza tę uwagę mimo uszu.

– Erik dzwonił do mnie godzinę temu i powiedział, że właśnie jedzie odwiedzić Ruth Galloway.

Serce Nelsonowi przyspiesza, lecz mimo to stara się panować nad głosem.

– A dlaczegóż to zrobiłeś się nagle taki chętny do współpracy?

– Nie przepadam za policją – mówi Cathbad z wyszukaną elegancją. – Ale brzydzę się przemocą. A Erik mówił tonem, który nie wróżył nic dobrego. Myślę, że pańska przyjaciółka, doktor Galloway, może być w niezłych tarapatach.

Ruth leży w gąszczu trzciny, nasłuchując ryku fal oraz wycia wiatru, i myśli, co u licha powinna zrobić? Nie może przecież

wracać do domu, a każda chwila spędzona na mokradłach potęguje niebezpieczeństwo. Wkrótce nadejdzie przypływ, a ona nie ma pojęcia, czy nie weszła już na równinę zalewową. Nie zamierza umrzeć pod zwałami błota. Musi znaleźć jakiś ratunek. Nie ma wyboru – może tylko przedzierać się dalej albo leżeć tu i czekać, aż dopadnie ją Erik. Z powodu wiatru opuszcza nisko głowę i rusza zygakiem przez trzciniowisko.

Potężny trzask pioruna niemal zwała ją z nóg. Słychać ogłuszający, metaliczny huk, jakby zderzyły się dwa pociągi ekspresowe. Wkrótce potem kolejna błyskawica rozświetla niebo. Robi się jasno jak za dnia. Chryste, musiała się znaleźć w samym sercu burzy. Czy nie strzeli w nią piorun? Słyszając kolejny grzmot, instynktownie rzuca się na ziemię i okrywa głowę rękoma. Leży w płytkim strumyku. To niebezpieczne. Woda jest dobrym przewodnikiem elektryczności. Nie pamięta, czy ma założone kalosze. Czołga się. Tak sobie dotąd wyobrażała pierwszą wojnę światową – z twarzą w błocie i hukiem ostrzału moździerzowego nad głową. Ale tu jest ziemia niczyja. Krok po kroku, wolno pełznie przed siebie.

Zaciskając zęby, Nelson pędzi jak szalony w stronę Słonych Błot. Obok niego siedzi Cathbad i nuci coś pod nosem. Jego towarzystwo mierzi Nelsona, lecz musiał go zabrać ze sobą z dwóch istotnych powodów. Po pierwsze dlatego, że podobno Cathbad zna Słone Błota „jak własną kieszeń”, a po drugie, Nelson tak bardzo mu nie ufa, że woli nie spuszczać go z oka ani na chwilę.

Clough i Judy podążają za nimi oznakowanym radiowozem. Oba auta jadą na sygnale, jednak na podmiejskich drogach

prawie nie ma ruchu. Szalejąca wokół burza zniechęciła ludzi do opuszczania domów.

Przy New Road Nelson rozpoznaje samochód Ruth i nieco się uspokaja. Ale natychmiast dostrzega otwarte drzwi domu, którymi miotą wiatr, i serce znowu skacze mu do gardła. Kiedy wchodzi do dużego pokoju, uszy rozsadza mu przerażający koci lament. Zatrzymuje się gwałtownie i w rezultacie Cathbad wpada na niego z całym impetem.

Ku rozczarowaniu Nelsona to właśnie Cathbad pierwszy zauważa koszyk i uwalnia Krzemyka.

– No, kotku, zmykaj na wolność – mruczy niewyraźnie Cathbad. Krzemykowi nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Z nastroszonym ogonem, przerażony ucieka przez otwarte drzwi. Nelson ma nadzieję, że nie spotka go nic złego. Nie chciałby, aby drugi kot Ruth skończył równie tragicznie jak pierwszy.

Do czasu przybycia radiowozu Nelson zdążył przeszukać cały dom. Nie ma śladu po Eriku i Ruth, koło drzwi natyka się jedynie na spakowaną walizkę i połamany parasol, przypominający prehistorycznego ptaka, który spadł na ziemię. Cathbad ogląda pognieciony kawałek metalu leżący na stole.

– Co to takiego? – pyta Nelson.

– Wygląda mi na torques z epoki żelaza – odpowiada Cathbad. – Magiczny.

Nelson natychmiast traci zainteresowanie.

– Nie zdążyli się zbyt oddalić – rzuca. – Johnson, Clough, idźcie spytać sąsiadów, czy coś słyszeli. Wezwijcie przez radio ludzi z psami i uzbrojoną jednostką bojową. A ciebie – łapie Cathbada za ramię – zapraszam na mały spacer po Słonych Błotach.

Zgięta w pół Ruth biegnie przez mokradła. Wywraca się jak długa w kolejnym błotnistym strumyku, wygrzebuje się z niego i czując krew w ustach, staje na nogi, po czym znowu pada, tym razem w sadzawce głębokiej na jakieś trzydzieści centymetrów. W strugach wody znowu podrywa się na nogi. Na mokradłach mnóstwo jest takich jezior, a niektóre mają po parę metrów szerokości. Znajduje oparcie dla stóp i natychmiast biegiem rusza przed siebie.

Nie zatrzymuje się, chociaż zgubiła but i podarła spodnie na strzępy. Dobrze, że ma chociaż policyjną kurtkę, bo dzięki niej górna część ciała nie przemokła do suchej nitki. Postanawia nie poddawać się, jest to winna przede wszystkim Nelsonowi. Kolejne zwłoki na bagnach oznaczałyby z pewnością koniec jego kariery. Gdy szczerzej otula się kurtką, czuje, jak przybywa jej odwagi, zupełnie jakby ten policyjny strój miał magiczną moc. Nelson pewnie by się nie bał byle deszczu czy wiatru.

Gdzie on teraz jest? A co jeszcze ważniejsze – gdzie jest Erik? Zatrzymuje się i próbuje nasłuchiwać, lecz do jej uszu dobiegają tylko odgłosy wiatru, deszczu i gromów. *Co oznajmił grom\** – to chyba T.S. Eliot. Na moment przypomina sobie listy, w których Erik i Shona cytowali Eliota, aby zakpić sobie z Nelsona. Listy to jedna część smutnej prawdy, ale czy Erik zabił Scarlet Henderson? I czy może ją zabić? Nikomu nie

ufaj, napomina samą siebie, brnąć przez nierówny teren. Ufaj tylko sobie.

\* Tytuł części *Ziemi jałowej* T.S. Eliota w przekładzie Krzysztofa Buczkowskiego.

I nagle słyszy coś, co powoduje, że serce w niej zamiera. Ludzki głos, lecz niepodobny do żadnego

innego, jaki słyszała w życiu. Jakby przemówili zmarli i wołali ją po imieniu. Trzy jednostajne krzyki, jeden po drugim, ostatni jeszcze wibruje w powietrzu. Co to u licha było?

Wołanie powtarza się, tym razem zdecydowanie bliżej. Nie wiadomo dlaczego Ruth rzuca się w jego kierunku i nagle wpada na ścianę.

Najpierw nie dowierza, to jednak ściana. Ostrożnie wyciąga dłoń i dotyka chropowatej powierzchni. Nie, to nie złudzenie. Ściana z szorstkich desek zbitych gwoździami.

Oczywiście, to schronienie dla miłośników ptactwa. Dotarła do zbudowanej przez nich chatki. Czuje taką ulgę, że prawie wybucha śmiechem. To musi być ten najbardziej oddalony domek, gdzie Peter i ona spotkali kiedyś Davida. I przypomina sobie, że miejsca tego nie zalewa morze. Czyli jest bezpieczna. Tu się może schronić przed burzą. Boże, jak to dobrze, że są na tym świecie miłośnicy ornitologii.

Półprzysłana ze szczęścia wchodzi do środka. Domek bardziej przypomina wiatę – brakuje jednej ściany – więc nie daje pełnego schronienia, lecz lepsze to niż nic. Cudownie jest wyrwać się z objęć burzy. Ruth tak piecze twarz, jakby ktoś ją spoliczkował, a w uszach słyszy donośne dzwonienie. Opiera głowę o szorstką drewnianą ścianę i zamyka oczy. Nie do wiary, ale mogłaby od razu zapaść w sen.

Na zewnątrz ciągle szaleje burza, jednak ona już do niej prawie przywykła. Dźwięk wiatru podobny jest teraz do dziecięcych głosików – smutnych jak wołania marynarzy zaginionych na morzu i jak zawodzenia zbłąkanych dusz, szukających ciepła i ukojenia. Ruth czuje dreszcze. Nie powinna ulegać nastrojowi opowieści Erika, które snuł kiedyś przy ognisku. Myśleć o długich zielonych palcach wynurzających się z wody, na wpół żywych stworach błakających się po nocy, o zatopionych miastach i wieżach kościelnych, które w morskiej toni wciąż rozbrzmiewają dźwiękiem dzwonów...

Nagle podrywa się. Ten krzyk był realny i dochodził gdzieś spod ziemi. Nasłuchuje jeszcze raz. Gdy burza nieco przycicha, znowu go słyszy. To na pewno jest ludzki głos.

– Pomocy! Pomocy!

Ruth spogląda odruchowo na podłogę przykrytą matą. Próbuje ją zdjąć, ale najwyraźniej została przybita. Jednak za trzecim lub czwartym pociągnięciem gwoździe puszczają. Widzi podłogę z desek, a w niej – klapę włazu. Po co u licha taki wąż w podłodze zwykłej chaty dla amatorów ptactwa? I znów rozlega się wołanie. Dochodzi spod podłogi.

Ruth odruchowo schyla się i przykłada ucho do klapy.

– Kto tam? – woła.

Najpierw odpowiada jej cisza, a potem czyjś głosik:

– To ja.

Ruth jest porażona prostotą tej odpowiedzi. Ktoś myśli, że Ruth go zna. A co dziwniejsze, jej samej wydaje się, że rozpoznaje ten głos.

– Nie bój się – krzyczy. – Już schodzę.

Kłapa zamknięta jest na zasuwę, która bez trudu puszcza, jakby była regularnie używana. Ruth otwiera wąż i wpatruje się w ciemność. Wtem potężna błyskawica rozświetla pomieszczenie.

Widzi czyjąś twarz. To dziewczynka, chyba nastolatka, bardzo wychudzona, o długich, potarganych włosach. Ma na sobie męski sweter i postrzępione spodnie, a ramiona okryła kocem.

– Co ty tu robisz? – pyta niezbyt mądrze Ruth.

Dziewczynka kręci tylko głową. Ma duże oczy i ziemistą cerę. – Jak ci na imię? – I nagle przychodzi jej na myśl, że wie, z kim ma do czynienia. – Lucy – mówi łagodnie. – Ty jesteś Lucy, prawda?

## ROZDZIAŁ 28

Judy i Clough meldują, że żadnego z sąsiadów Ruth nie ma w domu.

– Domy pozamykane na cztery spusty.

Nelson przykazuje im czekać na ekipę z psami. On zajmie się przeszukaniem mokradeł.

– W tych warunkach? – mówi Clough, wskazując szerokim ruchem ręki tonące w ciemnościach Słone Błota, gdzie wiatr zgiął ku ziemi prawie wszystkie drzewa. – Za nic ich pan nie znajdzie.

– W okolicy są ruchome piaski – dodaje Judy. W tym momencie wyjątkowo wściekle uderzenie wiatru nieomal zwała ją z nóg. – A przyływ nadchodzi bardzo szybko. Mieszkałam tu kiedyś. To niebezpieczne.

– Ja poprowadzę – mówi Cathbad.

Wszyscy kierują na niego wzrok. Jego peleryna powiewa na wietrze, a w oczach pojawia się błysk. Nie wiadomo dlaczego, ale na tle szalejącej burzy Cathbad nie wygląda tak groteskowo jak zazwyczaj.

– Jest takie sekretne przejście – mówi. – Odkryłem je dziesięć lat temu. To coś w rodzaju zwirowej mierzei. Prowadzi od najdalej wysuniętej wiaty do samego kręgu. Stabilny grunt na całym odcinku.

To pewnie ta grobla, którą wskazała mu Ruth, gdy szli odnaleźć ciało Scarlet, myśli Nelson.

– Odnajdziesz ją w ciemnościach? – pyta.

– Zaufajcie mi – mówi Cathbad.

Żadne z nich nie jest do końca przekonane.

Dźwięk imienia do głębi porusza dziewczynkę. Mała wybucha głośnym płaczem. I jest to raczej kwilenie dziecka, a nie szloch nastolatki.

– Wypuść mnie stąd! – mówi Lucy przez łzy. – Proszę!

– Oczywiście – odpowiada poważnie Ruth.

Wyciąga rękę i chwytą dłoń dziewczynki. Wydaje się ona tak krucha, jakby miała lada chwila się złamać. Ruth nie ma jednak dość siły, aby wywindować Lucy z piwnicy, mimo że mała jest bardzo wymizerowana. Żałuje teraz, że nie chodziła regularnie na siłownię.

– Zejdę na dół i podsadzę cię – decyduje w końcu.

Dziewczynka odsuwa się, a Ruth skacze i ciężko ląduje na betonowej posadzce. Lucy stoi pod ścianą i szczyrzy zęby, całkiem jak zwierzę w potrzasku. W dłoni trzyma kamień. Krzemień, jednym rzutem oka ocenia Ruth. Ostry kawałek krzemienia.

Ruth próbuje zdobyć się na uśmiech.

– Cześć – mówi. – Cześć, Lucy. Jestem Ruth.

Dziewczyna wydaje krótki, pełen niepokoju okrzyk, lecz stoi w miejscu.

Ruth rozgląda się wokół. Jest w małym, kwadratowym, podziemnym lochu. W górze widzi właz w podłogę i zakratowane okienko zabezpieczone czymś w rodzaju okiennicy. W pomieszczeniu znajduje się tylko niska prycza, wiadro i plastikowa

skrzynka wypełniona prawdopodobnie zabawkami dla niemowląt. Sufit i ściany są z litego, chropowatego betonu. Gdzieś tam ścieka woda. W powietrzu unosi się zapach wilgoci, moczu i strachu.

Mój Boże, myśli przerażona Ruth. Czy Erik więził ją tu przez cały czas? A kiedy wyjeżdżał do Norwegii? Cathbad – zagadka się rozwiązuje. Teraz już wiadomo, co łączy Erika z Cathbadem. Ten ostatni pełnił funkcję strażnika więziennego.



Muszą uciekać. Ruth zwraca się do Lucy, która wciąż kuli się pod ścianą.

– No chodź – wyciąga do niej dłoń. – Pomogę ci się stąd wydostać.

Dziewczynka jednak tylko kwili i kręci głową.

– Chodź, Lucy – ponawia prośbę, starając się, by jej głos brzmiał miękko i spokojnie. Jakby wcale nie trzeba było się spieszyć i uciekać przed tropiącym je szaleńcem i straszliwą nawałnicą.

– Chodź, zabiorę cię do domu. Chcesz iść do domu, prawda, Lucy? Do mamy i taty.

Spodziewała się przychylniej reakcji na dźwięk słów „mama” i „tata”, ale Lucy wciąż jest przerażona. Ruth wolniutko się do niej przybliżyła, starając się wyszukać w pamięci jakieś kojące zwroty.

– No już, już. Będzie dobrze. Nie bój się. Wszystko w porządku.

W jaki sposób zwracała się kiedyś do niej matka? Może słowa, których używała, były wyświechtane, lecz z pewnością uspokajały, jak gorące kakao przed snem. Ponieważ nigdy nie miała własnych dzieci, musi teraz wracać w myślach do czasów

dzieciństwa. Przypomina sobie dni, kiedy matka nie doprowadzała jej jeszcze do nieustającej irytacji, ale była najważniejszym człowiekiem na świecie. Odtwarza z pamięci matczyną litanię.

– Nie bój się. Nie płacz. Czym się tu przejmować. No, otrzyj łezki. Już po wszystkim. Było, minęło. Nie płacz, aniołku. Mama nikomu cię nie odda.

I te ostatnie słowa okazują się zaklęciem, które uwalnia królową ze szklanej wieży. Lucy rzuca jej się na szyję.

Nelson w milczeniu wiezie Cathbada na parking. Słyszc tylko szuranie wycieraczek, które nie mogą sobie poradzić z nadmiarem wody, i bębnienie palców Nelsona po kierownicy. Cathbad na szczęście powstrzymuje się od komentarzy i nie opowiada, że niecierpliwość to typowa cecha ludzi spod znaku Skorpiona.

Drzewa wokół parkingu leżą pokotem. Zabity deskami kiosk sprawia w ciemnościach upiorne wrażenie. Ze ścian straszą stare wypłowiałe reklamy lodów Calippo i rożków. Nelson z posępną miną wyciąga z bagażnika linę i solidną latarkę. Cathbad jak gdyby nigdy nic nuci sobie jakąś melodię pod nosem.

Żwirową dróżką podchodzą do pierwszej wiaty. Nelson idzie na przodzie, z latarką w ręku. Nie uważa siebie za człowieka o nadmiernie wybujałej wyobraźni, ale słysząc wiatr wyjący na bagnach, zaczyna dostawać gęsiej skórki. Przetaczający się nad ich głowami grzmot dopełnia scenografii rodem z kiepskiego horroru. Idący za nim Cathbad wzdycha, jakby właśnie doświadczył pełni szczęścia.

Gdy mijają pierwszą wiatę, Cathbad wyprzedza inspektora.

– Zaraz będzie ta ścieżka – wyjaśnia spokojnie.

Nelson przekazuje mu latarkę. Jeżeli się zgubią, to najpierw Cathbada zabije, a dopiero potem aresztuje.

Po kilkunastu metrach Cathbad zbacza ze żwirowej dróżki i kieruje się w głąb trzęsawiska. Pomimo światła latarki jest ciemno, choć oko wykol. Od czasu do czasu w mroku połyskuje bura i złowroga tafla wody. Istna wyprawa w nieznaną, jak podczas ćwiczeń policyjnych, które mają ukształtować w adeptach wzajemne zaufanie. Tyle że Nelson nie ma do Cathbada za grosz zaufania. Gdy za dnia przemierzał mokradła w towarzystwie Ruth, i tak było mu wystarczająco ciężko. Wysiłkiem woli powstrzymuje się przed tym, by dać Cathbadowi solidnego kuksańca i nakazać mu powrót na żwirowy szlak.

Wtem Cathbad zatrzymuje się.

– Znalazłem ją – mruczy.

Nelson dostrzega, jak jego przewodnik kieruje światło latarki na ziemię. Błyskawica rozjaśnia niebo. Cathbad rozciąga usta w uśmiechu.

– Za mną – mówi.

Nieco ponad kilometr od nich, oddzielona połącią ciemnych trzęsawisk, Ruth trzyma w ramionach Lucy. Jakie to dziwne wrażenie, przytulać szczupłe, wiotkie ciało. Ruth nie zna zbyt wielu nastolatków, ale te nieliczne, z którymi utrzymuje kontakt, nie mają w zwyczaju zarzucać rąk na szyję i płakać na jej ramieniu.

– No już, już – wciela się w rolę mitycznej pramatki. – Dobrze, wszystko będzie dobrze. Przytul się, Lucy.

Dziewczynka jednak nie może powstrzymać łez. Całym jej ciałem wstrząsają spazmy płaczu.

– Chodźmy już – musi to w końcu powiedzieć. – Chodźmy, zanim o n tu przyjdzie.

I ta uwaga odnosi skutek. Lucy odrywa się od niej. W jej oczach widać strach.

– Idzie tutaj? – szepcze.

– Nie wiem – odpowiada Ruth. Nie ma pojęcia, gdzie może być Erik.

Mógłby gdzieś przepaść na tych mrocznych bagnach, lecz znając go, jest przekonana, że szósty zmysł ducha mórza, który z pewnością posiada, pomoże mu bez szwanku przetrwać burzę i dopaść je akurat wtedy, gdy podejmą próbę ucieczki. Jednak nie dzieli się z Lucy swoimi obawami. Wyswobadza się z objęć dziewczynki i próbuje pomóc jej wyjść z piwnicy.

– Podsadzę cię. Tak jakbyś wsiadała na kucyka. Wiesz, co to kucyk, prawda? – dodaje pospiesznie. Sama nigdy nie jeździła konno, ale ma nadzieję, że Lucy tak.

– Kucyk – powtarza wolno Lucy.

– No właśnie. Podsadzę cię, a potem sama się wdrapię na górę. Dobrze? – dodaje dziarsko na zakończenie.

Dziewczynka niemal niezauważalnie kiwa głową.

– Wyciągnij ręce do góry – mówi Ruth. Lucy posłusznie wykonuje polecenie. Najwyraźniej przywykła do spełniania komend. Ostatecznie Ruth zamiast podsadzić Lucy, chwytą ją w pól i dźwiga. Okazuje się to zadziwiająco łatwe. Albo

dziewczynka prawie nic nie waży, albo ona sama ma jakąś nadludzką siłę. Ku jej zaskoczeniu Lucy chwytą za krawędź stropu i zwinnie się podciąga. Potem patrzy w dół na Ruth, wykrzywiając usta w coś na kształt uśmiechu.

– Brawo, Lucy! Brawo!

Z radości prawie zapomina, że jeszcze sama musi się jakoś wydostać.

Gorączkowo rozgląda się za podwyższeniem, na którym mogłaby stanąć. Dostrzega plastikową skrzynkę z zabawkami i ustawia ją dokładnie pod włazem. Wchodzi na nią. Za nisko. Sięga więc po wiadro, wylewa jego cuchnącą zawartość w kącie i stawia je na skrzynce do góry dnem. Stara się stanąć na wiadrze i utrzymać równowagę. Udaje się. Sięga do krawędzi stropu. A potem, dobywając resztek sił, stara się wydzwignąć korpus na wysokość podłogi. Jej palce próbują zaczepić się o deski i raptem czuje, że ktoś ciągnie ją w górę. To Lucy. Trudno ocenić, jak bardzo jej pomogła, ale już po chwili Ruth udaje się wydostać na górę. Ostatnim wysiłkiem wciąga jeszcze nogi, a potem, ciężko dysząc, siada na drewnianej podłodze.

Dziewczynka patrzy na nią. Nachyla się i znowu mówi tym swoim cichym głosem, o ton tylko głośniejszym od szeptu.

- Idziemy do domu?
- Tak.

Ruth wstaje z podłogi i bierze Lucy za rękę. Słychać bębnienie deszczu o dach, lecz grzmoty już ucichły. Przygląda się wątlej, drżącej postaci dziewczynki. Jak ona w takim stanie dotrze do domu? Zdejmuje policyjną kurtkę i otula drobną postać Lucy. Kurtka sięga jej do łydek.

- No dobrze – powraca do ciepłego, matczynego tonu. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

Lucy jednak wpatruje się w jakiś punkt za jej plecami. Patrzy w stronę wejścia. Usłyszała coś, co teraz wyłapuje również Ruth. Odgłos kroków. Ktoś szybko zmierza w ich kierunku.

## ROZDZIAŁ 29

W rozwianej fioletowej pelerynie Cathbad przemierza trzęsawisko. Od czasu do czasu zatrzymuje się, oświetla sobie drogę i lekko skręca, raz na lewo, raz na prawo. Nelson idzie jego śladem. Z wściekłości zaciska zęby, ale musi przyznać, że jak dotąd Cathbad nie zrobił ani jednego fałszywego kroku. Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, widać stojącą wodę i czarne połacie zdradzieckich bagien, jednak oni ani na moment nie zbaczą z krętej, kamienistej ścieżki. W górze rozlega się łoskot grzmotów i niemiłosiernie siecze deszcz. Nelson jest przemoczony do suchej nitki, lecz to wszystko nie będzie miało znaczenia, jeżeli tylko uda im się znaleźć Ruth.

Jest tak ciemno, że raz po raz traci Cathbada z oczu, choć ten wyprzedza go zaledwie o kilka kroków. Potem dostrzeżga błysk fioletu i znowu ma pewność, że stary dziwak idzie tuż przed nim. Raz czy dwa Cathbad odwraca się, a na jego twarzy pojawia się szalony uśmiech.

- Kosmiczna energia – oświadcza.

Nelson nie zwraca na niego uwagi.

Gdzie u diabła podziała się Ruth? No i Erik? Co się stało, że w taką straszliwą noc wybiegła na mokradła? Nelson wzdycha. Kiedy wspomina Ruth, mimo woli ogarnia go czułość.

Myśli z nostalgią o tym, jak lubi działać według planu, troszczy się o swoje koty, nie znosi kawy parzonej na komisariacie i jak bardzo przykłada się do pracy, kiedy delikatnie przekopuje warstwy ziemi, w nadziei, że odnajdzie cenny skarb. Przypomina sobie także, jak go częstowała kawą i słuchała tamtej nocy, gdy odnaleźli Scarlet. Myśli o jej obnażonym ciele, doskonale białym w poświacie księżycy. Pamięta jej zachodzące łzami oczy na pogrzebie Scarlet i wyraz twarzy, gdy mu opowiadała o Eriku i jego listach. Nelson wydaje cichy jęk. Nie jest w niej zakochany, ale i tak nie potrafi się od niej uwolnić. Jeżeli coś się jej stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Cathbad znowu przystaje, a Nelson prawie na niego wpada.

- Co się stało? – usiłuje przekrzyczeć wiatr.
- Chyba zgubiłem ścieżkę.
- Żartujesz!

Cathbad przyświeca sobie latarką.

- Niektóre pale są zatopione... – mruczy. – Myślę, że musimy iść tędy.

Robi krok i znika. Nie ma nawet czasu krzyknąć. Pochłania go noc. Nelson rzuca się ku niemu i w ostatniej chwili chwytą za fioletową pelerynę. Ciągnie, urywa kawał materiału, lecz może już przynajmniej złapać Cambada za ramię: Tkwi on po szyję w błocie i inspektor musi zmobilizować wszystkie siły, żeby wydobyć go z topieli. W końcu bagno wypuszcza ofiarę i słychać odgłos zasysanego

powietrza. Cathbad klęczy na ścieżce ze spuszczoną głową i ciężko dyszy. Jest zupełnie oblepiony błotem, a z jego peleryny pozostały tylko strzępy.

Nelson szarpie go za ramię, nakazując, żeby wstał.

– No, rusz się, Cathbad, jeszcze nie umarłeś.

Po raz pierwszy zwrócił się do Malone'a, używając przydomka, ale żaden z nich nawet tego nie zauważa.

Cathbad uczepia się ręki Nelsona. Białka jego oczu lśnią dziko na tle umorusanej błotem twarzy.

– Zawdzięczam ci życie – mówi, z trudem łapiąc oddech. – Duchy przodków mają wielką moc, otaczają nas zewsząd.

– Jeszcze się do nich nie wybieramy – krótko odpowiada Nelson. – A gdzie latarka?

Ruth i Lucy patrzą na siebie przerażone. Kroki słychać coraz wyraźniej. Umysł Ruth pracuje gorączkowo. Znalazły się w pułapce. Nie uciekną Erikowi. Ruth machinalnie zasłania swoim ciałem Lucy. Czy Erik zaatakuje je obie naraz? I jak mogą się przed nim bronić? Jak ustrzec Lucy? Nerwowo rozgląda się po chacie, ale wewnątrz jest pusto. Gdyby tak miała jakiś kamień albo kawał solidnego kija. A gdzie ten krzemień, który trzymała w dłoni Lucy?

Odgłos kroków jest coraz donośniejszy, a równocześnie zza chmur wyłania się księżyc. Nadchodzi męska postać w żółtym sztormiaku. Zaraz, przecież Erik był ubrany na czarno. Nieznajomy wchodzi na próg chaty i księżyc oświetla jego twarz.

To nie Erik, tylko David.

– David! To ty, dzięki Bogu! – krzyczy Ruth, bo oto sąsiad po raz drugi ratuje jej życie. David, który zna na mokradłach każdy zakamarek. David, który, jak się wydaje, jest jedynym prawdziwym miłośnikiem tych okolic. Poczucie ulgi wywołuje aż zawrót głowy. Ale za jej plecami rozlega się krzyk Lucy.

Krzyk dochodzi do Nelsona, który chwyta Cathbada za rękę.

– Z której to strony, słyszałeś?

Cathbad wskazuje w prawo.

– Stamtąd – mówi zdawkowo.

– No, zbieraj się.

Policjant rusza, rzuca się biegiem przez podmokły teren.

– Stój! – krzyczy Cathbad. – Tam nie ma ścieżki.

Nelson biegnie jednak dalej.

Krzyk Lucy sprawia, że Ruth w mgnieniu oka pojmuje, o co chodzi.

– To ty! – mówi, patrząc na Davida. – Ty to zrobiłeś.

Mężczyzna spogląda na nią chłodno. Jest to nadal ten sam miły, nieśmiały, trochę ekscentryczny David, którego, jak jej się wydawało, dobrze знаła. Boże, a jeszcze chwilę temu tak się cieszyła z jego przybycia,

– Tak – odpowiada – to ja.

– To ty zabiłeś Scarlet? Ty więziłeś Lucy przez tyle lat?

Twarz Davida pochmurnieje.

– Wcale nie miałem zamiaru zabijać Scarlet. Chciałem tylko, żeby Lucy miała jakąś koleżankę. Lucy

dorastała, więc pomyślałem, że trzeba by poszukać kogoś młodszego. Ale Scarlet się broniła. Próbowałem ją uciszyć, a ona... umarła. To

nie tak miało być. Pochowałem ją w świętym miejscu. Erik powiedział mi, że tak należy zrobić.

– Erik? Więc on o wszystkim wiedział?

David kręci głową.

– Nie wiedział, ale wiele lat temu opowiadał mi o miejscach pochówku i o składaniu ofiar. Mówił, że w czasach prehistorycznych na bagnach grzebano dzieci, by złożyć ofiarę bogom. Więc pochowałem Scarlet tam, gdzie kiedyś znajdował się rytualny krąg. Tyle że ty ją odkopałaś.

Jego oblicze budzi lęk.

– I to ty zabiłaś moją kotkę – wygarnia mu prosto w oczy Ruth. Wie, że lepiej byłoby nie wspominać o Skierce, nie doprowadzać do konfrontacji z Davidem, jednak nie może się powstrzymać.

– Tak. Nienawidzę kotów. Polują na ptaki.

Robi krok w ich kierunku, a Ruth przytula Lucy, która cała drży.

– Zostaw ją w spokoju.

– Przecież teraz nie mogę cię stąd wypuścić – mówi David przyjaznym, rozsądnym tonem. – Ona nigdy nie będzie w stanie wrócić do normalnego życia. Zbyt długo była trzymana w niewoli. Więc muszę was zabić obie.

W tym momencie Ruth dostrzega w jego ręku nóż, bardzo groźnie wyglądający nóż. Jego wyszczerbione ostrze lśni w świetle księżyca.

– Uciekajmy! – krzyczy Ruth i ciągnąc za sobą Lucy, rzuca się tuż obok Davida w noc.

## ROZDZIAŁ 30

Trzymając Lucy za rękę, Ruth pędzi przed siebie. Nie wie, dokąd uciekać, ale nie myśli o przypląwie, otaczających ich bagnach, nie zwraca uwagi na wiatr ani deszcz. Wie tylko, że muszą biec, aby ująć z życiem. Ich śladem podąża morderca, człowiek, który już raz zabił, a teraz ma interes w tym, żeby nikt nie dowiedział się o tym, co przed chwilą wyjawiał. Lucy porusza się prawie bezgłośnie i nadspodziewanie łatwo za nią nadąża. Ruth mocno trzyma ją za rękę. Nie może spuścić z niej oka. Gdyby dziewczynka znalazła się na bagnach sama, w ciemnościach, i to podczas przypląwu – nie miałyby szans na przeżycie.

Ruth słyszy Davida za plecami. Ich prześladowca brnie teraz przez strumień, który same dopiero co przekroczyły. Powinna zmienić kierunek, biec w stronę domu. Tylko gdzie jest dom? Skręca w lewo i trafia na lustro wody. Biegnie dalej, lecz grunt staje się coraz bardziej grząski. Boże, pewnie są już na równinie zalewowej. W pamięci mający jej wspomnienie przygody Petera sprzed dziesięciu lat, który w porze przypląwu utknął w tej okolicy i musiał wzywać pomocy. Uratował go wtedy Erik, jednak ona nie może liczyć na jego pomoc.

I nagle słyszy jakiś głos. Zupełnie jakby docierały do niej słowa Erika sprzed lat. Staje i nasłuchuje. Czyżby ktoś wołał: policja? To na pewno złudzenie.

Ale błędem było, że się zatrzymała. Ku jej przerażeniu z ciemności wyłania się nagle twarz Davida. Ruth wydaje okrzyk, a Lucy wyrывa się jej z ręki.

– Lucy! – wrzeszczy Ruth.

David rzuca się na Ruth i chwyta ją za stopę. Ona się uwalnia, a mężczyzna pada w błoto. Ruth ponownie ucieka; musi odnaleźć Lucy, zanim zrobi to oprawca.

David depte jej jednak po piętach. Już słyhać jego nierówny oddech i chlupot jego kroków. Ruth skręca odruchowo i natrafia na piaszczysty pagórek. Wydma. Niedaleko musi więc znajdować się morze, lecz ledwie przychodzi jej to na myśl, a już stacza się po przeciwnym zboczach i wpada do wody. Słonej. Przed oczami ma bezkresną pustkę. Nic tylko czarne jak atrament morze, gdzieniegdzie upstrzone białymi kępkami piany, morze, które nieustannie się do niej zbliża. Odwraca się i wąskim rowem z wodą brnie w głąb ładu. Gdzie jest Lucy? Musi koniecznie ją odnaleźć.

Przed sobą dostrzega w wodzie ciemny czworobok. Podchodzi i sprawdza, co to takiego. Dotarła do bunkra z czasów drugiej wojny światowej, małej ceglanej budowli o wysokości około metra. Podobne rozsiane są po całych nadmorskich bagnach. Z braku innego pomysłu wdrapuje się na jego dach. Stąd będzie mogła przeskoczyć na naturalne wypiętrzenie gruntu, gdzie nie dosięgnie jej przypływ. Próbuje skoku – i

ląduje ciężko na suchym łądzie. Przez chwilę nie posiada się ze szczęścia. Udało się! Brawo, Ruth!

Radość jednak szybko pierzcha. Oto przed nią stoi David z nożem w ręku.

Nelson biegnie przez mokradła. Prawie nie zauważa, ile razy się przewraca, wpada do wody i powstaje. Z tyłu słyhać głos Cathbada, który woła, że nadchodzi przypływ, ale on zupełnie nie zwraca na to uwagi. Słyhać czyjś krzyk. Ruth jest w niebezpieczeństwie.

– Policja! – wrzeszczy Nelson. – Stać!

Nawet nie ma przy sobie broni, więc co zrobi, kiedy dotrze na miejsce? Na razie jednak o tym nie myśli, tylko uparcie gna przed siebie.

Wtem dostrzega charakterystyczny kształt wiaty dla ornitologów, która wyłania się z ciemności. Biegnie w tę stronę.

Opustoszała chata wygląda niesamowicie w świetle księżyca. Nelson wbiega na schodki i zagląda do włazu, który wcześniej zakrywała kłapa. Całe szczęście, że wziął od Cathbada latarkę. Snop jasnego światła rozświetla podziemne pomieszczenie.

– Jezu – z trudem łapie oddech Nelson.

– Bardzo mi przykro, Ruth – mówi David, który na powrót przypomina nieśmiałego i usłużnego sąsiada, który opiekował się jej kotem i któremu (o Boże!) dała numer komórki.

– David... – mówi ochryple Ruth.

– Muszę cię zabić – wyjaśnia rzeczowo David – bo dowiedziałaś się o Lucy.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta. Rzeczywiście chce dociec prawdy, choć wie, że będzie to zapewne ostatnia rzecz, jakiej się w życiu dowie.

– Dlaczego? – powtarza David. – Dla towarzystwa, to wszystko.

Rusza w jej kierunku, wyciągając nóż. Ruth cofa się i myśli, co zrobić. Stoją na wypiętrzonej brzegu, a za plecami Davida jest rozlewisko, które wcześniej minęła. Trudno powiedzieć, jak głębokie. Nawet jeżeli uskoczy mu sprzed nosa, to mało prawdopodobne, aby zdołała przepłynąć po ciemku. Za nią są wydmy i nieubłagane nadciągająca fala przypływu. Jest u kresu sił, a w dodatku ma nadwagę, wie, że David dorwie ją bez trudu. Otwiera usta, by coś powiedzieć. Błagać o litość? Sama już nie wie. Ale nagle pośród nocy rozlega się kolejny dźwięk. Tym razem trzy ostre, jednostajne krzyki, które powtarza echo. Te same, które już wcześniej wyłowiła spośród odgłosów burzy, gdy była w pobliżu chaty. Oslupiały David spogląda na Ruth.

– Słyszałaś? – szepcze.



Nie czekając na odpowiedź, David odwraca się i idzie w stronę, skąd dochodzi wołanie. A ono powtarza się znowu. Rozlega się nad tonącymi w ciemnościach bagnami. Czy to dusza zmarłego dziecka? Czy to błędne ogniki? W tej sytuacji Ruth może zaakceptować każde wyjaśnienie. Ona także idzie za tym głosem.

To, co następuje potem, jest jak sen. A raczej – nocny koszmar. Idąc jak w stanie hipnozy, David wkracza na teren rozlewiska. Zanurza się po pas, lecz jakby zupełnie tego nie zauważał. Ruth widzi, jak jego żółty sztormiak przesuwają się po wodnej toni. Nagle chmury odpływają i na przeciwległym brzegu rozlewiska Ruth dostrzega jakąś postać. Ubrana jest w ciemną, sięgającą łydek kurtkę. To Lucy. Wygląda dziwnie, wręcz przerażająco. Ruth nie ma już wątpliwości – to dziewczynka wydaje te niesamowite, niezemskie okrzyki.

David najwyraźniej jednak nie myśli. Po prostu brnie przez rozlewisko z uniesioną głową, jakby powodowany pociągnięciami niewidocznych sznurków. I nagle, tak niespodziewanie, że nikt nie zdążyłby nawet krzyknąć, do rozlewiska wpada spieniona fala przyływu. David traci równowagę i znika pod wodą. Nadchodzi kolejna fala i teraz rozlewisko zmienia się w kocioł spienionej kipieli. Ruth czuje na twarzy kropelki niesione z wiatrem i zamyka oczy. Kiedy znów je otwiera, woda jest już spokojna, a po Davidzie nie ma ani śladu. Teraz z kolei Ruth krzyczy, ale nikt nie ma szans jej usłyszeć. Zdaje też sobie sprawę z tego, że Davidowi nie można już pomóc, i jest zdziwiona tylko własną reakcją – tym, że mimo wszystko chciała go ratować. Widać, że nawet śmierć mordercy może budzić litość.

Na przeciwnym brzegu pojawia się kolejna postać. Wysoka i dobrze zbudowana. Nelson. Krzyczy coś, jednak Ruth nie jest w stanie zrozumieć jego słów. Rusza w tamtym kierunku brzegiem rozlewiska. Wtedy powietrze wypełnia nowy odgłos, jakby uderzenia potężnych skrzydeł. Nad ich głowami pojawia się policyjny śmigłowiec, a jego wirniki burzą czarną wodę rozlewiska. Maszyna zatacza krąg i oddala się w stronę morza. Woda znów się uspokaja.

Ruth pokonuje zwirowy brzeg na czworakach. Odległość jest większa, niż się spodziewała, a ona jest u kresu sił. Warkot helikoptera cichnie w oddali i słychać teraz ludzkie głosy oraz szczekanie psów.

Gdy dociera na drugi brzeg, psy są już na miejscu. Najprawdziwsze psy świętego Huberta, które szarpia się na smyczy i szczekają niskim głosem, niosącym się niczym echo grzmotu. Wyglądają jak z innej epoki. Ruth dociera do Nelsona w chwili, gdy ten z narastającym zdziwieniem patrzy w twarz stojącej obok dziewczynki.

– Nelson – mówi Ruth. – Pozwól, że ci przedstawię Lucy Downey.

## ROZDZIAŁ 31

Ruth idzie plażą. Jest początek marca i chociaż wieje zimny wiatr, w powietrzu czuć ledwo uchwytną zapowiedź wiosny. Skorupki małży ranią jej bosc stopy.

Dochodzi do kręgu. Piasek, pofalowany niczym zamarnięte morze, ciągnie się jak okiem sięgnąć. Przychodzi jej na myśl werset z sonetu *Ozymandias*: „i piaski bielejące w pustyni obszarze”\*. Jest coś wzniosłego i strasznego zarazem w tym bezkresie morza i nieba, coś przerażającego, a równocześnie jakże radosnego. Jesteśmy niczym wobec świata i jego dziejów, myśli sobie Ruth. Człowiek epoki brązu zbudował tutaj krąg, człowiek epoki żelaza zostawił groby i ofiary rytualne, a człowiek współczesny usiłuje okiełznać żywioł za pomocą murów, wież i mostów. Nic z tego nie pozostaje. Człowiek rozsypuje się w proch, drobniejszy nawet od ziarenek piasku; tylko morze i niebo trwają wiecznie. A jednak Ruth

idzie sprężystym krokiem – ożywia ją wiosna, temat śmiertelności pozostawia za sobą.

\* RB. Shelley, *Ozymandias*, przeł. Adam Asnyk.

Ma spotkanie z Nelsonem, który przekaże jej najświeższe wieści od Lucy. To konsekwencja tamtej okropnej nocy sprzed trzech tygodni – Ruth czuje się związana z tym wyrośniętym dzieckiem i wie, że więź ta będzie trwać bez względu na postawę Lucy. Wspomnienie Ruth z pewnością zatrze się niebawem w świadomości dziewczyny, Ruth ma wręcz nadzieję, że wiele przeżyć Lucy pójdzie w niepamięć, a ona sama stanie się pewnego dnia jakąś obcą, korpulentną panią, która przynosi prezenty na święta i urodziny, i wtedy powróci odległy obraz ciemnej nocy, wzburzonego morza i zakończenia koszmaru. Jednak dla Ruth moment, gdy przytuliła odnalezioną Lucy, był punktem zwrotnym. Zrozumiała, że aby uratować jej kruchą istotę, gotowa jest na wszystko. Poznała smak macierzyństwa.

Nelson opowiedział jej o spotkaniu Lucy z rodzicami: – Zadzwoniliśmy do nich i nie wyjaśniając, o co chodzi, zaprosiliśmy na komisariat. Była czwarta nad ranem. Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyśleli. W oczach matki wyczytałem, że spodziewała się zobaczyć zwłoki swego dziecka. Poprosiliśmy o pomoc psychologa dziecięcego, bo nikt nie wiedział, co może się wydarzyć. Czy Lucy zdoła rozpoznać rodziców? Była spokojna, siedziała otulona moją kurtką, jakby na coś czekała. Daliśmy jej herbaty, a ona narobiła krzyku, bo nie spodziewała się niczego gorącego. Prawdopodobnie przez dziesięć lat nie miała w ustach takiego napoju. Krzyknęła i upuściła kubek na podłogę, a potem odskoczyła ode mnie skulona, jakby oczekiwała, że ją uderzę. Ten drań musiał ją źle traktować, jestem tego pewien. Zostawiłem ją więc pod opieką Judy. Potem, kiedy wróciłem z jej rodzicami, zaczęła kwilić jak małe dziecko. A kiedy pani Downey zapytała: Lucy? – dziewczynka krzyknęła: Mamusia!, i rzuciła się jej na szyję.

Jezu. W całym budynku nie było takiego twardziela, który by miał suche oczy. Judy wylała morze łez, a Cloughie i ja ciągle pociągaliśmy nosem. Rodzice tulili córkę bez końca. A potem pani Downey spojrzała na mnie ponad głową córki i powiedziała dziękuję. Boże! Podziękowała mi.

– Myślisz, że wszystko będzie z nią w porządku?

– Lucy jest oczywiście pod opieką całego sztabu psychiatrów, ale wszyscy twierdzą, że robi wyjątkowo szybkie postępy. Musi zrozumieć, że jest już nastolatką, a nie małym dzieckiem. Podobno pod pewnymi względami zatrzymała się w rozwoju na poziomie pięciolatki, jednak pod innymi jest nadspodziewanie dojrzała. Myślę, że rozumie dużo więcej, niż nam się zdaje.

A Ruth przypomina sobie, jak Lucy ptasim krzykiem (zapewne głosem sowy długouchej) wabiła Davida do miejsca, gdzie spotkała go śmierć, i jest przekonana, że Nelson ma rację.

Ciała Davida nie odnaleziono. Odpływ musiał je zabrać ze sobą, a morze wyrzuciło zwłoki w zupełnie innym miejscu. Może nikt już nie odnajdzie jego szczątków i dołączą do neolitycznych kości spoczywających na dnie szelfu.

Odnaleziono za to Erika. Wielki szaman, który znał Słone Błota jak własną kieszeń, utonął w grzęzawisku kilkaset metrów od domu Ruth.

Ruth pojechała do Norwegii na pogrzeb. Mimo wszystko doszła do wniosku, że w jej sercu zostało jeszcze jakieś ciepłe uczucie – do niego i do Magdy. Erik zawsze mawiał, że chciałby zostać pochowany jak wiking. Ruth pamięta, jak przy

ognisku z wielkim zaangażowaniem snuł wizję: „Statek pod pełnymi żaglami w blasku zachodzącego słońca. Zmarły spoczywa z mieczem u boku i tarczą na piersiach. Oczyszczający płomień wyprawi go w drogę, ku siedzibie Odyna i Thora, by tam doczekał odrodzenia świata...”. Umieścili więc jego prochy w drewnianej łodzi, którą specjalnie zbudował Lars, chłopak Magdy. Podpalili łódkę i puścili na jezioro, a ona płonęła całą noc i jeszcze rankiem z jej wraku unosił się dym.

– Wiesz – powiedziała Magda, zwracając się do Ruth z twarzą oświetloną płomieniami – byliśmy razem szczęśliwi.

– Tak, wiem.

I nie skłamała. Magda z Erikiem byli szczęśliwi pomimo Shony, Larsa i tylu innych. A sama Ruth ciągle go kochała, wybaczywszy mu listy, rozwiążność i ten zimny blask w niebieskich oczach. Kilka ostatnich tygodni nauczyło ją o miłości bardzo wiele. Po powrocie z Norwegii pojechała do domu, do Eltham, chodziła z matką na zakupy, z ojcem grywała w scrabble, a nawet wybrała się z obojgiem do kościoła. Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek wróciła do religii, ale teraz nie zamierza wciąż o tym rodzicom przypominać. W jakiś niepojęty sposób, przytulając Lucy w tamtej okropnej piwnicy, odnalazła drogę powrotną do swojej matki. Może dlatego, że przekonała się na własne oczy, jaką moc mają w sobie matczyne zaklęcia i sama miłość, która trwa bez względu na upływ czasu i nie stygnie, nawet wtedy, gdy się ją wyraża wyświechtanymi zwrotami.

Erika nigdy nie postawiono w stan oskarżenia. Cathbada bez rozgłosu oczyszczono z zarzutu utrudniania śledztwa. Listy zawierające tyle przerażających słów o życiu, śmierci i zmartwychwstaniu nigdy nie ujrzały światła dziennego. Jednak Ruth nie potrafi o nich do końca zapomnieć. Wciąż rozmyśla, dlaczego Erik i Shona je napisali, dlaczego Erik nienawidził Nelsona tak bardzo, że był gotów utrudniać pojmanie mordercy. Czy jego motywem był rzeczywiście ból spowodowany śmiercią Jamesa Agara, czy może zwykła chęć wykazania się erudycją wobec policjantów, tych strażników filisterskiej instytucji państwa? To wszystko na zawsze pozostanie zagadką.

Cathbad zorganizował na plaży ceremonię oczyszczenia duchowego, która podobnie jak wikingi pogrzeb była okazją do długich tańców przy ognisku; uczył w ten sposób odzyskanie dobrego imienia. Zaprosił też Nelsona, ale ten się nie pojawił. Mimo wszystko relację, która między nimi powstała, najtrafniej można by określić słowem „przyjaźń”. Nelson żywi skrywany podziw dla spokoju, z jakim Cathbad prowadził go wśród burzy przez śmiercionośne bagna. A Cathbad trwa w przekonaniu, że Nelson uratował mu życie. Powtarza to przy każdej sposobności, choć sam Nelson nie okazuje zbytniego entuzjazmu dla jego słów.

Ruth dostrzega inspektora wśród piaszczystych wydm. Nelson ma na sobie skórzaną kurtkę oraz dzinsy i wygląda tak, jakby się bał, że lada moment pochłonie go piach. Nigdy nie polubi Słonych Błot. Zawsze miał je za niegościnną okolicę, a teraz na domiar złego kojarzy je z niewolą Lucy (była tak blisko, nieomal po sąsiedzku) i ze śmiercią.

Inspektor dołącza do Ruth, która stoi, jak jej się wydaje, na skraju rytualnego kręgu. Prawie nie ma już po nim śladu. Może tylko kilka ciemnych smug na szarym piasku. Zakonserwowane pale spoczywają teraz w muzeum, z dala od morza i wiatru.

– Cóż za miejsce na spotkanie – marudzi Nelson. – Kompletne pustkowie.

– Trochę ruchu ci nie zaszkodzi – stwierdza Ruth.

– Mówisz jak Michelle.

Ruth miała już okazję poznać Michelle i ku swojemu zaskoczeniu, nawet ją polubiła. Podziwia jej umiejętność robienia tego, co lubi, i pozostawiania w roli idealnej żony. Chciałaby się tego od niej nauczyć, choć wcale nie zamierza zostawać czyjąkolwiek żoną. Jednak odnosi wrażenie, że Michelle chętnie by ją przeciągnęła na swoją stronę.

Peter wrócił do Victorii. Ruth czuje z tego powodu zadowolenie, ale cieszy ją również to, że właśnie David, a nie Peter wysyłał jej esemesy. Może więc zachować miłe wspomnienia o swoim chłopaku.

– I jak leci? – pyta Ruth.

– Całkiem, całkiem. Afera korupcyjna zatacza coraz szersze kręgi, więc jest nadzieja, że uwaga mediów zejdzie trochę z mojej osoby.

Odnalezienie Lucy Downey odbiło się, rzecz jasna, szerokim echem w mediach. Przez kilka tygodni gazety pisały niemal tylko na ten temat i między innymi dlatego właśnie Ruth zdecydowała się na wyjazd do Norwegii, a później do Eltham.

Pod adresem Nelsona padło sporo cierpkich uwag; w końcu Lucy odnalazła się na terenie, który policja tyle razy przeszukiwała. Z drugiej strony jednak spłynął na niego cały splendor z powodu uratowania dziewczyny. Ruth była bardzo zadowolona z faktu, że jej rolę raczej marginalizowano. Podobnie Cathbad – cieszył się, że pozostaje w cieniu. Państwo Downey powstrzymali się od wszelkich uwag krytycznych pod adresem inspektora, przypominali tylko, że jego nieustrudzone wysiłki zaowocowały w końcu odnalezieniem córki.

– I co tam u Lucy? – pyta Ruth, gdy idą już razem brzegiem morza. Trwa odpływ, więc na plaży przybywa muszelek i lśniących kamyczków. Mewy latają nisko w poszukiwaniu łakomych kąsków.

– Ma się dobrze – odpowiada Nelson. – Odwiedziłem ją wczoraj, bawiła się właśnie na huśtawce. Wszystko wskazuje na to, że dom i ogród doskonale zachowały się w jej pamięci. Ale wiele innych rzeczy nie. Kiedy pierwszy raz zobaczyła kota, krzyknęła.

Ruth myśli o Krzemyku, który po ciężkich przeżyciach doszedł już do siebie, a podczas jej nieobecności mieszkał u Shony. Tymczasowa opiekunka próbowała naprawić wszystkie swoje błędy z przeszłości, okazując kotu szczególne względy, i cały czas karmiła go wędzonym łososiem. Muszę chyba postarać się o jeszcze jednego kota, bo inaczej zepsuję Krzemyka do cna, myśli Ruth.

– Czy Lucy snuje jakieś wspomnienia? – pyta. – Czy mówi o czasach niewoli?

– Psychiatra zachęca ją do rysowania. Spod jej ręki wychodzą poruszające rzeczy. Czarne pudła, zaciskające się łapy, żelazne kraty.

– Czy on, to znaczy David, źle ją traktował?

– Oczywiście, ale nie ma powodów sądzić, że także ją molestował. Psychiatrzy podejrzewają, że miał jakieś seksualne zahamowania, a nawet sądzą, że gdyby Lucy zaczęła miesiączkować, byłby zdolny ją zabić.

– W jaki sposób zbudował tę piwnicę? Miała przecież solidne betonowe ściany.

– Otóż wykorzystał bunkier z czasów drugiej wojny światowej i zbudował nad nim drewniane schronienie.

– Nigdy bym nie pomyślała!

Ruth milczy przez parę minut i wyobraża sobie wszystkie przygotowania do uwięzienia Lucy. Przecież on to musiał planować przez kilka lat.

– Czy wiadomo coś na temat jego motywów?

– Psychiatrzy mają sporo teorii, ale to nic pewnego. Może po prostu uważał, że ptakom należy się wolność, a ludzi można trzymać w klatce?

– Dla towarzystwa, tak mi powiedział.

Ruth zastanawia się nad słowami, które David rzucił, kiedy wspomniała mu o swoim smutku po stracie Skierki: „Dla towarzystwa”. Przechodzi ją dreszcz na myśl, że tamtego dnia, gdy razem z Peterem spotkali go na Błotach, musiał właśnie iść do Lucy. Pewnie dlatego tak nie lubił śmiejących turystów. Chciał, żeby wszyscy trzymali się z dala od chaty.

– Dla towarzystwa – narzeka Nelson. – To nie mógł się zapisać do klubu komputerowego?

Może mógł, może nie, zastanawia się Ruth, wpatrzona w morską toń. Dlaczego my w ogóle jedne

rzeczy robimy, a innych nie? Na przykład dlaczego ona sama tkwi na tym odludziu, gdzie wydarzyło się tyle strasznych rzeczy? Dlaczego Nelson ciągle kocha swoją żonę, choć tak mało ich łączy? Dlaczego Phil nadal nie widzi związku między rytualną groblą a kręgiem? Dlaczego ona ma nadwagę, a Shona nie? Na żadne z tych pytań Ruth nie potrafi sobie odpowiedzieć. Jednak – uśmiecha się do siebie, podczas gdy zimna woda pieni się wokół jej stóp – dziś ta niewiedza wcale jej nie martwi. Życie w cichym zakątku napędza ją szczęściem. Dlatego nie potrzebuje żadnych zmian. I jest jeszcze coś, myśli, uśmiechając się coraz bardziej: ja nie mam wcale nadwagi, tylko jestem w ciąży. Nie zamierza jednak dzielić się tą wiadomością z Nelsonem. Nie teraz.

Nelson także wpatruje się w morze.

– A co się stało z tą dziewczynką z epoki żelaza? – pyta nagle. – To od niej zaczęła się ta cała historia.

Ruth odpowiada uśmiechem.

– Nadano jej imię Ruth, na moją pamiątkę. A ja sama mówię o niej „Dziewczyna z bagien”. I piszę pracę na jej temat.

– Wiesz coś więcej o przyczynach jej śmierci?

– Nie. Myślę, że pochodziła z bogatej rodziny, bo ma zadbane paznokcie, a badania włosów potwierdzają dobre odżywianie. Ale nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ją związano i porzucono na bagnach, skazując na śmierć. Może po to, żeby umożliwić innym bezpieczną przeprawę przez mokradła? Może stanowiła ofiarę złożoną bogom? To wszystko jednak domysły.

– Wydaje mi się, że w ogóle dużo w tym wszystkim domysłów – mówi Nelson.

Ruth uśmiecha się.

– Pytania są ważniejsze niż odpowiedzi.

– Niech ci będzie, skoro tak uważasz.

I zwracają w stronę wydm.

## PODZIĘKOWANIA

Słone Błota i tamtejszy krąg zostały przeze mnie wymyślone. Jednakże w Północnym Norfolk, we wsi Holme-next-the-Sea, faktycznie znaleziono krąg pochodzący z epoki brązu. Opisałam go na podstawie *Seahenge* („Krąg”), wspaniałej książki Francisa Pryora opublikowanej przez wydawnictwo HarperCollins.

Uniwersytet Północnego Norfolk i Policja w King's Lynn również są fikcyjne. Wyrażam wdzięczność Derekowi Hoeyemu i Grahamowi Rangerowi za wprowadzenie mnie w tajniki funkcjonowania współczesnej policji oraz Michaelowi Whiteheadowi za wiadomości na temat Blackpool. Dziękuję również Andrew Maxtedowi i Lucy Sibun za konsultacje archeologiczne. Jednocześnie chciałam zaznaczyć, że informacje uzyskane od ekspertów zostały przeze mnie przetworzone na potrzeby książki i wszelkie wynikające z tego nieprawidłowości są wyłącznie moją winą.

Dziękuję także Jane Wood i wszystkim pracownikom wydawnictwa Quercus, którzy pomagali mi w pracy nad powieścią. Jak zwykle dziękuję też Tifowi Loehnisowi, Rebecce Folland i agencji literackiej Janklow & Nesbit. Gorące podziękowania jak zawsze kieruję również do mojego męża Andrew i naszych dzieci, Aleksa i Juliet.

## OD TŁUMACZKI

W tekście zostały wykorzystane nie oznaczone cytaty z następujących utworów:

*Księga pięciu megilot*, w: *Księga Eklezjasty* 3,1-5, przeł. Czesław Miłosz; *Księga Izajasza* 40, 6, *Księga Jeremiasza* 17, 5-7, *Ewangelia według Świętego Łukasza* 23,28, *Księga Daniela* 2,33, *Biblia Tysiąclecia*; Thomas Stearns Eliot, *Środa Popielcowa*, I, przeł. Jacek Nowaczyk; Thomas Stearns Eliot, *Ziemia jałowa*, V, przeł. Krzysztof Boczkowski; William Szekspir, *Juliusz Cezar*, przeł. Maciej Słomczyński.